

PRZYMIERZE SERC

I INNE NOWELE

WYDAWCA
KOLARZ
W WARSZAWIE
1917



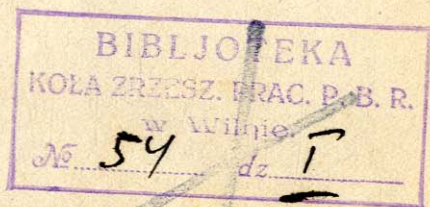
TEGOŻ AUTORA:

- NIEZGUŁA, powieść. Lwów 1911 (wyczerpane).
ZAWODY, nowele. Wyd. II, Warszawa 1922.
PROCH, powieść. Wyd. II, Warszawa 1921.
ZBYTKI, nowele. Kraków 1914 (wyczerpane).
PIŁSUDCZYCY. Wyd. II, Warszawa 1921.
ISKRY. Wiedeń 1915.
BITWA POD KONARAMI. Wiedeń 1915.
MOGIŁY. Wyd. II, Lublin 1916 (wyczerpane).
SPOTKANIE, nowele. Warszawa 1917 (wyczerpane).
ŁUK, powieść. Warszawa 1919.
WYPRAWA WILEŃSKA. Warszawa 1919 (wyczerpane).
PODPULK. LIS-KULA. Wyd. II, Warszawa 1915 (wyczerpane).
WIANKI. Warszawa 1920.
WIOSNA 1920 ROKU. Warszawa 1921.
RUBIKON, nowele. „Ignis“, Warszawa 1921.
GENERAL BARCZ, powieść. „Ignis“, Warszawa 1923.
WAKACJE MOICH DZIECI, nowele „Ignis“. Warszawa 1924.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

PRZYMIERZE SERC

I INNE NOWELE



79869

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”
(E. WENDE i S-ka) SP. AKC. WARSZAWA



253249

BIBLIOTEKA GŁÓWNA
Uniwersytetu w Białymstoku



FUW0106399

DRUKARNIA LUDOWA W KRAKOWIE, DUNAJEWSKIEGO 5.

W-125/2000

151

TU JESTEM TERAZ — I CZEKAM...

Czy jest ważniejszą sprawą, że pada śnieg, burze chodzą po niebie, płyną deszcze, słońce trwa w letnich pogodach, — czy też ważniejsze jest, że świat się rządzi, kraj buduje, a sztywne jego drogi wnikają w przyszłość coraz dalszą?...

Czy też jedno nie jest ważniejsze od drugiego, — a cenne tylko jest w całym ogromie zdarzeń, że serca nasze biją?... Że oto znów się ogarnął dzień, już wstaje, już idzie stopą godzin, — potem go złoży czas na długich pościelach nocy, — a my w igraszkach tej przemiany toczymy się z nieznanego początku ku niespodzianemu końcowi?...

Czy może ważniejszą jest sprawą, że zegar wieży mego miasta, za lat dziecinnych okrągły i wyraźny, na którego liczbach zardzewiałych ptaki siadające widziałem najdokładniej, — teraz oto rozplynął się już dawno w mętnej spójrzni moich średnich lat?...

Czy też nie to jest ważne — a pamiętać należy, gdzie się było, gdy Los nami zawijał na zakręcie, kto wypadł z wartkich przemijania wozów, kto przyniół kogo, a kto się czepia poręczy i kogo bić wypadnie po łapczywych palcach, by ścierpły, puściły i nam pierwsze miejsce, nam czas i drogę dały?...

Tak zawsze ze wszystkich stron ważność może ku nam podejść wątpliwa, i tak ze wszystkich miejsc odpowiedzieć jej może uśmiechem pobłażania znikomość luba.

Każdemu człowiekowi, który szedł, działał, nad miarę swoją sięgał, ponad siły zamierzał, zabiegnie kiedyś drogę ta chwila, lśniąca urokiem wieczności... A wtedy, jak skręt piasku wzdętego na drodze, opadnie nagle wszystko... Ustatkują się sprawy, każdy sprzeciw się ułagodzi, przyjaźnie się porównają smutki z radością, nawet się za tobą ujmie, co dotąd na przekór szło?... Tak dalece, tak szczególnie, tak zewszecmiar, że oto poczujesz się sam na znikomym zjawisk przegonie, zasluchany w to, co już przeszło, uplątany we wszystką nieświadomość miejsca a całą niepoznawalnością czasu obarczony...

Tu jestem teraz i czekam ..

Patrzę, jak coraz dalej są i jeszcze dalej precz odemnie skaczą wszystkie moje radości...

Jak moje dzieci złotymi swemi głowami rosną coraz wyżej w swoją stronę ukochaną, a nigdy już dla mnie niedościgłą...

Więc niech rosną...

Patrzę, jak coraz cięższa jest miłość moja ziemską, — i już jej nie dźwigam wcale, ani niosę, sama bowiem sobie okwita wszystkimi liśćmi i kwiatami i kształtem swoim i ciepłem...

Więc niech okwita...

Czekam i patrzę spokojnie, jak niby rana wielka obrycha już i dobrze przez wszystkie męskie lata trwająca troska o dobro mojej gromady...

Więc niechże i ta troska już schnie.

Tu jestem teraz i czekam... Zaiste, nie jest to nawet brzeg mądrości!

Muszą przyjść i jeszcze zapewne przybędą nowe

pomyłki zabiegów... Jeszcze gdzieś będę stał, w nocy czy za dnia, na schodach czy na placu, jeszcze zdawać mi się będzie, że sędzę, karzę, nagradzam, jakieś łby tępe świętym kiścieniem strącam, czyjeś skarby ratuję i natchnione dobro świata krwawymi rękami z zagłady wynoszę... Wynoszę, ciulam, pomnażam...

Jeszcze mi się chyba to wszystko zwidzi w większym zakresie i rozmachu, za którego miarę wypadnie w końcu płacić ostatnim listem nadziei i ostatnią miareczką wiary...

Ale teraz tu oto właśnie stoję i czekam, a w tem spodziewaniu wyteżonem, jakoby wołał niedbale, a one jakoby szły ku mnie naiwną wesela ochotą — wspomnienia... Jedne, niby dobre wesole zwierzęta, rzucają mi się na piersi... Czuję ich chwyty łaskawe na ramionach... Czuję głupią, przepadłą głowę mojej przeszłości przy swojej sprawnej głowie, i śmiejemy się razem, aż srebrne bliźny nieba pękają na złotym horyzoncie...

Drugie, — lecz jest tyle, że niemasz ich w żadnej szczególności, a tylko jedna rzeka ogromna płynie przez serce bezbronne i mieni się, wzbiera, drga, żale nurtom nadażyć nie mogą w największych smutku pośpiechach...

Rzeki, góry, moi ludzie najlepsi, chwile niedopatrzone, miejsca najdroższe, czasy zdławione, skarby nieużyte, — cenneści nieuczczona!...

Tak ja, ty i on i my i każdy z nas i wszyscy, gdy czekać będziemy, pięknych obrotów naszej przeszłości zaznamy, — a przeto nie dziw się, że te ci tu wybrałem listki — a nie inne, i te strzępy minionego

życia tchem rozniecam — a nie inne, i tę wodę skle-
pionemi nabożnie dłońmi z rzeki podnoszę — a nie
tamtą... Nic bowiem nie wiemy, cośmy zdziałali, i nie
możemy sądzić tych, z których wiecznego snu jawa
się nasza zerwała, — i nie będą o nas wiedzieli, któ-
rzy na starych naszych prochach zabawę będą wiedli
swych dążeń...

Nie jest to wszystko ważne, i nie cel jakiś świeci
mi wielki, — lecz żebyś się obejrzał, gdy wołam za
tobą, a ja, bym słyszał jak najdłużej tych, którzy
znów mnie wzywali, idziemy bowiem coraz dalej,
szybko, równo, prosto, — by się wreszcie nigdy nie
spotkać...

NA FORCIE

Z mego okna widać gruzy zniszczonego budynku, — mur leży na ziemi skruszony. Między rozepchniętymi ścianami, jak arkusze spalonego papieru walają się wygięte pożarem kawały blaszanych dachów. Tylko kominy nie uległy. Sterczą wysoko nagie i czarne.

Dalej za skrawkiem murawy grunt się obsuwa i widać Narew. Płynie między szerokimi łachami piasku, wśród świeżych zielonych błon.

Z obu brzegów, po przez piachy i nieużytki aż w głąb wody schodzą zasieki drutów kolczastych. Namotało się na nie sporo zielska, wodnych traw i chwastu, płynącego z falą.

Dziś po wielu dniach słońca ziele zwietrzało i wyschło. Złoto-szare, czerwone chwieje się na drutach, niby w martwe ogniska skupiona rdza.

Rzekę spina nowy, drewniany most, budowany przez Niemców. We dnie i w nocy pilnują go szyldwachy. Po jednej i drugiej stronie, niby gwoździe, któremiby przybity był do ziemi, — błyszczą pikelhauby piechurów.

Na lewo od mostu we wstęgach prądu zieleni się mała wyspa. Pono kiedyś w 1863-im roku bronili się na niej do upadłego powstańcy.

Pytałem wiele razy, — lecz nikt nie pamięta, kiedy przyszli, kto nimi dowodził, ani skąd byli. Echa nijakie zostały po nich na miejscu, które krwią oblali i śmiercią umaili.

Wyspy tej nikt nigdy nie odwiedza. Sosny, które tam rosną kładą niebieski cień na murawę, a wokoło pustych brzegów pływają białe ptaszki, — nurki.

Widać je zdaleka, jak duże ziarna perliste, które woda to zgarnia w jedną gromadę, to rozwija w białe różańce.

Za mostem pomiędzy drzewami czerwienieją dachy dawnych koszar rosyjskich, dalej wydmy piaszczyste wśród łąk i ściany lasu, zamykającego cały horyzont.

Ściany lasu!

To cień po nich chodzi, to słońce je żłobi i rzeźbi, to żar z nich wybucha różowy, to jeszcze biały wyłga chłód. Kryza wierzchołków ostrzy się na pogodę a tępieje na słotę.

Gdybym miał czas, tobym godziny całe siedział tu przy oknie i patrzyłbym na daleką ścianę tego lasu. Mieniłyby mi się w oczach dostatnie barwy a w słuchu wyteżonym płynąłby szum ciągłej odmiany kształtów. Już nie ja, — bo cóż ja, — ono samo, Istnienie, domyślałoby się za mnie, gdzie właściwie jestem, skąd idę, — czego pragnę?

Jak się wszystko zaczęło i jak się skończy kiedyś..

Ale kto ma czas w życiu a jeszcze w chwilach pory wojennej i zawilej?... Tyle tylko, że słyszę, wychylony ku bżom, jakby w otwarte okno stukano małą piąstką aksamitną...

To nikt! — To moje serce bije nad stołem w słońcu.

Mieszkam w budynku oficerskim dawnego rosyjskiego fortu. Widok stąd płynie na te oto szkarpy, rzekę mostem spiętą, daleko po przez niskie koszary

na las wysoki i niebo rozłożystością ziemi uniesione tak wspaniale!

Ileż musiałem być zużyć intryg, wysiłków aby się przy tej stronie utrzymać, — z pretensją podobną przepchać się przez wszystkie pretensje wyższych szarż. Starsi odemnie dowódcy plutonów, kompanij, „sam“ dowódca bataljonu zgodzili się nareszcie dla dwóch przyczyn: Po pierwsze, że izba moja jest bardzo mała, po drugie, że jako piszącego, uważają mnie za półwarjata.

Zresztą i tak rozmieścili się całkiem dobrze. Kapitan mieszka godnie, ma oddzielne „skrzydło“, dwa wielkie pokoje, w których chodzi, gwiżdże i nudzi się „zachowując prestiż“. Nie wypada mu żyć z nami za pan brat, musi dbać o pozory, choć jest prawie najmłodszy z nas.

Za parę tygodni ma go w tej głuszy odwiedzić żona. Nasz „wódz“ już teraz kręci pokrywom przy pomocy ordynansów wieńce z młodych liści dębowych i przymierza te laury pustym ścianom swojej przestronnej kwatery.

Opodal kapitana gnieźdzą się porucznicy, obaj moi przyjaciele. Starszy, na którego wołamy Leń, — zna się na książkach, ciągle pije herbatę, dużo pali, jest wytworny, przystojny, uparty, — nic więcej nie umiem o nim powiedzieć. Znamy się od tak dawna.

Oraz drugi, również mój przyjaciel, także blondyn, lwowiak, całymi dniami uczy się regulaminów na pamięć. Wołamy na niego po prostu — Kujon.

Kujon i Leń.

Jeden tępy, pilny, pracowity, drugi zdolny, roztrze-

pany — leń. Leniowi wszystko się samo do rąk garnie, Kujon zębami szarpać musi. Jednemu głowa lekko chodzi, nawet gdy wiatr wieje jakby mu fryzurę poprawiał, drugiemu łeb zmierzwiony słania się ciężko na ramionach, a pokorne oczy niebieskie wciąż za coś przepraszają.

Tylna strona naszego „domu“ wychodzi na pola. Widzieć stąd rozbite ruiny miasteczka i ziemne fortyfikacje, wykopane wśród sztywnej gwiazdy szerokich dróg artyleryjskich.

Urządzenie naszych mieszkań jest nader skromne. Stół, stołek, krzesło, wąskie łóżko, umywalnia. Na upiększenie izb składają się przedmioty wojennego użytku, szable, siodła, karabiny, lub małe graty, które ten i ów pokochał w czasie długiej wędrówki wojennej.

Więc tu zastaniesz na oknie drewnianego kogutka, tam grot dzidy szwedzkiej nad łóżkiem, ówdzie pudełko z muszli.

Wszędzie wiele fotografii poległych w boju kolegów.

— Wyobrażasz sobie, że czeka nas coś innego? — spytał mnie raz Leń pokazując ołtarzyk poległych, przybity nad łóżkiem Kujona. — Naprzód jest się żywym, potem na fotografii na ścianie, potem głowa tylko, wykrojona z pocztówki w medaliku... Potem wylecisz z medalika, ustępując fotografii dziecka, które „ona“ ma z innym, a sam leżeć będziesz w szufladzie przy złamanym grzebyku. Dlatego ja ani cudzych „foto“ nie potrzebuję, ani swoich nikomu nie daję. Żebyś wiedział!

Przeleciał przez niego cichy, sztywny śmiech samotności.

Przyznałem słuszność. Żołnierz nie może mieć domu a przedmiot choćby najbłahszy, do którego przylgnęliśmy sercem, — to już przecie dom. Domem żołnierza może być w najlepszym razie namiot.

Ukazałem rozwieszone w kącie grube, żaglowe płótno.

Oto nasz dom najwspanialszy!

W istocie! Napiąwszy płachty na żerdzi, czy karabinie ileż razy spokojnie człowiek usypiał! Z uśmiechem pobłażania słuchał ulewy letniej, czy gęstej strzelaniny. Pod temi szorstkimi klinami, siedząc w kucki czyż się nie plotło do późna o życiu, śmierci, radościach, tajemnicach?!

— Przez ów strzép płócienny, — rzekł Leń uroczyście, — patrzyły nam w oczy noce dalekich kresów i największa pośród gwiazd, gwiazda naszej nadziei.

Ale nie o tem przecie!

Siedzę w moim pokoju na forcie, obracam pióro w rękę i patrzę z radością w wiosenny świat. Widać za rzeką zręczne postacie naszych żołnierzy. Przez świergot ptaków donosi się aż tu głos komendy.

Już trzeci rok dobiega, jak żyjemy w otoczeniu ruin, gruzów, zwiniętych na świstki dachów, drutów kolczastych, broni i zgłiszcz.

Wieczór zapada.

Pusta wyspa przedzie pierwsze kosmyki mgły, na rzece się ruszyło.. Przez środek wody spływają rząd za rządem całe szeregi masztowych, czerwonych pni.

Nasze strzeliste sosny, — nasze lasy przez Niemców
pocięte.

Z wysokiego brzegu widać tak dobrze zwłoki drzew,
rozpościerające się na szerokiej gładziźnie nurtu.
Płyną, — sękami dzwonią o siebie, jedne znikają za
modrem kolanem rzeki, — już woda nowe prowadzi.
Cała Narew drży, — wszystka jej fala dźwięczy...

Stąd, ze stromego brzegu, nad wodą rozkrwawioną,
w ramie okiennej pochylony piszę właśnie to wszystko,
co się składa na ubogą pewno wobec świata, lecz
memu sercu bliską treść tych luźnych kartek.



PRZYJAZD

Z ostatniego postoju w Baranowiczach przyjechaliśmy do Polski późną jesienią, już prawie w zimie. Austriacy oddali nas Niemcom a Niemcy mieli podarować Narodowi.

Jechaliśmy z tak wielką radością! Każdy wiedział, że w Kraju jedni są za nami, drudzy przeciw, — lecz któżby nam potrafił odebrać zasługę przelanej krwi?

W wagonach nie ustawały śpiewy. Komużeśmy śpiewali? Lasom, małym chałupom wynikłym na horyzoncie, rozstrzelanym miasteczkom, pustej drodze, wystrzępionej ścieżce i gdzieś, między bruzdami mroku pozostałej wodzie zmarzniętej.

Żołnierze cisnęli się do okien, by patrzeć na kraj, do którego wracają, na który tak sprawiedliwie zasłużyli ciężką pracą wojenną.

Drugiego dnia o świcie zbliżaliśmy się już ku Warszawie.

Ranek był blady, mgła leżała szeroko nad Wisłą. Nad pustymi polami i wśród odosobnionych domków podmiejskich świstał wiatr.

Pociąg szedł bardzo powoli, coraz się nam zdawało, że już widzimy stolicę.

— Gdzie? Gdzie?!

— Tam! Ach, tam!

I jeden drugiemu pokazywał domniemany kierunek. Wszyscy stali przy oknach, gdy pociąg zakręcał.

Wzdłuż całej jego długości widać było twarze powleczone szarą patyną, jakiej nabierają policzki w ciężkich mozolnych kolejach okopowej walki.

Owiewał je matowy blask zbutwiałego liścia.

Przybywało coraz więcej światła, — żołnierze wykrzykiwali radośnie.

Jęła się wychylać z mglistego bezmiaru linja dachów to prosta, to ścięta, to znów wielkimi guzami kamienia wiązana. Niskie skłopotane zarysy Starego Miasta, lekkie śmigłe groty wieżyczek katedry, ciemna kurzawa królewskiego ogrodu.

Wszyscy umilkli, pociąg jechał cicho, — oczy pełne wzruszenia i szczęścia. Słysząc było w lśnieniu poranka tętent kół, tak żelazny i tak zda się, ciężki, jak twardą musiała być droga, którąśmy tu dążyli.

Na przedmieściu zmieniono maszynę.

W powiewie rannej mgły widać już było Wisłę.

Dziś ja tu stoję, — my, — potem lata przejdą i inni znów się ockną tutaj o świtanie. Między mną, nami, — wami, przyszli ludzie nieznani, płynie tasama woda wiatrem zaczesana, — połyska tén sam piach. Nasze chwile, niedrogie w wątkach przemijania, a każda w żywym sercu tak czuła i kosztowna!

Kto mógł wyskoczyć z wagonu, co prędzej wypakowaliśmy orkiestrę. Lecz jeszcze nie zaczęła grać, gdy z domków, z poza opłotków, z parkanów nasypu i przymarzłych piachów wybiegać jęły małe, bose dzieci w starych ojcowskich kapotach.

Na tle szerokiej rzeki pod kamienną wielkością stolicy żebrzące z wyciągniętymi garstkami!

Orkiestra gra już „Jeszcze Polska“, dzieci wołają —

„chleba! chleba!“ — skaczą, jak wróble chwytają nam z rąk ciężki żołnierski chleb, a gdy wszystko zabrały, wszystkie kruszyny sprzątły, — rozwieramy na oścież ramiona.

Siwe, kochane powietrze, wodo niewstrzymana — mury wysokie, twardy kamieniu, — piasku miłosierny, ziemio cierpliwa, — drodzy biedni ludzie, — Ojczyzno!

Wzdłuż całej jego długości widać było twarze powleczone szarą patyną, jakiej nabierają policzki w ciężkich mozolnych kolejach okopowej walki.

Owiewał je matowy blask zbutwiałego liścia.

Przybywało coraz więcej światła, — żołnierze wykrzykiwali radośnie.

Jęła się wychylać z mglistego bezmiaru linja dachów to prosta, to ścięta, to znów wielkimi guzami kamienia wiązana. Niskie skłopotane zarysy Starego Miasta, lekkie śmigłe groty wieżyczek katedry, ciemna kurzawa królewskiego ogrodu.

Wszyscy umilkli, pociąg jechał cicho, — oczy pełne wzruszenia i szczęścia. Słyszać było w lśnieniu poranka tętent kół, tak żelazny i tak zda się, ciężki, jak twardą musiała być droga, którąśmy tu dążyli.

Na przedmieściu zmieniono maszynę.

W powiewie rannej mgły widać już było Wisłę.

Dziś ja tu stoję, — my, — potem lata przejdą i inni znów się ockną tutaj o świtaniu. Między mną, nami, — wami, przyszli ludzie nieznani, płynie tasama woda wiatrem zaczesana, — połyska tensam piach. Nasze chwile, niedrogie w wątkach przemijania, a każda w żywym sercu tak czuła i kosztowna!

Kto mógł wyskoczyć z wagonu, co prędzej wypakowaliśmy orkiestrę. Lecz jeszcze nie zaczęła grać, gdy z domków, z poza opłotków, z parkanów nasypu i przymarzłych piachów wybiegać jęły małe, bose dzieci w starych ojcowskich kapotach.

Na tle szerokiej rzeki pod kamienną wielkością stolicy żebrzące z wyciągniętymi garstkami!

Orkiestra gra już „Jeszcze Polska“, dzieci wołają —

„chleba! chleba!“ — skaczą, jak wróble chwytają nam z rąk ciężki żołnierski chleb, a gdy wszystko zabrały, wszystkie kruszyny sprząły, — rozwieramy na oścież ramiona.

Siwe, kochane powietrze, wodo niewstrzymana — mury wysokie, twardy kamieniu, — piasku miłosierny, ziemio cierpliwa, — drodzy biedni ludzie, — Ojczyzno!

NIKT NIE CHCE MOJEJ ŚMIERCI...

Do starego miasta Pułtuska wchodziliśmy w gęstym śniegu, przez triumfalną bramę z sośniny, wśród okrzyków ludu, pod obłaskawione dźwięki naszej orkiestry, przeprowadzani twardem spojrzeniem władz niemieckich, które się ustawiły kamienną gromadą płaszców na uboczu.

Idziemy kompanja za kompanją, tak szczytnie, jakby to nasz krok pędził radosne wołania z piersi tłumów.

Tłumy biedne, szara kacabaja z kubrakiem wyjeżdżonym przemieszana, a co częściej chusta wytarta i tylko ręce, — owe ręce do czerwoności zmarznięte, ponad kusy bukiet kapelusza wyrzucone.

Ustaje wołanie, szereg się zatrzymał. Pod bramą z pomiędzy zażywniejszych ojców miasta głos się rozlega rzewny. Potrzęsa barankowemi czapkami, bieży przez płaty śniegu, w sercach się naszych osadza...

Że tu, przed laty, stała już ongiś polska piechota a pośród tej piechoty stał pułk naszego imienia!

Więc my — i Oni...

Tedy oddani jesteśmy ceniom ojców nieznanym, podczas gdy drżące ręce delegacji chleb nam podają i sól.

Czy nie za duży ambaras?

Bo to przecie nie laur, nie broń, ale chleb, rzecz codzienna, a od strony sensu tak święta. Więc stoimy bezradnie przed onym bochenkiem, niby skiba na

serwecie rozpartym, zawstydzeni, — gdy nam na głowy pamięć ojców położono a do rąk znamię jadła...

Dopiero pułkownik rozplątał całą okoliczność, bo się nadał proroczo i wypowiedział mowę, pełną dobroci oraz srogiego krzyku, od którego wszyscy się popłakali.

Gdyśmy przeszli nareszcie pod triumfalną bramą i w koszarach wszystkie rygory odbyli, — na miasto!

Krzywą, kusą uliczką mimo ubogich domów, przez plac, na którym stara wieża pamięta dawny czas. Na ulicach, jakby gwoździ rozsypało, taki zgrzyt kutech butów żołnierskich, które, gdzie mogą, spódnicom drogę w mroku zastępują.

My do cukierni! Tu w kwaśnych gloriach karbidowej jasności jemy ciastka po dziesięć i szyk czynimy, żeby fryzowane panny z za lady widziały, jak świetne „wychowanie“ wojsko z sobą przynosi.

Gdy się najemy, pójdziemy naprzeciw do restauracji, na inauguracyjną wieczerzę.

Ale czas jeszcze.

Siedzimy, patrząc na zgiełk mrocznej ulicy, wsłuchani w skrzek butów żołnierskich, przez który przebiega się i prześwieca i lśni jasność kobiecych głosów, tak dawno nie doznana. Wierzyć się człowiekowi nie chce, że jeszcze tydzień temu stał w rowach światowego frontu, a dzisiejszego wieczora płoszy przez czarne szyby brzmienie niewieścich słów, które się plotą i szeleszczą po nocy, jak światło.

— Formalne imieniny, bracie — rzeź nad talerzykiem Kujon — dobro wali na ciebie ze wszystkich stron, w ciastkach stoisz po pas, a jeszcze kolacja na widoku!

Inauguracyjną wieczerzę jedliśmy sami, bez „ludności“, by się nie zdawało rekinom miejskim, że ktoś o ich łaskę, czy fundę zabiega.

Rzecz się odbywała w ostatnim pokoju wielkiej restauracji w czterech ubogich ścianach, za stołem w podkowę, z pułkownikiem w środku i coraz młodszymi szarżami ku skrzydłom.

Pojedliśmy, popili, dowódca woła — śpiewać!

Nad podkową stołu, jakby się pierścień ognia zatoczył, tak się nam wartko pieśń w ustach zapaliła.

Pieśń żołnierska, do której przyszło tysiąc przekleństw, która jest sto razy nienawiścią, nim raz jeden ukocha, za której fałsz nieśmiertelny kupuje żołnierz sławę!

Śpiewamy wesoło na wiarę wiecznej nieprawdy, aż tu po jednym, po dwóch wtaczają się opiekłe matadory miejskie z kieliszkami, z flachami, z likierkiem. Płaczą na klapy, płaczą na podłogę, bośmy bracia! Okazuje się, — my do was, wy do nas, — bracia!

Pijemy.

Z tych ciastek, z befsztyka, z likierków uciera mi się nasz dobry, polski świat, w którym nikt nikomu nie nie dał, zabrać jeszcze nie zdążył, tylko serca otwarte na przestrzał...

Tu kuse mundury, tam gęste główacze, w pośrodku krępe słowo...

Bardzośmy sobie świadczyli. — Cywilusy nam, że choć służymy za niemieckie marki, ale to przecie dla broni.. My cywilusom, że małodusznie siedzą pod listkiem swojej kapustki, — lecz za to trwają... Po-

tem my im, w opowieści, żołnierskie trupy do stóp szczerze rzucamy, oni nam bydełko swe w światowej okazji pomarnowane wypominają... Jeszcze raz zaczyna się przy flachach odwieczny proces każdego polskiego Powstania, — kłótnia oręza z chlebem.

Pijemy, słuchamy, gadamy.

— Jak ci w pysku? — pyta mnie nagle Kujon.

— Idę do domu, — dość.

Idę na swą kwaterę wedle otrzymanej karty, do porządnej rodziny, w myśl zapewnień adjutanta.

Niestety, „porządna rodzina“ mieszka tak daleko!

Śnieg błyszczy przy księżycu, wicher skuczy u węgłów, nademną i nad miastem gwiazdy świecą od tyłu milionów lat, aż się trzęsie z podziwu czułe, pijackie serce.

Nareszcie jest ten dom i ten ciemny korytarz rodowity i jest próg i wchodzę. Szmer śmignął w głąb mieszkania, jakieś kroki splątane... Czekam... Chrząkam.

Wybielona jadalnia, — w ciasnej podróży sprzętów, stłoczonych pod ścianami, — serduszko naftowego światła pod żółtym kloszem w kwiaty, — na stole splekana cerata i osłe uszy rozłożonej książki.

Stoję, dyszę, czułość w sobie przerabiam, szmer się wzmaga, gdy oto pękają drzwi i wtacza się czcigodna postać, — raczej gmach wspaniały. Barwne szale tureckie powiewają na gmachu, a ogromne dzęty na tęgich wykuszach postaci błyszczą, jak ciemne okna.

Jeszczem się skłonić nie zdążył, gdy jejmość: — Przybywasz pan, żołnierzu polski do domu ubogiego, sierocego, lecz szlacheckiego!!!

Pochyliwszy głowę, spojrzałem pokornie. Wszystkimi piętrami trzesło szlachetne natchnienie, w czarnych dżetach rozniecając światła. Za jejmością u drzwi, pośród fałdów zetlałej kotary trwał płowy chór główek chłopięcych.

— Moje sieroty, panie kawalerze, po świętej pamięci mężu, dzień ten zapamiętaj! Bo ja, panie, wdowa, chociaż teraz w mieście żyję, lecz ze wsi jesteśmy, dobraśmy własne mieli!

Czekamy na pana od czwartej po południu, ale tyleśmy lat na was czekali, że godziny nic tu nie znaczą!

Przeprosilem, — przy każdym kwaterunku tyle spraw, służba...

— Służba! — trzasnęły naraz wszystkie czcigodne balkony. Popłynęła długa mowa tronowa, której sensu nie mogłem być uchwycić, błędząc roztargnionem spojrzeniem po twarzach dzieci. U zbiegu kotary trwała między niemi najstarsza dziewczynka z gwiazdą karbidowego światła w uniesionej dłoni. Sztywne promienie szły pochyło przez gładkie uczesanie i, omijając twarz, płaszczyły się na piersi, sklepionej wysoko nad wypukłym garbem.

— Czem chata bogata, tem rada — przybiła jejmość, uczyniwszy gest powitania.

Nareszcie mogłem się ruszyć. Więc nuże ściągać ku-brak, nuże rozluźniać rzemienie. Każdy szczegół mego uzbrojenia brały troskliwie dzieci w swe spierzchnię ręce i odnosiły do jakiegoś mego pokoju.

Przeszliśmy do salonu. Tu dopiero na ścianach niskich, niby ciemne, olejem nasycone bulwy, ciemniały

werniksowane portrety przodków, fortepian orzechowym tyłem godził z kąta w stronę kominka. Wokół pieca łuszczył się blask w szklanych, niskich serwantkach, przed kanapą trwał wielki stół wygodnie na swym obfitym cieniu.

— Czem chata bogata tem rada. — Zapraszały we dwie, jejmość i najstarsza córka, — garbata panna Sylwina

— Wcale nie żadna panna, dziecko, panie kawalerze.

— Już nie dziecko, mamusiu, mam ośmnaście lat.

— Tak, już panna — potwierdziłem, zasiadając cnotliwie do poczęstunku.

Cnotliwie i z rozrzwennieniem... Na białych murekach, niby na fali zmarszczonej w przezroczystych galerach topazy, rubiny, granaty, — stały w tłoczonym szkłe konfitury z dereni, berberysu i głogu. Opośdalał wonna łódź kryształowa, pełna smażonej róży, ciemnej, jak krew.

— Dużą łyżką, panie kawalerze i więcej pan nabieraj.

— Kiedy żal człowiekowi jeść, pani szanowna, bo konfitura rzadka, dziś nikt takich nie robi, ktoby to tak drelował...

— My, panie kawalerze!

— Berberys, proszę pani, jadłem ostatni raz jeszcze w dzieciństwie, u matki.

— Wszędzie tu pan, kawalerze, jesteś u matki, pośród nas...

Dzieci stoją przy fortepianie, Sylwina białymi palcami trąca w żółte klawisze, uboga żalność lśni w jej

zczesanych włosach i zaciska niebieskie skronie. Ptasi nasek rzuca cień na usta, z których płyną słowa żołnierskiej pieśni, podczas gdy z oczu, jak pestki, jedna za drugą łyży.

Dzieci chórem wtórują, aż im gardła jaskółcze wiadać do dna a ja drzę do dna przejęty, ponad pamięcią wojny u krzaka wspomnień zawieszony, — z któregośmy nad Wisłą głóg rwali z matką i berberys do garnuszka niebieskiego zbierali i ciemne derenie z rosą kładli na talerz...

Strasza przekora ostatnich lat wojennych kona już może bezsilnie, — światło się zapaliło zgubione, łódź kryształowa pełna krwi, a krew pachnie różą pierwszego matczyego uśmiechu ponad pamięcią wojny u krzaka pierwszych wspomnień...

— Czcigodna pani rozumie — rzeknę — że taki poczęstunek na mój głupi, żołnierski żołądek i tyle waszego serca, szanowni a kochani...

— Tyle serca, cóż nasze serce, — odpowie panna Sylwina i znów białymi palcami gra po żółtych klawiszach i z wnętrza fortepianu płoszy bystre mole, co niby żywe strzępy złotego ongiś czasu giną nieznanie w mroku.

Chłopcy się drą radośnie, uciekłem, grzeszny niejako wobec naiwności tego święta.

Śpiewają wszystkie zwrotki, ale zrzuciłem już rzemienie, mundur, buty, kładę się do łóżka. Każdy mój ruch tonie w lekkich, puszystych piernatach...

Jedna wdzięczność!

Teraz się człowiek zwinie, koszulę aż na pięty naciągnie, kolana pod brodę wetknie i spać bez miłosierdzia!

Gdy jeszcze raz pękają drzwi pokoju, wchodzi jejmość ze świecą w rękę, a z olbrzymią skórą na ramieniu.

— Czy panu wygodnie? — krzyknęła.

— Owszem, przezacna pani, — westchnąłem cicho w betach — bardzo wygodnie.

— Bo ja myślę, niewiele mówiąc, żeście się panowie dosyć namarзли i że nim się człowiek wygrzeje... Więc przyniosłam naszego niedźwiedzia.

Zwaliła mi z pleców na nogi całą górę brunatnego futra.

— Tak, panie, nie mam wiele, ale co mam, niech służy... W tych niedźwiedziach ojczyisko jeszcze jeździł... Ile razy na te futra popatrzę, myślę, — żyło przecież kiedyś ojczyisko!... To jest najcieplejsze, panie, co mamy!

Najcieplejsze, co mieli, dali mi do snu, najlepsze, co się kryło w spiżarni, na stół, najwygodniejsze, co się w starych kątach domu przechowało, — do użytku.

Dla mnie niedźwiedzie, konfitury, dla mnie największa lampa, dla mnie francuskie mydło, gdy sami łojowem skórę sobie tarli.

Mało tego, żem sobie boki grzał, tuczył, żem się wciąż płukał mocną, świeżą herbatą i co było dobrego mocnym zębem wyjadał. Jeszcze mi legendę swych gratów i sprzętów ofiarowali szczerze.

Oto w tych skórkach ojczyisko na komisję jeździło. Przy tej lampie nieboszczyk stryj, powstaniec i notariusz, największe akta ładził, a ów bukiet wiecznej trawy australijskiej ciotka z sobą zawsze woziła, od czternastego roku swego życia miłości jakiejś nieścześnie wierna do końca swych panieńskich dni.

Jakby chcieli, bym z ich historii pożywał od niechcenia.

Nie było wkrótce chwili, by o ciało moje nie dbano i wraz, by „zbołałemu“ duchowi rozrywki nie stręczono.

Mam iść rano do koszar? Już w salonie przy świecach krząta się panna Sylwina, „grijowane“ kromeczki, ni to małe tomiki ustawia w platerowym stojaczkę. Już złoty deseń maselka wdzieczy się przed talerzem, już cicho pluszcze herbata.

Jem dobrotliwie, niejako ofiarnie na koszt zasług i misji żołnierza. Rozwaliłem się w fotelu, pożywam suto. Z wielkiego karła stróży nademną panna garbata, uśmiechnięta, zielone oczy nakrywa rudą powieką i w miarę mego posiłku rumieni się radośnie.

Lub może po południu wracam z koszar?... Już czeka otwarty fortepian, albo książki, najlepiej stare, „Pamiętnik Kwestarza“ czy też „Śpiewy Historyczne“ — których to śpiewów jesteście dalszym ciągiem...

Błądzimy razem po wydaniu „wyciśniętem w Warszawie w 1816 roku“, okazuje się, że wszystko było już postanowione za Leszka Białego, a stary Goworek.

— Stary Goworek to Piłsudski! Zobaczysz „Ojczyznę na tronie“...

A może wracam wieczorem z jakiejś pijackiej kompanii? Jest na mnie sposób wieczorem. Oto między buty, rozrzucone ostrogi, zabłocone rzemienie, pokręcone sznury, z którymi się param, wpadnie cichutki szept panny Sylwiny.

— Termos z gorącą herbatą czeka na kominku...

— Tego już doprawdy za wiele, — mówię nazajutrz srogo przy podwieczorku, — droga panno Sylwino. — Tuczę się tu, jak bąk, pasa już nie dopinam, a pani jeszcze po nocach dla mnie czuwa?!

Sylwina w szkle serwantki wielokroć załamana wyciąga w górę rękę: — Dla bohaterów nigdy nie masz pieczy za wiele. Bo kiedy myśmy tutaj wygodnie siedzieli, wyście tam życie kładli!

Tedy się wreszcie zerwę z nad talerza pełnego mięsistych truskawek i nuże ostro gadać i nuże płacić za te niedźwiedzie, mydelka, konfitury, — szczerą, pocziwą prawdą. Ześmy nie żadne „bohaterzy“, a kupa zwykłych ludzi, że się człowiek w danej okazji, jak każde inne bydlę gliniany robi ze strachu, a gdy działa biją, kark mu się gnie, jak z wosku. Nie ma tu co tak wiele rozpowiadać.

Sylwina siedzi cicho, stopy pod siebie chowa, białymi paluszkami mroczne powietrze prasuje, szypułkowaną pierś naprzeciw słów wysadza: — Niech pan mówi, to łżej, o wiele, wiele łżej.

Więc mówię, — bez pardonu. Żeby nas w cukrze nie kandyzowali. Żeby o nas myśleli po prostu, jak o zbożu, ogniu, czy chlebie. Ześmy taksamo, w końcu biedni, marni ludzie..

Pod plastrem nikłych włosów białe czoło garbuski mieni się różowością, do skroni przywarł cień. W oczach płonie pokora a usta wiernie proszą: — Tacy są może inni. Inni może się boją. Ale wiem, — nigdy pan! — Perkalowe rękawki Sylwiny opadły wzdłuż poręczy.

— Nigdy ja? — Odsunąłem co żywo herbatę i wałęsając całą prawdę, na przekór wiecznej, australijskiej tra-

wie, lampie, przy której stryj nieboszczyk tak ważne łądził akty. — Nigdy ja?

Jak był las i droga przez błota straszliwie ostrzelana. Mam jechać tą drogą a tu wyrwy ziemne raz po raz skaczą z pod wystrzałów. Pewna śmierć, — jakże rada? Cała rada, że we dwóch zginie, ja i koń. Na moim nie pojedę, bo to tępak, głupiec!

Nie wierzę mu, proszę pani, nie wierzę. No i stoję pod przyzbą chałupy, przedemną stajnią otwartą, coraz ogon przez słońce w cienistej głębi machnie. W głowie mam razem, jedno przy drugim, — słowa mego dowódcy i mego durnia wałacha. A w oczach czarny strach!

Aż oto, — i niech mi pani wierzy, więcej to wtedy dla mnie znaczyło, niż żeby sama Ojczyzna przyszła w niebiańskich szatach... Aż oto przypominam sobie, że jest w oddziale kobyła, nazywa się Kurula i ma źrebię. Pojadę na Kuruli!!

Wie pani, co znaczyło, że sobie tak umyśliłem? Znać, że jestem nic, szmatka, proch, jeszcze mniej! A Kurula jest życiem, świątynią, — ocaleniem. Pojadę na Kuruli, bo ma źrebię! Bo w mojej głowie siedzi Ojczyzna, dowódca, raport i ja sam i moje głupie myśli i mój strach. A w podługnej głowie Kuruli może nic niema, — ale jej źrebak będzie się z dzwonkiem na szyji przez te ognie pętać. Ona, kobyła, matka, wyczuje drogę bezpieczną swymi kochającymi nogami. Wyczuje za źrebaka i siebie przez te wszystkie ognie. Wyczuje instynktem, złożonym ze stu milionów lat.

— Ze stu milionów lat? — Perkalowe rękawy spo-
czyły na twardym garbie piersi.

— Ze stu milionów lat, powiadam pani.

— A jak wyglądała Kurula? Pewno silna!

— Nie chodziło o siłę. Naturalnie, że swoją drogą
dobrze wyglądała. Jak zawsze matka po dziecku. Ale
w tym wyglądzie nie owies znaczył, nie szczotka, nie
zgrzebło, a tylko proszę pani, — nadzieja! Krótka, —
matka po dziecku. Liczyłem na jej miłość do żrebaka,
niejako mokrą jeszcze od potu i tak niedawnej krwi.
I na jeszcze jedną rzecz liczyłem w moim marnym
rozumie, — na moją podłość. Że tak oto ryzykuję
losem macierzyństwa!

No więc ordynans ją przyprowadził, — myśli pani,
żem jej nogi oglądał? Nigdy w życiu. Czarne, aksa-
mitne wymię miała nabrzmiąle, pokreślone żyłami,
widać pełne mleka. Ach, dobra matka, — w tem całe
moje życie. No więc siadam, cugle proszę pani puszc-
zam, skorom tylko na drogę wyjechał.

Tu, na drodze, świat mi się w uszach rozlatuje od
huku, obłoki zmięszwały się w oczach z kitą brzoź,
czarne jęzory gleby tryskają z ziemi pod niebo, —
żrebaczek dzwoni wesoło.

Kurula zjeżyła grzywę. Może galopem iść. Może
odrazu skoczyć. Myśli pani, żem ją trzymał? Nie
trzymam. Cugle wolno puszczane. I cóż kobyła? Ko-
była sobie drogę wybiera śródeczkiem, noga za nogą
pomalutku, — czarne snopy ziemi taczają się po bo-
kach, — ale tu proszę pani nie ma i nie będzie błędu, —
o n a wybiera matka! Tam gdzieś w głębokiej czer-
wieni kobyłego serca niesie mądrość większą od mapy,

od balistyki, od piroksyliny, od wszystkich zegarów
szrapnela...

Zatrzeszczała podłoga, krzeselko w tył odskoczyło,
tuż przedemną mającżeje twarz Sylwiny, oczy płoną
tak blisko: — Jeżeli się pan bał, — jabym się za pana
nie bała. Jabym chciała za was wszystkich wszystkie
kule dostać naraz, tu — w pierś!... Za was wszyst-
kich, — za pana!

I przykładam me palce do twardych sklepień garbu.

Jakbym przez chwilę trzymał pocisk armatni, obło-
czony perkalem.

— Za was wszystkich wszystkie kule!

— Ba, — wołam, cofnąwszy szybko ręce, — ar-
maty lubią tęgich, prostych. Właśnie żołnierze są od
tego, — właśnie my. Armaty też, proszę pani, mają
swoją smak, apetyt. Ba, — krzyczę coraz głośniejsze, aż
trawa australijska kołysze się na kominku, — ludzi
tęgich, prostych!

— Wszystko jedno jakich... — Mróz tchnął przez
policzki Sylwiny. Obszukała się trwożnie rękami. —
Wszystko jedno... Zupełnie wszystko jedno.

Odskoczyła na fotel. Chude, suche dłonie trzepo-
tały w powietrzu.

Tego samego wieczora byłem u adjutanta, że u wdowy
nie będę mieszkać, nie chcę i za nic nie mogę.

Naturalnie, że wyszukało się inną kwaterę, odcze-
kałem jeszcze kilka dni i któregoś ranka:

— Trudno, proszę pani, przenoszą mnie do koszar.

Śnieg padał, na ulicach było jeszcze pusto, trzas-
kałem szablą o bruk, mali chłopcy biegli przodem,
Sylwina szła obok w milczeniu.

Zatrzymaliśmy się na rogu, pod basztą, gdzie mieliśmy się rozstać.

— Tak jest zawsze na wojnie, panno Sylwino.

— A ja tak chciałam, żeby pan u nas wypoczął!

Twarz garbuski opadły płocze dreszcze, — wargi lśnić się zdały a oczy zawiął cień.

— Tak zawsze pragnęłam, — prosiła mrużąc powieki pod sypkimi płatami śniegu, — tak zawsze pragnęłam, ale nikt, — nikt... Nikt nie chce mojej śmierci!

Blado-zielone źrenice rozprysły w łzach. Podała mi szczupłą, kościstą rękę, która w mojej rękawicy żołnierskiej spoczęła lekko, jak suche ciało zmarzniętej ptaszyny.

Zależało nam tu na reprezentacji, tembardziej, że byliśmy o wiele biedniejsi od całego otoczenia. Każdy ziemianin miał przecie tę „ostatnią“ parę koników wystających, rzekomo ziemniaki tylko jadły, — ale jakże para takich kartoflarzy sypała po grudzie, a jak ciągnęły nasze głodne habety. Każdy ziemianin, choć „już nie mógł“, — miał przecie powozik lakierowany, bryczuszkę na resorach smarowanych, — podczas gdy nasze wolanty kucały na każdym kamyku.

Więc tyle tylko pociechy naszej, że wyglądamy zuchowato... Jesteśmy w szarych kubrakach, które tak dużo wzięły w siebie wiatru, deszczu, słońca i potu, że mają kolor, jakiego nie nada żadna fabryka, — kolor trwania. Nasze okrągłe czapki tak są wdrożone, że nietylko przepis reprezentują, lecz myśl głowy, którą okryły. Nasze stare skórzane pasy tak są mądre, — że oficer oddychać przestanie, a pas jeszcze mu na brzuchu chrzęści, — z przyzwyczajenia.

Wyglądamy!

Po drugie, żyje w nas silna nadzieja, której nie przemóc nie zdoła... Ona to sprawia, radosna i bezczelna, że wszędzie u siebie w domu jesteśmy, wszędzie dobrodziejstw jakichś okazanie za obowiązek sobie poczytujemy.

Ona to właśnie nas popędza, że po pracy w koszarach, Kujon, Leń i ja siadamy na kandyby i je-

dziemy, — świadczyć dobrotliwie wszystkiemu, co nam drogę zastąpi.

W tym składzie rzeczy byliśmy już w bardzo pańskim dworze i tam górne nasze słowo wraz z grubym błotem butów padało na posadzki.

W tym składzie rzeczy nawiedziliśmy dwór inny, wcale nie pański, lecz bardzo obfity. Wszystko tu było jakoby na słońnie, zawiesiste jedzenie, pulchne dzieci w opiekłych poduszkach, psy dobrobytem charczące, konie połyskliwe, ni to w smalcu kapane i pani z tłustych podbródków przy fortepianie płacze romanse ciągnąca. Tu się Kujon na środku salonu rozrzewnił, takich rodziców chce mieć, — jako że był sierotą i przy każdej żywszej okazji upatrzonym rodzicom się ofiarowywał.

Dziś znów kłusujemy za miasto, a wielkiemu wiochrowi martwych pól na spotkanie, czarnej nędzy ludzi naprzeciw, która w tych czasach strasznej wojny świata strzępi się po drogach, gościńcach, ścieżkach i wszystkich miejscach kraju.

Nazywało się, że chcemy wyszukać pewnego chłopca, który się był już zetknął z pułkiem w mieście, organizator, działacz. Nici ludowe w rękach dzierżył, a myśmy mieli owe nici, na ile się broni tyczyło, przejąc i jeszcze mocniej powiązać. Prawdę atoli rzekłszy, — pod rzeczoną powodem leżał inny, głębszy i on to właśnie rozlegał się w naszych sercach...

Młodość nas pchała na drogi, przez mrozy, wiatry i mroki! Między różgi szronu, które się nad bruzdami gościńca kręca, między stare siwe opłotki wiejskie, na puste pola ku niewiadomej granicy widoku, ni-

gdy okiem nie dojrzanej, lecz w sercu zawsze przytomnej.

— Co z tego masz? — pyta Leń, — co z tego masz?

— Co z tego mam? — Kujon uniósł się na siodło. — Mam z tego, że wiem, dokąd ta droga prowadzi. Mam z tego, — że drzewa po bokach rosną. Mam z tego...

W istocie nic nie mieliśmy, lecz naszej czułości potrzebna była wymowa tego czasu i miejsca, objawiona wichrem po polach, troską chałup przyziemnych pod lasem i postacią biednych ludzi na drodze. Rosła w nas mściwa powaga na widok ich włości.

Spotykaliśmy kobiety, obarczone naręczami gałęzi, sunące po śniegu niby ćmy, o łomkich skrzydłach, utkanych z chrustu i mroku. Widzieliśmy dzieci w ubrankach z szarzyzny najpośledniejszego ostatka uczynionych, goniące za szczyptą węgla, którą sącył twardy niemiecki wóz. Mijaliśmy starców, których oczy zmarznęte świeciły wśród skudłonego zarostu, jak blade piętna pustki.

— Co z tego masz? — pytał Leń.

Staliśmy na skrócie z podniesionymi kołnierzami, omotani długim wichrem przegonu. Wiatr nam odginał futra, tkając zimno w plecy, a w uszy zwoje monotonnego jęku pól.

— Co z tego mam? — krzyknął znów Kujon, — a kto ma co z czegoś wogóle?

Ruszyliśmy naprzód stępa.

— Nikt nic nie wie wogóle, — powiedziałem, —

a już najmniej, dlaczego los swój poprawia. Jak nie wiedzą te drzewa przy drodze po co gniazda na swych gałęziach trzymają!

Kujon roześmiał się pogardliwie. Owe bowiem kosmate grudy, którei obrzucone były wysokie gałęzie topoli, — to nie żadne gniazda, a najwyklejsza w świecie jemoła.

— Wszystko jedno, — kłóciłem się. — Więc tak samo, jak wiatr ją niesie.

— Wiatr jej wcale nie niesie. Ptaki ją roznoszą, idjoto, po drzewach. Zresztą jest to pasożyt, który kwitnie w zimie.

Wszyscy trzej spojrzeliśmy wysoko na suche patyczne gałęzie, między którei trwały zwarte wianuszki ciemności, teraz rzekomo kwitnącej.

— Gdzie ci tam to kwitnie, — szydził Leń.

— Kwitnie, bo tak jest w botanice. A wogóle to taksamo, jakbyś powiedział, że ci biedacy, co drzewo przy drodze zbierają, są nieszczęśliwi. Tymczasem on ci ma tyle nadziei! Więcej niż niejeden miljoner. Też kwitnie.

Odpaliliśmy jeden od drugiego i konie ścisnąwszy, ruszyliśmy znów kłusem, Kujon pierwszy z ogniem papierosa, niby z ostem czerwonym przy ustach.

Zachód już się był przetoczył po białej ziemi, wysokie szczyty lasów zatrzymały go na chwilę i zgasł. Mrok zapadał, organizacyjny adres nie był dokładny, nazwa wsi pomyłona, działacza nie znaleźliśmy. Leń zaczął prowadzić krótszemi drogami, przez lasy, które powinny dotykać do szosy, ale tylko naprzód płynęły w noc coraz głębszą.

— Żeby przynajmniej księżyc!

Konie szły głuszą leśną, pełną szorstkich oddechów krzewiny, rozścielonej bezpiecznie pod westchnieniem ogromnych sosen. W kopyta nabijało się śniegu. Stukały delikatnie, budząc pod ściółką żywe tętno.

Leń szedł pierwszy.

— Skoro taki mądry i tak wybornie prowadzi! Ale, żebyś chociaż mógł powiedzieć, gdzie jesteśmy! — jęczał Kujon.

Brnęliśmy przez ciemność tak gęstą, że trudno było omijać pnie drzew, czy też krzakom miejsca ustępować. Ciągłe brały nas w swe zimne, kruche objęcia. To znów pod nogami otwierała się puszysta przepaść. Szliśmy naprzelaj, konie potykały się ustawicznie na przerośniętej ziemi.

Nagle Kujon z głośnym jękiem oznajmił, że dalej nie ruszy ani kroku. Dostaje ataku...

— Epilepsji?

— Nie epilepsji. Bólów żołądka, — tak strasznych... Ja ci mam wrzody w żołądku od tego bataljonowego żarcia. Takie nadżerki...

Leżał pod krzakiem z ręką uciepioną do udy konia, który oszronionemi chrapami zdmuchiwał śnieg.

Leń zaświecił elektryczną latarkę i powiedział:

— Można znieść, że ktoś jest głupi, ale jeżeli jest jeszcze chory do tego?! — Wstawaj!

— Nie mogę. Tam w krzyżu mam całą gwiazdę bólu. Zawsze mnie tak łapie po konnej jeździe i żołądek miętosi.

Czekaliśmy, drepzcząc po rozrośniętych szerokich

pniach, głodni, zmarznięci, niespodzianie na tę siwą skroń lasu zabłąkani.

Leń orzekł, że służalcze uleganie bólowi znamionuje o niskiem pochodzeniu. — Tylko ludzie z gminu poddają się tak łatwo...

— Dlatego, żem ci jeszcze w łeb nie dał, jestem z gminu, — stęknął Kujon, wybałuszonymi oczyma wodząc po śniegu.

Latarka zgasała. Objęła nas szumiąca ciemność lasu.

Ruszyliśmy znów naprzód, Kujon włókł się z tyłu, oddech nieznanego ostępu napełniając żalosnem skuczeniem. Na skraju zarośli dopadły nas pierwsze wątle blaski, które, wydostawszy się z pomiędzy rozpędzonych chmur, potarły cieniem zmarzniętą grude i wszędzie pod rzadkimi drzewami legły mroczną ostoją.

— Dalej, prosto, na kierunek, — zachęcał Leń.

Znów ciemność zaległa szczelniejsza, tak gruba, żeśmy całkiem prawie widzieć przestali. Pewnem jednak już było, że na jakiejś drodze jesteśmy i w pobliżu ludzkiego obejścia. Ziemia się układała pod nogami celowo i rozsądnie, jeżeli zbaczał, to cię zawracały z powrotem chrupkie szpalery krzewów, w myśl ładu logicznego rozsadzonych. Nawet sam oddech wezbranej nocy miarkował się między porządkiem roślin i zagonów, rozszczepiony na głosy łagodniejsze i większe.

Ale tu nam znowu Kujon „zległ“.

— Tylko dlatego leży, — wściekał się Leń, — żeśmy na płot natrafili. Całe życie marzył, żeby zdychać pod płotem. Zielsko ci tu we łbie wyrośnie, a potem bę-

dziesz udowadniać, że to jemiola. Wstawaj! Jesteśmy parę kroków od dworu.

Dosiedliśmy koni ze względu na domowe pieseczki i aby o gościnę ładniej z siodła prosić. Kujon się z nami porównał, trzaśnięty z bólu przez pół. Pieseczków nie napotkaliśmy, tylko pasieka się nam po drodze przydarzyła, kupy chróstu, wielkie kurhany kartoflisk. Aż oto widzimy nagle dwa złote prostokąty z czarnej ściany w ciemność idące.

— Dwór, — sapnąłem uszczęśliwiony.

Podjechaliśmy ostrożnie, żeby, czoło przyłożywszy do pachnącej mrozem grzywy końskiej, zaglądnąć w nadarzone okna.

Widać bieloną izbę, która kołuje w potrzęsach lampy naftowej. Za stołem siedzi dwoje starych ludzi. Czarna odzież futerkiem lamowana, podobnymi ich czyniła do ptaków.

Milczą.

Teraz on wysunął ku towarzysze bronzowe czoło, z pod którego nos krogulczy występuje jak dziób.

Milczą.

Teraz ona powiewa nad stołem dłońmi, chustką, ramionami, — lecz ruch się zmięszał i zaplątał.

Gospodarz podnosi się nieskładnie.

Tak wygląda drzewo złamane, gdy je ktoś sztorcem stawia. Jedne konary i gałęzie dźwigają się jeszcze, drugie ku ziemi zwisły i nic ich już nie podniesie.

Trudno usłyszeć przez szyby wśród wichru, co mówił, ostre jednak musiało być słowo, wargi mu bowiem w ostry trójkąt rozpękały, a skronie przewięzała pętla żył.

— Sumują sobie w cieple, — zaskuczał Kujon, — a ja tu zdycham.

Nagle starzec sztychem czarnego ramienia uderzył przed się. Oburącz siły jakieś brakujące, jakoby czerpał z bladego powietrza izby i zamknawszy w dłoniach kościstych, ciskał na siwą głowę towarzyszki.

Zapukaliśmy równocześnie do okien.

— Kto?!

— To my.

— Jacy my?!

— Polscy żołnierze.

Poniosło starych ku oknu, żeśmy ich twarze brązowe mieli tuż za szybami, a głos zda się, w promieniu oddechów. Ukazywali nam drogę dokoła domu.

— Siedźże teraz prosto Kujonie, — zalecał Leń, — żebyś reprezentował!

Kopyta biją mocno o grudę i szkarp, zdążając ku chętnym progom!

U podjazdu czekał gospodarz, wiatr mu rozwiewał poły, a śnieg przymnażał siwizny. Przekreśliła nas cieniem żelaznego okucia, stara, wysoko uniesiona latarnia podczas gdyśmy zsiadali. Uzdy odebrał stróż nocny, potwór w czarnych kozuchach, który się był nareszcie wyłonił z bocznych wrót i już mięszał utyski powitalne z owsianym zapachem koni.

Poznajomiliśmy się z nazwiska nie na podejździe, ani broń Boże we drzwiach, lecz w obszernym przedpokoju, gdzie nas odrazu ciepło objęło i skora, czuła uprzejmość.

— Jestem Płoński, a to moja żona Płońska.

Był wielkiego wzrostu, zwarty, twardy, ona drobna,

spłoszona, blada w czarnych chusteczkach, okryciach, pomponach, niby w ciemnej otoce siwy załazek mrozu.

Zaczęło się od wieszania zgrabiałych futer, oraz „względem zmiany przemoczonych butów“ i — któryż to błędziśmy, jakimi nas lasami poniosło na taki świat w taką noc, czyli — może najlepiej odrazu ciepłej herbaty?

Powstał wielki rozgardjasz.

Równocześnie wypadł z czeluści korytarza inny twór polskiej przyrody, żeński, ze snu rumiany, spódnicami szeleszczący i kolejno nogi nam podrywał, wycierając cholewy szmatą.

Pan Płoński czuwał nad temi staraniami, zagajenie rozmowy ochotnie rozcierał w szerokich dłoniach, — tylko pani domu obcą się wydała całej sprawie, jakoby przecząca głową wszystkiemu, co się w uprzejmem przywitaniu odbywało.

— Nic z tego wszystkiego nie będzie, a ja chcę leżeć, — skuczał między płaszcami Kujon, — lepiejby było do chłopca gdzie wstąpić na mleko. Wygoda i zdrowotność!

Wprowadzono nas do jadalni.

— Innego pokoju nie mam dla gości, żeby jakiś salonik, albo w tym rodzaju. — Pan Płoński wziął się pod boki i ze skargą w głosie: — Bo to nowy dwór panowie, stary obok stoi, — spalony.

Nie dobrze się wybiera, kto do nas na skargę idzie! Skórę mamy tyle razy garbowaną, żeśmy ludzie niewybredni i z nieszczęściami łatwą zgodę czynić zwykli.

— Stary spalony, nowy zapewne prostszy, — wycedził Leń uprzejmie, — ale niegorsza przecie siedziba?

Pozdrowiliśmy ją zaufanym spojrzeniem, ujęci wonią dworku, w całej Polsce jednaką, na którą się składa wapno, chleb, beczka i suszone owoce.

W myśl wskazania gospodarzy obsiedliśmy pod piecem stare, rogate puffy. Nikt na razie nie wiedział, jak prowadzić rozmowę i całkiem nieoczekiwanie cisza zapadła.

Ręce brzękną z nagłego ciepła, powieki człowiekowi osładza łagodne światło naftowe, wiatr wodzi się z szronem po polach, bliskie krzewiny szeleszczą, podczas gdy oddech dalekich lasów przypląwa z rzadka.

Słychać wszystkie kłopoty wiatrem wstrząsanego domu. Tam haczyk jakiś kołata, tu tynk dygoce, ów-dzie okiennica się zerwała i klaszcze po nocy.

Nagle milknie okiennica, haczyk się ustatkował, tylko w białym piecu polatuje cienki kosmyczek głosu, samotny i wesoły za żelaznymi drzwiczkami.

— Co z tego masz — przypomniał sobie Leń z uśmiechem — co z tego masz Kujonie?

Na co Kujon w odpowiedzi do Płońskich:

— Wojna, wojna, ale siedzicie państwo tu zacznie! Taki spokój znaleźć w dzisiejszych czasach na przykład!

Nie odpowiedzieli. Starzec się osunął jeszcze głębiej i długie ręce splótł na chudych kolanach, ona rzeczby można, iż spróbowała uśmiechu. Lecz uśmiech się nie udał, cienie po nim zostały wśród zmarszczkó-w nie zebrane.

Z dużą wprawą wypełniliśmy tę chwilę opowiadaniem o naszych wojennych kolejach.

— Zadanie młodości — zbył nasze dzieje łaskawie

pan Płoński — uganiać po świecie. A co nam, starym pozostaje? To samo, co starym psom — pilnować!

— Owszem. — Leń doskonale wchodził w koleiny powszechnej wówczas rozmowy o wytrwaniu, cierpliwości, nadziei. — Słowo „pilnować“ nie oddaje całkowicie tej rzeczy. Bo przecie o ileż więcej dokonaliście! Był dwór spalony, a tymczasem już w nowym tu jesteśmy. Można powiedzieć, że jak feniksy z popiołów...

— A ja powtarzam, pilnować. — Pan Płoński wyprostował grzbiet, na zeschniętej szyi głowę ku górze podźwignął, jak to czynią wyży, gdy łagodnymi oczyma szukają cierpliwie w niepojętej przestrzeni czekania. — Być na miejscu. Być ciągle — bez przerwy... Tak. Krokiem nie ruszyliśmy się stąd nigdzie. Bo przychodzi czas na człowieka, że musi być wiatrem, a przychodzi czas późniejszy, że musi być kamieniem.

— Kamieniem? — urwał Kujon.

— Panowie śmiejecie się, a kamieniem nie łatwo być. Zdaje się, że tylko leży, nic nie robi, — pani Płońska rozejrzała się uważnie — ale jeżeli pomyśleć, że wszystko się poruszyło, pobiegło, odleciało, a on tu został i leży sam?...

— Tak, tak, tak — zaklekotał pan Płoński — lepiłszy tu panowie naszą biedę ze wszystkich stron. Co poradzicie, gdy domu nagle nie stanie? Dziś siedzi się znów w swoich ścianach, ale żaden z was żołnierzy, którzy burzyliście tylko, nie pomyśli, ile w tych ścianach musi być serca? A skąd je brać na stare lata, owo serce budujące?

Opowiadał źródłowo, czego to trzeba do wybudo-

wania domu. Ile wapna, cegieł, żelaza, a ile wiary, miłości, ducha. — Nie tak żono?

Wierny uśmiech rozwinął się na wargach pani Płońskiej. Powtórzyła wszystko za mężem o wapnie, żelazie, cegle. Jej ręce starały się dobrze słowom towarzyszyć, a oddech zdaniom. Lecz słowa, jedno za drugim sypały się bezradnie.

— Powtóre — pan Płoński nasrożył się i umilkł. Przysunęliśmy się życzliwie.

— Panów to dziwi zapewne, że stary człowiek zwierza się przy pierwszym spotkaniu. I takim pędziwiatrom, jak żołnierze!

— Wcale nas to nie dziwi — odpowiedział Leń z godnością. — Jako żołnierze mamy prawo do wszystkich nieszczęść i trosk zarówno tej ziemi, jak i jej mieszkańców.

Aż się nam zimno zrobiło tak godnie to powiedział.

— Powtóre, nie na jednym miejscu żyje człowiek, ale w wielu innych zarazem. Jakies tam pędy wypuszczał przecie w różnych swych latach. Tu się rozgałęził wysoko, tam znów przy ziemi się rozkrzewił... Na różne strony. A gdzie ma być, gdy go nagle los zapyta i zaraz odpowiedzi żąda? Czy gdzie korzeniem się wwiercił, ma człowiek być, czy tam, gdzie się rozgałęził, czy ówdzie, gdzie jest rozkrzewiony szeroko?

Pani Płońska przerwała mężowi, wykonując niezręczny ruch dłonią, jakoby zabłąkaną w wodzie opornej: — Kazanie panom prawisz, wielkie sprawy, ważne rozumy, a tymczasem głodni siedzą!

Zakrzątnęli się koło kredensu, a Kujon jęczał po-

ufnie: — Częstować nas będą, tymczasem nie mogę nic jeść!

Kredensisko otwarło wszystkie swe czeluście. Już się indyk wyłonił z widelcem pod pachą, cielecina w szyldkret tłuszczu oprawna, różowe kołaczki i białe serce niewinnej gościnności — ser śmietankowy.

Zasiedliśmy, parę słów wstępu wymienili i już starki po sobie następują mocne jak rzemień, już dobry, suty kęs wnętrza człowiekowi łagodzi. Kujon skubie tylko, poziera błagalnie na strony, widzimy — cierpi, lecz trudno!

Ja sobie jem po prostu, nie gadam, tylko zawijam, Leń za nas obu dźwiga ciężary wychowania, przeplatając srogi apetyt szykownymi słowami. O wojnie, o włóczędze, o koniach.

Tak go swada poniosła, że po indyku, z nad talezryka pełnego pierników wstał uroczyście i — za pomysłność szanownych państwa — powiada — za szczęście waszego nowego domu pijemy!

— Za szczęście tego domu! — Pan Płoński uniósł się wyniosłe. — Mówisz młody człowieku, szczęście... Tuśmy, świeć nad ich duszą, dzieci nasze chowali, nasza młodość w tej ziemi leży. Szczęście stąd dawno odeszło. Jeżeliśmy w tej zawierusze zostali, to nie dla krup, murów, ani drzew, czy też orki, majątków, pożytków. Ale powiadam, — gdzieś indziej tak się wier nie kamieniem położy, gdzie mnie tak los obejmie i z wszystkich stron zaciśnie?! Jeżeli takie szczęście masz przyjacielu na względzie...

Pani Płońska podniosła ramiona. — Mój mąż tak wybrał właśnie... — Dłońmi, chustką, ramionami, pra-

Przyklęła obok kanapy.

Poskoczyliśmy do pana Płońskiego, żeby tłumaczyć, zagadać. Odsunął nas, wychylony ku żoninym płaczom.

— Nasz syn... — Stary szukał po wszystkich kieszeniach, na piersi, a nie znalazłszy jakoby niczego, ręce opuścił i nagle zawołał sędym głosem: Mój syn, panowie! Ale gdzież — zawołał strasznym głosem. — Mój syn! Ale gdzież indziej tak się kamieniem położyć?! Gdzież indziej płacze topola takim piorunem rozdarta?!

Ciszę ścian, czarne okna, wiatr i oddech lasów zmieszawszy w jednym ruchu — tu jest mój kraj — zakończył.

Ku tym słowom wyrzała z nad mleka bura głowa Kujona. — Ma się rozumieć — westchnął łagodnie — pan szanowny przywiązał się. Wszyscy się w końcu przywiązujemy.

Nie dali choremu mówić. Musiał wysłuchać, zrozumieć, głaskany drobnymi dłońmi, przytwierdzony ramionami gospodarza.

— Bo cóż — zebrał pan Płoński u trybunału dobrych uśmiechów Kujona. — Matka mi ciągnie w świat za ostatnim synem, a tymczasem tu przecie wypada końca pilnować.

— Końca nie końca — wykręcił się Kujon.

— Jakż może być koniec?! — Żarliwe wyrzuty, nikle westchnienia, wstrząsane wielkim żalem i wszystkim wdzięk zlekniiony — mało tego było pani Płońskiej — jeszcze łzy... — Jakż tu koniec może być, kiedyśmy za ostatnim chłopcem naszym nie poszli?

Tylko jego biedne cierpienie — wskazała miłośnicie na Kujona — oto tuła się tak!

— Nie tuła się, pani dobrodziejko. — Położył czerwoną twarz na ręce staruszki.

Wszyscyśmy mieli rodziców. Muszą się wycierpieć, to trudno. Muszą mieć za swoje.

Z jego ruchów znikło teraz wszystko, przez co w pułku był zawsze „kujonem“. Ramiona nabrały wdzięku, a w rękach jakoby się śpiewność rozgościła i urok nieśmiałego pytania. Pocieszał starych, gadał, strofował, palcami spolił jakieś sprawy ważne, rzekomo niewidoczne pośród słów pospolitych.

Płońscy usiedli przy kanapie. Przyznać trzeba Kujonowi, iż dbał, aby się im przez chwilę nie nudziło. Tyle miał potrzeb, tylu wymagał zabiegów, tak czułego starania. Musiano mu jeszcze raz przynieść mleka. Potem zażądał zdrowotnych sucharków. Do nich masła, byle było „świeżutkie“. Potem zażądał „potrawy z nabiału“, to jest jajecznicy z pięciu jaj. Kiedy już nareszcie „przyjął“ to wszystko, niby z wozu tryumfalnego, wódz ku ludowi, pochylił uśmiechniętą twarz ku Płońskiej iłożywszy głowę na jej podołku: — Nie tuła się, proszę pani — choroba syna pani szanownej — nic się nie tuła, jeżeli na dobrych ludzi natrafi.

Przebaczył starym, że od wyjazdu syna słowa „prawdziwego“ ze sobą nie zamienili, przebaczył, że matka zawsze za synem, a ojciec — wyższym celem!...

Przypomnieliśmy w porę, że czas jechać. Raczył się zgodzić, derkę, dumnie odrzucił, starych jeszcze raz dobrem słowem udarował i ruszyliśmy do przedpokoju.

— Myślicie, że mi się tak bardzo chciało jeść? — zatrzymał nas po drodze. — Słowo wam daję, dla nich jadłem tę jajecznicę... Żeby nadziei nie tracili...

W przedpokoju czekaliśmy na panią Płońską. Obiecała przynieść choremu coś specjalnego na drogę.

Z tym właśnie, jakgdyby puszystym zwitkiem mroku wybiegła z alkowy i ręce Kujonowi oparłszy na pierśsiach: — Moje dziecko! Zrobiłam to i leżało sobie w komodzie na atłasowej poduszce, bo wiedziałam, że potrzebuje tego zawsze mój chłopiec, a nie ma! Proszę tak stać — ja upnę.

Cienkimi palcami, które, jak suche pędy czepiały się sukna, upinać ją na mundurze zawiły system puchu, jedwabiu i gazy.

— Mojego pomysłu przepaska, nie może być ciepłej i lżej zarazem!

Kujon stał posłusznie, coraz czerwieńszy, nieśmiałym wstydem kwitnący. Pod dotknięciem sinych, starych rąk, rosło mu na mundurze — niby gniazdo ciemne. Już znikły pod niem guziki z srebrnymi orłami, znikła nasza odznaka pułkowa i pas rzemienny.

— Masz pod sercem jemiółę! — wykrzyknął Leń przy drzwiach.

Na szczęście starzy nie zauważyli, bo klamka się na mrozie zacięła i szable nasze czyniły wielki hałas.

— Konie czekają! — wołałem.

Siadaliśmy kolejno pod czujnym okiem gospodarza, który wyszedł za nami na podjazd. Jedną ręką wymachiwał pożegnalnie, drugą ogarniał żonę. Jakoby mu z objąć miała ulecieć w noc, — szale, chustki, szmateczki wiatr ciągnął, mierzwił, porywał.

Jużeśmy siedzieli na siodłach, — konie srebrny oddech wydały nozdrzem aksamitnem.

— Przychodzi czas na człowieka, — huczał przez zawieję pan Płoński, — że musi być wiatrem i przychodzi później, że musi być kamieniami.

Wołał coś jeszcze, lecz już nie słyszeliśmy, tylko nam mignął jasny prostokąt drzwi, w które leciały do wnętrza drobniutkie płaty śniegu, jak roje płowych motyli.

BOGOWIE

Mój dniu malutki, późnemi cudami płonący, którego godziny nawijały się zawsze tak wolno na skore wrzeczona czasu; wieńczony uśmiechem rodziców, — dniu kochany, któryś zaczynał krok wśród dziez i mis, pełnych złotej opatrności żółtek, a kończył w blasku kolorowych świeczek, podłużnem sercem płomienia kwitnących na choinie.

Mój dniu i nasz, w naszym domu... Nasz w każdym innym! Nasz we wszystkich domach miasta, — nasz we wszystkich domach świata! Nasz, — dzieci, przejętych nabożnem czekaniem, wychylonych ku niebu, z którego nim zejda gwiazdy i aniołowie, łuszczy się śnieg proroczy! Nasz dniu, kołysany o zmroku kolendą, w figi, daktyle i suszone owoce strojny, u kolan smutnej matki falami radości końca dobiegający, — jakże daleko odszedłeś!

Twarde, wojenne czasy obrały cię ze wszystkiego. W bitwie tęsknota po tobie została, czyż nie śmieszna między pożarem a krwią? Na odpoczynku zaś, choćby jak tu, w starym, czerstwym Pułtusk, pośród najlepszych nawet ludzi, cóż z tobą począć?

Gdzie złożyć twą kosztowną wyłączość, jak zamknąć przed miejscem i czasem coraz nowszym?

Zdawało mi się, że w ten sposób myślę i czuję, gdym szedł z mego zimnego mieszkania „nad bramą“ — gdym mijał małe domostwa, przetykane zaśnieżonym

nieużytkiem, gdym się znalazł w gmachu, — jak lubią być u nas gościnne gmachy małych miasteczek, — poszkolnym, poklasztornym, pokościelnym, posądowym? Zdobiły go jeszcze po wierzchu gotyckie łuki i kute, stare wrota i mury rozparte, po kątach grzybkiem trefione, lecz treść jakoby utracił. Niewiadomo, co się w nim za praca odbywała, prócz przygodnego święta.

Dziś mieliśmy tu jeść żołnierską wilję, przez komitet miasta i ziemiaństwa naszemu szeregowcowi wydana. Właśnie, — szeregowcowi. Tak chciały komitety, i myśmy tak prosili, oficerowie. W tym dniu wielkiej nadziei, na Najmniejszym skupionej, wszystko, na co się zdobyć możemy pod postacią pieniędzy, podarków, wiktuałów, grzybów, kapusty, pieczywa, ryby, papierosów, — będzie oddane tym, którzy zawsze mają najmniej.

Wilja naznaczona była w odprawie na drugą południu, ale to przecie wilja dla tysiąca chłopaków, więc pracowano od rana z pełnym ferworem. Na schody wejściowe naniesiono już tyle śniegu, że się z niego udeptał chodnik, jakoby lity oksydowaniem srebrem.

Po obu stronach pilnowały go młode sosenki, z których bezdomny drobiazg miejski wciąż strącał śnieg „na naszą cześć“, — żeby gałęzie tchnęły czystą suchością, jak kiedy stoją w izbie.

W refektarzach, salach dawnego sądu, czy też dawnej nauki, — bo nikt nie mógł ściśle powiedzieć, co się tu sprawowało, — stoły już były wyrzuczone w podkowę, nakryte białą pościelą, już nawet zasta-

wione talerzami i miseczkami, które pod łukiem sośniny prószyły potulnym blaskiem.

W izbach panowała uroczysta cisza, a w kuchniach, umieszczonych na końcu długiego korytarza, — piekło!

Dymiące wulkany kapusty, ciemna, chłonna kurzawa spoconych kasz, oślizgły skręt pociętych drobno klusek, duże rydze, jak płaty wątroby po stolnicach chlapiące, spierzchły zgrzyt wzdętych bochnów chleba, wartkie ciało bułek sypane z kosza do kosza, srebrny połów łyżek, ciągniony z miejsca na miejsce, wrzask tłuszczu, wrącego na patelniach, grzmoty przykryw, miotanych na roziskrzoną blachę, — wszystko to w danej chwili stanowiło jedność groźną, straszną, i nie dziw, że nie mogły sobie dać z nią rady liczne panie w prasowanych fartuchach, ani otyli panowie komitetowi, laskami wskazujący drogę żywiołom pary, hałasu i jedzenia.

Gdzież tu się miało przytulić moje ciche wspomnienie? Samotności chciwe i ukrycia, w samotności rodzinnej dojrzałe, gdzież tu, wśród miejsca i ruchu na tysiące obliczonego, zaciszną stronę odkryć mogło?

Zbudowany tedy, lecz jeszcze większą obcością zdjęty, wróciłem do mego zimnego pokoju nad bramą, by, odziewszy się w futro, zasiąść przy stole, obok krzywej umywalni, naprzeciw okna, i pisać do kogoś list.

Do kogo, — o czym?

Do ludzi, do czasu, do lasów?

Do nikogo o niczem, — bo jeżeli dzień każdy przynosi, ile dawniej rok unieść nie zdołał, to jakże w tym zamięcie hodować dawne wspomnienia i drogie cie-

nie zwoływać? Gdy jedną drogę dawną tysiąc nowych omota, a cieni się nad nami unosi tyle, że nas wypełniają czarną swą nocą po brzegi?

Wtem rypnęła na dole brama, tupanie, kichanie, pryhanie na schodach, stateczny łomot w korytarzu, — to Kujon oczywiście.

Nie zdjął futra, nie rozpiął pasa, jak był, w czapce-długich butach siadł na łóżku, wziął papierosa, za, palił, rzucił zapalnik na podłogę, nie dał ręki na przywitanie i wreszcie:

— Wilja dziś o drugiej, wiesz?

— Wiem.

— Wiara ci od rana nic nie żarła, tak się kasują na tę wilję! Bycze miasto, co?

— Owszem, bycze.

— I panie tam widziałem w kuchni, — matrony!

Trudno było wywnioskować z intonacji, czy szacunek unosi się w wykrzykniku, czy impertynencja.

— Panie rozgrzane, rumiane, panowie w brelokach z sygnetami. Byczo będzie, rzadki fest! Dasz się ogolić?

Golił się skrzętnie, ciągnąc uszy wtył aż na kark, skrobał pod oczami, pod grdyką i szarpał skórę z pod szczęk w niemożliwym poproście kierunku.

— Pudru nie masz?

Kiwnąłem przecząco, a wtedy Kujon:

— Co mi tu robisz takiego hrabiego? Co jest? Jest wilja, jest fest, goszczą cię ze wszystkich stron!

— Pozwól, nie gniewaj się, — chciałem mu wytłumaczyć. — Oczywiście, bardzo „to wszystko“ jest miłe, ze względu jednak na wspomnienia wołałbym

być sam. Ma się rozumieć, nic wielkiego! Ale tym dniem przyzwyczailem się jeszcze od dzieciństwa jak gdyby mierzyć swoje szczęście i los. Z roku na rok. Więc z roku na rok tego dnia za „szańcem najdroższej bliskości“... Słowem, choć was wszystkich bardzo kocham, wołałbym dziś w zamkniętych czterech ścianach, — sam...

— A ja, wiesz? — twarz mu obwisała, cienie spadły, światło zeszło, i szara obojętność rozpostarła się w wyrazie, — ja całkiem przeciwnie! Niech mi tam mieszają w tym dniu, jak w kapuście! Nie mam większego zmartwienia! Powiem ci krótko, po naszymu — co obowiązany byłem rozumieć, po lwowsku: — „Ty mów a ja zdrów“!...

Podsunałem mu papierosy, mleko, które zostało ze śniadania.

Wspomnienia się plotą, tak myślą, trącane falami przeszłości. Co ważniejsze? Czy głos dzwonka, czy układ żył na skroniach ojca, czy zapach klejonych żołnierzy z pod drzewka, — czy śmierć, która już nad tem wszystkim tak dawno przeszła dalej?...

— Jeżeli mówimy, — rzekł nagle Kujon, — to mogę ci powiedzieć, że dla mnie, „jako takiego“, cała ta wilja i wogóle gwiazdka... Możesz sobie w tem mieszać, jak w kapuście!

— Nie chcę.

— To nic, ale możesz: — w okrągłych, niebieskich żrenicach Kujona stanęła przestronna nieobecność. — Bo ja ci powiem...

Zaczął przełykać wzruszenie, pomieszane z kaszlem,

i niewiadomo kiedy rozsnuły się wyznania krótkie, proste, nieogłędnie dotykane słowami.

— Bo wy myślicie, że ja zawsze byłem, cóż tu dużo gadać, takim kańciastym Kujonem, bykiem? A tymczasem, gdybyś ty mnie, bracie, widział jako dziecko! Taki ci byłem przepisowy, wzorowy! Wszystko, co stoi w elementarzu i w wypisach, jako przykład. I nawet dokoła mnie tak się przykładowie składało! Łatwo wam gadać, których ojciec był doktorem, adwokatem, albo inżynierem! To już zawsze stosunki, stanowiska. Ale mój ojciec był rzeźbiarzem świętych figur do kościoła, — mikołajków!?

Od zarania pamięci wychowywał się Kujon u tego ojca, rzeźbiarza, i matki, krawcowej, w tłumie świętych. Za dobrych czasów pełno ich było w domu, i nietylko, że czekali cierpliwie w pracowni, nietylko, że gościć ich trzeba było w izbie jadalnej, ale nawet nie mieścili się w korytarzu! Wynosiło się ich na dużą werandę, z której, zaglądając do okien mieszkania, schli pobożnie.

— Powiadam „pobożnie“, bo tak to wtedy rozumiałem. Póki stoi sama naga pałuba, to nic. Ale kiedy ojciec już jej ręce przykręcił, twarz wyrzezał, wypolerował i złotą aureolę przykleił, — to niby jak?! Dla mnie do dziś drzewo i klej to świętość. Rozgotuj garnek dobrego karuku, niech mocny zapach rozlegnie się w pokoju, — a ja ci zasnę ze wzruszenia!

Już nie mówiąc, co do drzewa. Może być miękkie, trwałe, twarde... Weź, na przykład — gruszka. Ma w obróbce ciało różowe, jak kobieta. Albo buk, — też się płoni, jakby się wstydził. A słoje! Buk bę-

dzie ci miał na sobie zatoki, przysięgniesz, że jakaś woda w nim umarła. Sosna znów nic nie jest warta, sosnęśmy brali na małe lokalne męczennice. Ale dąb?

Z dębu robiliśmy Tróję, Boga-Ojca i Chrystusa. Ojciec wszelkiego drzewa! Ja mówię, że cała architektura wszystkich wieków jest w słojach dębu. Na to niema rady, i z tem żaden kształt ludzki, ani nawet plaster miodu co do budowy równać się nie może.

Wtedy, w dzieciństwie — i to mi dużo razy w życiu pomogło, — charakter pisma wyrobiłem sobie na drzewie. Bo drzewo było dla nas, jak zboże, z którego jest ciasto, które się je. Całe pożywienie, całe życie!

Człowiek sobie siedział i wodził ołówkiem po słojach, — nawet nie czuł, że mimowoli rękę kształci. Znasz mój podpis? Jak ci pod nazwisko podsadzę swój zakrętas!

No więc dalej. Tak ci jest w domu wiele lat, że im więcej świętych czeka, leży, stoi, schnie, czy za oknami weranduje, tem nam jest lepiej ze wszystkich stron. Moja matka brała dawniej szycie do domu, krawcowa, — teraz nie bierze. Nawet rodzeństwa mi przybywa, siostra, potem brat.

Ze wszystkiego widzisz, że dobrze się ludziom powodzi, na to nie trzeba wielkiej filozofji, żeby to czuć. Posłuchaj, jak gada stolarz, u którego pałuby zamawiamy... Już od drzwi się śmieje, na cały dom, aż pozłotka z figur oblatuje! Czapkę trzyma w rękę, — dlaczego? Przecie ojciec taki sam rzemieślnik, jak ten stolarz? Bo od nas zamówienia ciężkie dostaje!

To masz stolarza.

Jeżeli ci tego mało, — obudź się w nocy, ni z tego ni z owego. Jak to bywa u dzieci, — z niezrozumiałej wdzięczności. Co widzisz?

Widzisz cały las świętych, tłustych, zaczesanych, — zawsze mi się zdawało, że podobni są do mego katechety, — uśmiechniętych wesoło do księżycy. Cały las, a jeszcze przed oknami, na werandzie czekają, nim ich do domu wpuścisz! Cały tłum, bracie, z czego wynika ciepło i powodzenie.

Toby sobie tak trwało, i jaby ci z tego wszystkiego, tak dziś myślę, na księdza wkońcu może poszedł, — już byłem w trzeciej gimnazjalnej, — aż tu umiera mój brat najmłodszy. Każdy, jak był dzieckiem, przez jakąś taką śmierć w domu rodzicielskim przechodził.

Równa się — pogrzeb. Mogę powiedzieć, że z dumą szedłem za karawanem. Takie wielkie nieszczęście, i na to ja, taki mały! Zmuszałem się do płaczu bez skutku.

Równa się — nad otwartą szufladą komody z zamkniętymi ubrankami krzyk matki, kiedyś-tam szarówką, bo naogół wszystko było dotąd spokojnie.

Równa się — zacięte milczenie ojca. Nigdy żaden ojciec nie powinien tak milczeć, — od tego dzieci pozostałe żywcem schną.

Co się potem działo i jak w naszych sprawach handlowych — nie wiem, dość, że świętych zaczęło ubywać. Ci z izby jadalnej przeszli do pracowni, ci z werandy znaleźli się w jadalni. A potem wszyscy zmieścili się już tylko w jednej pracowni!

Nie umiałbym ci tego określić długością czasu, bo mierzy się w tym wieku wszystko na stopnie i świadectwa, — ostatecznie jednak pracownia została prawie pusta. Nie miał kto do niej zaglądać z werandy, a jakeś się obudził w nocy, nie widziałeś już uśmiechniętych do księżycy rzeźb — lecz dużą, nożną maszynę do szycia, zawaloną bluzkami dla służących.

I jedno, — bardzo smutne... Dopóki pełno było u nas tych naszych świętych, matka zawsze opowiadała, że jest znakomitą krawcową. Tymczasem od kiedy wyszli, okazało się, że prawie nic nie umie. Służące tak często krzyczały na nią! Cóż chcesz?...

Starałem się zgodliwie poddać wspomnieniom Kujona, niczem ich nie obrazić, przychylić się do ich szarego przebiegu. Śledził mnie czujnie. Widząc jednak, że moje płaskie ręce, na stole złożone, posuwają się równo, jakoby za słowem jego, że moja twarz zakrzepła w błahym uśmiechu cierpliwego czekania — gadał dalej.

— Z ojcem widocznie coś się zrobiło, jakaś zmiana od śmierci tego maleństwa. Mówiłem ci, że świętych ubywało, ale nie myśl przez to, że stary opuścił się, rozpił, lub coś podobnego. Owszem, pracował, — tylko całkiem inaczej. Dłubał ogromnie starannie, zamknięty na cztery spusty. Ale powyrzucał teraz wszystkie wzorki. Dawniej tknąć mi tego nie wolno było, a teraz takimi „przekrojami“ i albumami niemieckimi, — każdy rzeźbiarz mikołajków posługiwał się tem, — czy też różnemi wzorami na liście, girlandy i ozdóbki mogłem się bawić, ile mi się podo-
bało.

Powyrzucał to wszystko i powiedział matce, że teraz „z siebie pracuje“.

Co to była za praca „z siebie“ nie rozumiałem oczywiście, w każdym razie jedno jest pewne: nie kupowano tego! Może dlatego, że ojciec nie wykańczał? Zaczął jedno, drugie, wysilał się, mordował, tarł temi glaspapierami drzewo, sam wszystko lepiał, odciski sobie ponabijał na rękach i na palcach, a tymczasem w domu zrobiła się najprzód bieda, a potem skrajna nędza.

Nie mogę sobie teraz przypomnieć, jakimi to poszło drogami, nikt właściwie nie wie przecież, w jaki sposób dzieje się taka rzecz, — ale tak jakoś wypadło, że wtedy jedyną moją ucieczką czy nadzieją stał się nasz nowy katecheta. Może poprostu dlatego, że był podobny do naszych świętych z tych jeszcze dawnych dobrych czasów?!

Prałat — więc miał na ramionach pelerynkę zgrabną, króciutką. Był tłusciutki, okrągły, ręce różowe, jakby wycięte z gruszki, ozdobione migdałowemi paznogciami. Mówił dużo, słodko. Zdawało się chwilami, że nawet ślinę ma słodką. Pachniał lepiej jeszcze, niż klejem, — z każdego fałdu sutanny wychylał się rąbek fioletu, pomieszany z perfumą.

Uważałem, że muszę mu wszystko powiedzieć. Co to miało być „to wszystko“, nie wiem i nie pamiętam. Byłem u niego u spowiedzi, rozpłakałem się. Mówiłem o drzewie, o świętych. Wiem, że się skarżyłem, że już stolarz do nas nie przychodzi z czapką w ręce, i że mama szyje bluzki, a nie umie. Opo-
wiadałem, że gdyby były zadania szkolne z religii,

widziałby, jak ładnie piszę i że powinienem pomóc rodzicom. Że się modlę, ale to nic nie pomaga.

Dał mi rozgrzeszenie, zadał jakąś niedużą pokutę, a w parę dni później wywołał mnie z klasy i powiedział, że się myślę, że nigdy niczego nie trzeba rozstrzygać za Pana Boga. Że „właśnie“ modlitwa moja została wysłuchana. Widział moje wypracowania w kancelarii, mam ładny charakter pisma, powinienem się starać, żeby za charakterem pisma poszła także dusza, wobec czego on, nasz katecheta, — weźmie mnie do siebie na sekretarza!

Dostawałem za to kilkanaście koron miesięcznie i codziennie podwieczorek. Byłem sekretarzem prałata. Wydawało mi się, że ja, właśnie ja dopełniam tego czego brakowało, aby „nasz ksiądz“ był równie doskonały i piękny, jak święci mego ojca. Katecheta nasz bowiem był krótkowidzem, nosił szkła w złotej co prawda oprawie, — ale powiedz, czy, kiedy się ma trzynaście lat, — mogą być święci w okularach!?

Praca sekretarska w ślicznym mieszkaniu, gdzie krzyż z hebanu (wiedziałem, jak drogie jest takie drzewo) wisiał na atlasowej makacie tureckiej (dla upokorzenia półksiężycy), gdzie na nocnym stoliku leżały pachnące gładką skórą brewjarze, przetykane jedwabnymi haftami, gdzie przy piecu stał kłęcnik aksamitny, mahoniowy, wykładany masą perłową, a na stolikach oglądać mogłeś mnóstwo fotografii świętych miejsc, albo nawet przez dioskop fotografie Ziemi Świętej, otóż powiadam, praca sekretarska była dla mnie niebem!

Cóż, że nie czułem się godny tego nieba? Że w na-

głym strachu czyściłem sobie ukradkiem paznogie pod srebrnolitą kapą? Albo, gdy prałat wyszedł na chwilę, że przestraszony żółtością swych zębów, zdrapywałem sobie z nich pośpiesznie osad wilgotny? I co tu z tego, że wstydząc się chodzić w zabłoczonych trzewikach po mięciutkim dywanie, w przedpokoj, gdy służący prałata „pan Kazimierz“ nie widział, — że je ocierałem do suchości z błota moją własną czapką?

Godny, czy niegodny, ale czułem, że tu jakaś wyższa świętość obraca się na każdym miejscu. Że sobie mieszka wygodnie, ani tak tłusta, jak ci nasi święci dawniejsi, ani tak szorstka i straszna, jak to, co wydłubywał teraz z drzewa ojciec. Miła, czysta, pulchna, grzeczna świętość, — i to wszędzie, gdzie rzucił okiem!

Piszesz „zaproszenie do pana hrabiego“, albo „do pani baronessy“, po obu stronach biletu wypisywało się tak, żeby „z głębokim szacunkiem“ wypadło zaraz nad nazwiskiem, — czy piszesz pod dyktando „o masonach“, czy robimy sobie „wakacje“ i „bawimy się w Dickensa“, co znaczyło, że prałat będzie mi swoją powieść dyktował, — zawsze jesteś w pośród grzecznej świętości!

A dopiero, kiedy z naprzeciw, z klasztoru Panien Salezjanek dzwonek zadzwoni na Ave... Wiedziałem, że zaraz przyjdą dwie siostry w białych szatach i, ucałowawszy prałata różową rękę, podadzą kawę.

Takiej kawy nigdy w życiu nie piłeś, ani ja już pić nie będę. Bo także mi się wydawało, że jest w niej świętość. Obok na talerzyku drogocennym kilka kawałków niby chleba, niby bułki... Ani jedno, ani

drugie. Powiem ci krótko, — dziwne pieczywo, błogosławione. Jeżeliby tu mogła być mowa o natchnieniu, to to było pieczywo natchnione!

Jemy, — ja ci się wstydzę łykać poprostu, jeszcze dodaj do tego wielki żal, bo tu łykam takie dobroci, a wiem, że mama nigdy w życiu żadną chyba bluzką na jeden taki łyk nie zarobi!

Do tych sióstr żywiłbym gniew, i to byłaby jedyna rzecz, któraby mi mogła zepsuć moje sekretarstwo. Aż tu wyobraź sobie, siedzę przy tej kawie, skromnie gryzę maślaną bułeczkę, cicho przełykam, — gdy co się okazuje? Okazuje się, że prałat mówi z siostrami o ołtarzu, który nie jest należycie ozdobiony. Że brakuje tam rzeźby, a właściwie figury, i że na „gwiazdkę“ taką rzeźbę siostronom na ołtarz zamówi.

Wskazał na mnie migdałkiem paznogcia: Zamówię u ojca tego chłopaczka. Ojciec jego jest doświadczonym rzeźbiarzem.

Zarumieniłem się, spuściłem oczy, ale kątem zrenicy widziałem równocześnie przez okno wrony, lecące po niebie. Każdą z tych wron całowało wtedy moje serce z wdzięczności.

Możesz sobie wyobrazić, jak dumny wracałem do domu, i co matka! I jak ostrożnie musiałem opowiedzieć ojcu, — że komuż zawdzięcza dawno niewidzianą pracę, — mnie!

Poszliśmy razem do prałata, ja, jak zwykle, ale ojciec w odwiecznym nowym surducie, w atłasowej krawatce niebieskiej pod wykładanym „rzeźbiarskim“ kołnierzykiem. I swoje drogie spinki miał w mankietach. Srebrne pistolety z koralem u wylotu lufy.

Gdy się w to ubrał, choć wtedy wiedziałem, że nie mogło być piękniejszego i godniejszego ubrania na świecie, niewyraźnie mi się zrobiło. Nie wiedziałem dlaczego?

Bąłem się, — za ojca... Czy potrafi tak grzecznie, jak ja, powiedzieć panu służącemu Kazimierzowi: „Dzień dobry, panie Kazimierzu“! Czy tak, jak powinienby, potrafi się zawstydzić hebanowego krzyża na półksiężycowej makacie? Czy okaże wszystkim meblom należny szacunek? Przecież napewno nie wytrze sobie butów kapeluszem, tak — jak ja czapką wycierałem sobie podeszwy? I najważniejsze... Czy należycie przestraszysz się księdza prałata, czy pocałuje go w rękę?

Gdyśmy nareszcie minęli jakoś szczęśliwie pana służącego Kazimierza i gdyśmy się znaleźli w salonie (tu właściwie każdy pokój był salonem), w którym pisałem codzień, — wszystkie meble jakby się rozstąpiły o dziesięć kroków, a ojciec tak mi się wydał samotny, długi, czarny!

Wtedy pierwszy raz w życiu spostrzegłem, że żółta twarz mego ojca błyszczy się na policzkach.

Przestępował z nogi na nogę, kładł ręce, pełne odciśków, jedną na drugą, to znów wycierał je sobie o spodnie. Wydało mi się nagle, że muszę go ratować, tem bardziej, iż w drugim pokoju słyszał już było miękkie dreptanie watowanych pantofelków i jedwabny szum prałatowskiej sutanny.

Podszedłem do ojca, położyłem sobie jego ciężką rękę na ramieniu i — tak ci powiem, jak to czułem wtedy, — i zacząłem go prędko „uczyć“... Żeby wie-

dział, — żeby umiał! Opowiadałem mu jak najprędzej, gdzie siedzę przy biurku, którędy chodzi ksiądz prałat podczas dyktowania, gdzie pijemy kawę, że on z tej strony, ja z tamtej, a siostry stoją przy drzwiach.

Ale było za późno, — już wszedł mój katecheta.

Podał rękę ojcu, który jej nie pocałował. Poskrobał mnie cienkimi migdałkami za uchem i zaczęli rozmawiać, a ja drżałem ze strachu podczas tej rozmowy! Nawet musiałem sobie przypominać, że ojciec jest silny, może dźwigać, umie piłować grube drzewo, — więc nic mu się nie stanie.

A może drżałem ze strachu dlatego, dziśbym to może tak rozumiał, — że wtedy tam na cichym dywanie razem ze mną stały naprzeciw siebie dwie sprawy, które równie kochałem, jedna najlepsza i druga...

Moja miłość i wiara, — czy jak?

Jedno biedne, zawstydzone, z żółtymi błyszczącymi policzkami nad przekrzywioną krawatką, chude, ochryple, w czarnym surducie i zabłoconych trzewikach, a drugie w miękkich pantofelkach, zapachem i fioletem tchnące, z różową ręką, jakby w gruszcze rżniętą.

Nie umiem ci tego wytłumaczyć.

A kiedy wysłuchawszy zamówienia, — ja wiem, pan jesteś sumiennym pracownikiem, nic panu nie narzucam, ma być Chrystus padający pod Krzyżem, — ojciec mój powiedział, — wszystko z siebie dam księże prałacie, — kiedy to się stało, wybuchnąłem śmiechem. Najsmutniejszym, jaki może być, bo go wcale nie rozumiałem.

W przedpokoju powtórzył prałat jeszcze raz, żeby było na czas, bo to gwiazdkowy podarunek dla sióstr. Kiedy się drzwi za moim ojcem zamknęły, a ja chciałem księdzu rękę pocałować, cofnął ją, obrażony, że się z ojca swego wyśmiewam. Wtedy rozplakałem się.

O pieniądzech przy całej umowie czy potem ani słowa oczywiście, choć pamiętam, że odnosiłem do ojca list z formalnym zamówieniem na stemplu, i że matka bardzo się cieszyła, bo miało z tego być rzeczywiście bardzo „dużo dochodu“.

Chciała, by ojciec poprosił bodaj „o coś“ naprzód, ze względu na święta i na gwiazdkę.

Ojciec, — że nigdy! Wpadł w rzadką złość, — nie mieszać mu do tego żadnych pieniędzy, „nie doskakiwać z groszem“. Grosz jest dla was, w porę go dostaniecie, — ale dla mnie?!

Cóż więc „było dla niego“ z tej pracy w zimnych ścianach pustej pracowni, po której miotał się z kąta w kąt, albo siedział nad drzewem i dłubał, że mu pot z czoła płynął, albo zgrzytał ołówkiem po papierach, albo, drzwi nawet nie zamknąwszy, uciekał.

Wtedy wchodziliśmy tam z matką, aby się przypatrzyć, ile nowych fałdów wyrosło z martwej pałuby, czy już gotowe są ręce, co mają krzyż dźwigać, jak się ma rzecz ze stopami, i tak dalej.

Siadało się w nachylonym cieniu postaci, która jeszcze głowy nie miała, i gadało się o nadziejach idącej gwiazdki. Co „za to“ dostaniemy, co sobie kupimy, jak się „obsprawimy“.

Naturalnie, że nie pamiętam żadnej pożytecznej rzeczy. Ale pamiętam, że gdy się matka pod rzeźbą

zasiedziała, w rozmowie naszej zjawiały się wszystkie zabawki, dla ojca para rękawiczek, a dla niej, której służące wymyślały, — niebieskie piórko do kapelusza.

Te przyszłe radości powiększały jeszcze mój niepokój. Powiem ci otwarcie, że nie zastanawiałem się ani przez chwilę, czy ojciec dobrze rzecz wykona. Dręczyło mnie tylko bardzo, czy zdąży na czas? Prałat pił, kazał mi przypominać, wzywał ojca do siebie, a gdy znów usłyszał, co już było za pierwszym razem powiedziane, — wszystko dam z siebie księżę prałacie, — poklepał czarny surdut gruszkowemi palcami raz za razem, od czego mi w piersiach wyrosła nagła, świeża, dziecinna дума.

Co to było to „wszystko“, zobaczyliśmy na dwa dni przed terminem, gdy drzwi od zimnej pracowni zostały „oficjalnie“ otwarte. Nikt nie śmiał o tem mówić... Strach nas ogarnął na widok figury, — ojciec tak się zaciął, takie mu się koło ust porobiły zawiasy twardego milczenia, — że nikt ani słowa...

Chodziliśmy po domu, jak głupi. No, bo to nie był żaden Chrystus, a niewiadomo co? To był nasz ojciec, jakby na pogrzebie mego najmłodszego brata.

Tak.

— No i co? — wykrzyknąłem.

— No i wkońcu, jak zawsze bywa, matka mu „przetłumaczyła“, zaczął poprawiać i, daruj, ale jak wszyscy polscy rzemieślnicy, wkońcu nie zdążył!

Kujon ziewnął, spojrzął na zegarek: — Druga już, chodźmy!

Zaczęliśmy się zbierać.

— Ale ojciec nie zdążył, przyznaj się!

— Owszem zdążył, wszystko się dobrze skończyło.
— No więc o czym tyle gadania?
— O czym tyle gadania? — przedrzeźnił mnie Kujon. — Ty mów a ja zdrów!

Reszta rozleciała się nam w koleżeńskich potracankach, w szybkim kroku przez miasto, pełne delegacyjnych oddziałów, łyżkami za cholewą błyszczących, i w samej uroczystości wigilijnej, bo lepiej się to tu wykroiło i pyszniej, niżby ktoś mógł przypuszczać.

Po pierwsze, jeśli zależy na tem, by się dostatek i bogactwo na tle biedoty rozgrywało, by ciepło zimnem było zdobione, a pełnia w pustce kraśniała, tośmy to mieli. Przed oknami gościnnego budynku, z których buchał szcęk, para i zgiełk, stało ciemne półkole starców, biedaków, skulonych niedonosków, tak szarych, jakby im sucha siwizna nietylko na głowie, ale na oczach, łachmanach i ramionach wyrastała.

Śnieg prosił ustawicznie, zsypywał się z domów i osiadał na ludziach.

Minęliśmy tę hołotkę szybko, bo w żadnym kraju nie jest żołnierz od ocierania łez, lecz jest, żeby się bił, a gdy go gościć i pochwalać pragną, aby to ładnie nosił. Tyle się dla biedoty zrobiło, żeśmy naszemu pułkowemu psu Zbójowi, co między tymi żebrakami uganiał, przykazali, aby krzywdy nie czynił, — i już esteśmy w pośrodku uroczystości.

Nikt nic nie pije, sprawa wyraźnie postawiona, tylko sama wilja tu się rozgrywa i nasz honor w jej objęciach serdecznych wyniesiony.

Każdy bataljon obsiadł swoją białą podkowę, wszyscy pilnie po talerzach wiosłują głośną łyżką.

Kto przyjdzie nowy, ten rączki gospodyń wycaluje, następnie z brzuchaczem komitetowym zamieni właściwe słowo. Wtedy już tylko ma do odrobienia swego dowódcę na honorowem miejscu. Tu w doniosłej aluzji słów przełamie się opłatkiem, i potem już nic nie ma, tylko serce, swoich braci, przyjaciół i ona ucztę gorącą pod wysokim łukiem refektarzy, w sosnowej ozdobie ścian.

A kiedy w wielkich oknach pełnego domu stanie cichy mrok zimy, różowy jak bzy i kiedy się za oknami po starem brukowisku rozproszy, — nikt już nie patrzy ani braci, przyjaciół, ani nawet serca swego, tylko cały huczy i miota się w kołędzie. Ona teraz po stołach chodzi, bije o szyby, nie może się zmieścić w oknach, poparta wszystkim tchem tego, tamtego, owego, dziesiątego — i moim!

I moim własnym z całych sił, — który siedzę rozparty w kącie, śpiewający, butami o inne bratnie bućciska zahaczony.

Gdy oto rozstępują się skupione łby sierżantów, cały rząd szeregowców odpruł się nagle od stołu, wprost na mnie wali Kujon. Już dopadł. Kładzie mi twarz rozplamioną na ramiona, po policzkach smali oddechem i ściska przez pół mocno.

— Co jest, Kujonie, — wołam — co jest?!

— To jest! — zapchał mnie w kąt.

Z ramion uczyniliśmy nad sobą przyjacielską otokę, niby dach rzewnego uścisku, pod którym szarpać się mogły i piętrzyć bezpiecznie najgorętsze zwierzenia.

— To jest, rozumiesz mnie, że nieprawda! ojciec nie spóźnił się, — było co innego. Ale ty to czuj,

zrozum. Co było? Było, że mamy „to“ wieść na wózku, tę figurę. Przez miasto. Głupstwo, że przez miasto, ale że przez nabożną ulicę mego prałata. Przed oczy „pana służącego Kazimierza“, do kościoła, do sióstr i przed mego katechetę!

Ojciec wiezie i stolarz, w sznury się zaprzęgli, ja po chodniku nad rynsztokiem przebiegam, ale nie o to! Tylko że to ci wychodzi w mojem przestraszonym sercu, jakby ojciec na wózku jechał, a Chrystus, — rozumiesz ty mnie, — Chrystus w czarnym surducie i w „paletocie“ letnim na ten grudzień, razem ze stolarzem zaprzężony, — jakby ci wioził mego ojca do prałata!

Oczy Kujonowi zalatały przez salę, przez bruk żołnierskich głów nad stołami ubity, przez mrok różowy kołędą ucieszony.

— Tak wtedy czułem, powiadam ci! No, dobrze. Zajechaliśmy przed kościół, skromne dzwonicie, ciche siostry. Powiadamy, — właśnie figura przez księdza prałata zamówiona...

Siostry się zleciały, wiadoma rzecz, gołębie do kurydy.

Niesiemy, stawiamy, przed ołtarzem cichutko, delikatnie. Ojciec zdjął swoje palto, stolarz rękawami ociera pot z czoła. Czekamy na księdza prałata. Już go masz, tup — tup, lakierki po kamieniach posadzki, równo, całkiem równo z mojem bijącym sercem.

Podają mu stół, bo nie widzi ani wysoko, ani daleko. Wyszedł na stół, — piszę za niego, ale ci przecie za niego patrzeć nie mogę! Wyszedł na stół lakierkami łagodnymi i schyla się i skurcza i wy-

ciąga. Masz raz, jakby wachał, a drugi raz masz, jakby czarna pękata chmura krążyła po figurze.

Ojciec mój — nic. Dopiero, kiedy katecheta nosem w oczach płaczących figury utknął, ojciec mój:

— Tak mi serce dyktuje, księżo prałacie.

Prałat wyprostował się, szkła odjął i powiada słodkim głosem w powietrze kościoła:

— No tak, dobry człowieku, to jednak nikogo nie zachęca. Odstraszać będzie ludzi — przeraża wkońcu! A to powinno zachęcać... No, — więc jakże?!

Jeszcześmy mocniej, ja z Kujonem, uкрепили nad sobą dach braterskiego objęcia.

— No, więc jakże będzie, — powtórzył mój katecheta, — szanowny panie?

Stało się milczenie, jeśliby można tak powiedzieć, — piorun milczenia, który rozbił odrazu wszystko.

Wracaliśmy do domu z figurą, ojciec wyładował ją na werandę, a gdy tam stanęła, odwrócił się do stolarza, podniósł obie ręce płaskimi dłońmi do góry i powiedział:

— Dziękuję. Dość. Ani kroku dalej.

Nie spałem tej nocy. Na werandzie śniegiem zanościło złoconą koronę cierniową i krzyż. I tak jedliśmy gwiazdkę, ostatnią wilję w rodzicielskim domu, bo ojciec następnej nie dożył, jedliśmy, że nam do chudej zupy grzybowej patrzył przez okno już nie wiem kto? Może ojciec?... No, — a co?... A może wygnany, odrzucony Bóg?...

Nasz dach przyjacielski rozplótł się, Kujon machnął rękawami po policzkach, trzasnął mnie w ramię swą straszną ręką drwala, chrząknął, wpadł z krzy-

kiem w jakieś słowa kolędy, póki mu wilgotne oczy nie „stały w słup“, zagapione prosto w okno. Patrzył bezmyślnie na mrok, na śnieg, na odkryte głowy zaglądających przez szyby biedaków, aż nagle całą jego twarz oblały rumieńce.

— Ta co to znaczy odrzucony?! — krzyknął, — niby mało ich jest? Popatrzcie bracie w to okno!

Skoczyłem za nim, po drodze zagarnęliśmy kilku sierżantów, a gdyśmy się znaleźli przed drzwiami, na schodach, wyłożonych ubitym śniegiem, Kujon, wskazawszy siwy pierścień starców:

— Co tu dużo gadać, panowie sierżanci, prosimy dziadów do środka i już!

Nie było żadnej rady, obstawił nędzarzy szarżami, przesunął po schodach przez korytarze, na salę, przed sztab bataljonu, przed sam sztab pułku, przed pana pułkownika. A gdy zmarznięci staruszkowie jęli spozierać po sali, panie zaś dały brawo, Kujon koło naszego psa pułkowego Zbója, który się tu z ciżbą wkręcił, uklęknawszy, wtulił zawstydzoną twarz między zimne, zwichrzone kudły i zawołał:

— Co ty na to, Zbój? Może się gniewasz, bracie, powiedz! — Nie?...

NA FORCIE
BIAŁA GWIAZDA

Dzień się plecie szary, mokry, po dalekich łąkach uganiania mgła, droga leży opuszczona wśród pól, u brzegu Narwi na drutach kolczastych trzęsą się krople deszczu, a rośnie pnienie spławianego przez Niemców lasu płyną z wodą bez ustanku.

Wielkie, twarde, sine, — jakby to były pogrucho-tane kości mojej nieszczęśliwej Ojczyzny.

Chcę sobie przypomnieć dlaczego kazano nam wyjść z Pułtusza i przeniesiono nas do Ostrowia? Podnoszę głowę z nad pustej stronicy, szukam w zatartym widoku, — okazuje się, że dokładnie nie pamiętam.

Tymczasem czarna kobyła naszego bataljonu z małym źrebięciem wysunęła się z za węgla i objada pod moim oknem krzaki świeżego bzu.

Zaiste, bywa w życiu, że tyle wstydu dźwigamy na sobie, iż niema innej rady, jak tylko ramiona opleść wokół szyi zwierzęcia, z jego głową porównać swoją i razem, skromnie, wspólnym ciepłem myśleć.

Nasz pułk przeniesiono z Pułtusza, bośmy ukradkiem zabili kilku niemieckich żandarmów, oraz dlatego, że po naszej wilji mieliśmy w restauracji awanturę z niemieckim urzędnikiem.

Żandarmów zabiliśmy, bo się znęcali nad ludnością.

Znaleziono ich za miastem, na śniegu, z głowami przebitymi nawylot bagnetem.

Jeszcze przykrzejsze było zajście z urzędnikiem w restauracji.

Przed oświetlonemi jej oknami, na gościńcu czekały już powozy, mieliśmy zaraz wyjechać w gościnę do okolicznych dworów. Żal się nam było rozstawać, gwarzyliśmy jeszcze przy bufecie, gdy wszedł mały, otyły Niemiec w zielonym urzędniczym płaszczu. Na linie prowadził zgrabną suczkę, jamniczkę.

Przy bufecie zagadał do drugiego Niemca o tem, że wszyscy są teraz tak daleko od swych domów i dzieci.

— Bardzo się tęskni, zwłaszcza podczas świąt Bożego Narodzenia, które są właściwie świętem rodziny. Na jednych konie tu czekają, powozy, a o drugich, równie chyba zasłużonych, nikt nie pamięta.

Pożegnał się z towarzyszem, siepnął oczkami po nas wszystkich i rzekł na progu do pieska: — Chodź, chodź, moja mała Poleczko.

Otworła się nam w piersiach nagła pustka.

Kujon, blady jak trup, zatrzymał urzędnika za złoty guzik od płaszcza i spytał, czy zechce powtórzyć raz jeszcze.

— Ma pan ładną jamniczkę, ale pragnęlibyśmy wiedzieć, co pan przed chwilą powiedział? Zdaje się, że coś bardzo zabawnego?

Urzędnik wyjął z ust cygaro, grubym językiem obliżał sine wargi — i powtórzył słowo za słowem, wyraźnie:

— Chodź, chodź, moja mała Poleczko.

Kujon wyciął mu głosny policzek, potem kopnął w brzuch.

Ze łzami dzikiego wzruszenia biliśmy Niemca po tłustych, wygolonych szczękach, po głowie, — póki nie zaczął krzyczeć, żeby go nie zabijać, — ma przecież dzieci!

Krew lała mu się z nosa i z ust. Tłusty, posiniaczony, leżał w kącie pod piecem i płakał.

Kujon oświadczył, że mamy litość dla jego dzieci, które zapewne spłodził z tą jamniczką, — i rozjechał się do dworów.

Na drodze pod wyiskrzonemi gwiazdami i w złocie ciepłe Grociny myślałem to samo: — Czy na to, by była jego ojczyzna i moja trzeba, by on mnie lżył, a ja, bym go pięściami po głowie tłukł? Czy też może, niech kraj jego przepada i z mojego niech śladu nie będzie, byleśmy mogli mijać się w życiu spokojnie?

Komuż to można powiedzieć dziś, — nikomu!

Komuż się można przyznać, żeby się chciało dzieci tego Niemca wziąć łagodnie za ręce i razem z niemi czekać lepszej pory?...

Ruszono nas z Pułtuska wielkim marszem, przez mróz i śnieg dobrnęliśmy do Ostrowia, śpiewając po drodze wśród samotnych chat i długich pól, z których wybiegał wiatr niespożyty.

Przybywszy między olbrzymie czworoboki koszar, ustawiliśmy się szarym zwartym murem, naprzeciw muru czekającej tu nas piechoty niemieckiej. Nasi dowódcy wyszli ku sobie i przemówili. Wielki honor przeżył się w słowach, lecz w głosach zgrzytała nienawiść.

Wykonaliśmy zwroty wojskowej czci, orkiestra niemiecka zaintonowała hymn. Z nieruchomych zamazniętych trąb rwał ryk ochryply, nadymał policzki

i oczy na wierzch wysadzał muzykantom. Stali sztywno, z zrenicami, jak błyszczące guziki, powyżej hełmów na srebrnej lirze czyneli skakał w takt akordów gęsty warkocz włosów — godło pułkowej orkiestry.

Ręce nam kostniały od mrozu, wiatr siekł przez oczy, zlepy zimna tężały w dziurawych butach, ale, rzecz prosta, staliśmy bez drgnienia, tylko godło miało się w górę i w dół, niby czarny, ślepy ptak.

Pokazałem to Kujonowi, chcąc mu wytłumaczyć, że tak samo zapewne wygląda przywiązana na wieki do odznak i dzwonków nasza wojskowa dusza.

Ale komuż to można powiedzieć dziś, — nikomu! Trzeba się kryć, chować, ostrożnie przemykać, póki się nie spotkamy, jak tutaj ty i ja, w oknie na deszcz otwartem.

Nikt nas z boku nie widzi.

Myślmy razem, kochany, koński łbie.

Wrywam ci z grubych warg aksamitnych świeże kiście bzu i mówię prosto do kosmatego ucha, — nikt nigdy nikogo w życiu nie obraził, choć się ludzie potem do krwi o honor bili.

Masz żrebie, tak samo już w życiu cierpiełaś, jak matka każdego z nas. Gdybym umiał spojrzeć głęboko w twoje mokre oczy brązowe, wyznałbym wszystko dzieciom tego Niemca, przebaczyłbym, że po rzece płyną kości mojej Ojczyzny, że on, wróg, do psa mnie porównywa, — pasłbym się cicho wielkim zielonym światem...

Ale nikomu tego nie można mówić, — tylko długo całuję twoje czarne, szorstkie czoło, znaczone białą gwiazdą.

B A L

Ponura uroczystość przywitania na wielkiej drodze wśród dawnych porosyjskich koszar skończyła się. Piechota niemiecka odeszła w jedną stronę, my w drugą. Pustym placem gonił znów gęsty tuman śniegu.

Ujawszy się pod ręce, Kujon, Leń i ja ruszyliśmy przeciw zawiei szukać kasyna.

— Tam będzie, bracie! — wołał Kujon — gdzie te chorągwie. Każdy sztandar lubi się zawsze żarcia trzymać. Jak człowiek!

Z któregoś balkonu, w perspektywie rudych budynków, zwieszały się sztywne, na kość zmarznięte barwy narodowe.

Weszliśmy do przedsionka, gdzie już czekało kilkunastu kolegów, zapłakanych z zimna.

— Na co czekacie?

— Bo tam, na górze, jakaś delegacja sterczy. Łyki, — paniusie!

— Boisz się łyków?

— Nikt się nie boi! Ale rychtują przywitanie z ceremoniałem, czekamy na pułkownika.

Przestępując z nogi na nogę, chuchając w zgrabiałe palce, kręciliśmy się po przedsionku.

— Chłopy! — wykrzyknął nagle Kujon — tu są jakieś malunki.

„Odkrył“ je w głębi westibulu, po obu stronach szerokich schodów.

Trudno było rozpoznać treść, malunki bowiem pokrywał gęsty szron. Ustaliliśmy wkońcu, że są to olejne freski. Jeden wyobraża zapewne jakąś scenę historyczną. Drugi przedstawiał kobietę.

— Damę musimy obejrzeć szczegółowo — stwierdził Kujon. Ciepłem bliskiego oddechu topił szron, aż ukazała się blada twarzyczka, wachająca czerwoną różę.

— Pokaż dalej!

Już się wyłoniła z zimnego nalotu szyja, ramiona i dekolowane piersi w niebieskim empirowym staniczku.

— Aha! — śmiał się Kujon — może nie ładna? Zaraz mu przybyło pomocników.

Twardemi pazurami, końcem bagneta, zdrapywali z obrazu mróz. Nagle robota ustała, bractwo ze śmiechem wtył odskoczyło. Widocznie jeszcze dawniej ktoś zesześcił był malowidło, rysując pod piersiami staniczka ogromny żywot ciąży, z płodem wewnątrz złożonym.

— Panowie! — wołał Leń — a tośmy sobie godną bohaterkę znaleźli!

— Bardzo godną... — rozległ się ztyłu zażywny głos naszego pułkownika.

— Ale zahartowana... — Kujon chciał zatrzeć wrażenie, którego doznaliśmy, z powodu nieoczekiwanego pojawienia się „władzy“. — Pan pułkownik w futrze, a ona sobie bez niczego, stoi w takim dekolcie.

— Powinniście pamiętać — nasz dowódca dostojnie ścigał rękawice, — że kobieta w ciąży „odpowiada“ rannemu żołnierzowi. Z tego wniosek...

Wniosku nie wyciągnął i ruszył na górę, my za nim przykładaną trzódką. Po drodze oznajmił „dodatkowo“, że nie zaraz siądziemy do obiadu, a dopiero po przyjęciu delegatów ludności, którzy już „pono czekają w przyległościach pułkowej jadalni“.

— Jeżeli mam tych delegatów sądzić według palt — Kujon huśtał zabłocone futra cywilne, wiszące w przedpokoju na szaragach, — to się naszym hołdownikom nie przelewa. Grzbiety wyświechtane, pachy wytarte, siedzenia ołysałe.

Rozkraczony przed gromadką czarnych okryć „litował się“.

— Pomyślcie tylko, panowie, taki mieszczanin za tym łachem, za kawałkiem sierści lata całe życie po błocie. Żonę z tego żywi, dzieci wychowuje, jeszcze go w rękę całują. No, dziś będzie miał zaszczyt witac — samego mnie.

Chcieliśmy także oglądać kalosze delegacji. Koło obszernych, rozdeptanych człapaków stało kilka damskich łupinek, gdy nadleciał adjutant, — że pan pułkownik czeka.

— Życ beze mnie nie może — warknął Kujon.

Weszliśmy tłumnie do przestronnej jadalni.

Od ściany do ściany ciągnął się długi nakryty już stół, a za wysokimi oknami pędziła puszysta śnieżycy. Pułkownik w kącie sali przyklepywał rozdziałek i czcigodnem chrząkaniem gotował się do występu.

Przez uchylone drzwi jadalni widać było w pustej „przyległości“ zgromadzonych na samym środku delegatów. Stali w dwa rzędy, objęci ubogiem światłem

zamarzniętych szyb, nieruchomi i jakby zasłuchani. Bliżej ściany, brodac z faworytami, przyszyżonymi na wzór któregoś cesarza, dalej nikły człowieczyna, o głowie wydętej, jak kapsułka, dalej w szeregu mały pyszczek czerwony, osypany niezgoloną siwizną i długowłosy, strzelisty młodzieniec. Przed nimi „szlachcianka“ w niebieskim kontusiku, jakieś chude, żółte biedactwo w bufkach bordo i dama z olbrzymimi piersiami w czarnych koronkach.

W pośrodku trwała główna zapewne postać delegacji, z czubkiem mokrych piórek na głowie, z bukietem różnokolorowych nieśmiertelników, trzymany pod lewą piersią, na atlasowym „przodzik“ żakieta.

Kwiaty były z pod serca sztywno na pokój, wstążka kokardy „harmonijnie“ rozchodziła się w prawo i w lewo. Końce w uważnych palcach trzymali „skrzydłowi“ panowie.

— Słowo daję — syczał Kujon za Leniem, — widziałem takie grupy na wystawie aresztantów. Zbrodniarze z chleba robili i do butelek szczypczykami wpuszczali. Zadanie na cierpliwość.

— Proszę panów ze mną.

Pułkownik chrząknął, ordynansi otwarli drzwi.

Weszliśmy poważnie i „dzielnie“. Delegacja zmarznięta w bezruchu, nasz dowódca złożył ręce na szablę. Kokardy narodowej wstążki wyprężyły się gwałtownie, czarne tło panów okrzepło. Zapadła tak wielka cisza, że słyhać było w ścisłych porywach wichury, jak się na atlasowym przodziku trącają wzajem listkami nieśmiertelniki.

— Ja, jako przewodnicząca tutejszej Ligi... — jedna

ręka wzniosła się, aby odsunąć woalkę, druga jeszcze mocniej ścisnęła kwiaty.

— Ja, jako przewodnicząca... — drżące wargi wchłonięły chciwie strugę powietrza.

— Ja... — głos umilkł, z pod obrębu woalki wypłynęły łzy.

Pułkownik przeniósł zbrojną postać z nogi na nogę, my chórem westchnęliśmy „zaszczytnie“.

Piórka na głowie mówczyni drgały raz po raz, wolna od kwiatów ręka broniła się czemuś niezradnie.

— Otóż mam zaszczyt w imieniu ludności i całego naszego miasta, po tylu latach, panowie... — oddała pułkownikowi bukiet gestem wstydliwym, płochym, jakby kradzionym.

Okazało się, że pęk nieśmiertelników przesłaniał dotąd sklepioną potężnie wyniosłość atlasowej kamizelki.

— Cięża, jak mur — stęknął Kujon, — dobrze się nam tu darzy!

Pułkownik, przyjąwszy wiązaną, parę długich sekund przetrwał w skupieniu wrażenie.

Wsparte na zbrojnej piersi kwiaty, kiwały lekko główkami.

— W imieniu ludności i całego naszego miasta — podjęła ofiarodawczyni.

— Ba! — puknął z czarnego tła panów czerstwy, jedyny głos — przedewszystkiem nie przedstawiliśmy się i panowie nie wiedzą właściwie, z kim mają do czynienia.

Krótkie, drobne kroczyki na podobieństwo stanow-

czych uderzeń młotka stuknęły o podłogę. Wystąpił naprzód zwięzły człowieczek o ostrym, czerwonym pyszczku, rozdał nozdrza i uderzył nosem w zimne powietrze „przyległości”: — Jestem rejent Twardo.

Podali sobie z pułkownikiem ręce w sposób ważny, niewątpliwy, niejako historyczny. Poczem rejent ruchem krótkich palców, niby grabkami, wyrywał z grupy delegatów poszczególne postacie i, — bystrym kuperkiem żakietu wtył oddając, — przedstawiał współuczestników.

— Oto przewodnicząca tutejszej Ligi, pani Aniela, — nazwisko rozleciało się w hałasie.

Odsunęła w górę woalkę i objęła nas ślicznym uśmiechem bladej chłopięcej twarzy. Podchodziliśmy, aby ucałować jej rękę w nicianej rękawicze.

Przewodnicząca kłaniała się ciężko i ostrożnie, wznosząc pod górę małą głowę, ozdobioną mokremi piórkami.

Jakby wciąż jeszcze wypatrywała pod sufitem wątków przerwanej swej mowy.

— Oto starsza nauczycielka, panna Ożarowska Józefa.

Żółte biedactwo w bufkach bordo zjeżyło się.

My też ze swej strony wyzgrzytaliśmy swe nazwiska, pseudonimy i rangi.

— Oto — rejent nie pozwolił sobie przerwać, wypowiedział rzetelnie, jasno, do końca, kto kim jest, co tu robi, ile lat.

Dowiedzieliśmy się, że wonna dama z dużemi, jak naboje artyleryjskie, piersiami, w koronki schowanemi, jest żoną rejenta i artystką „zarazem”. Mężczyzna

w faworytach — wytrwałym praktykiem doktorem, który „nigdy i nigdzie siebie nie oszczędza”. Szlachcianka w kontusiku — „poważną, ofiarną siłą nauczycielską”. Duża kapsuła na kosmatej szyi — aptekarzem „trwającym niezmiennie w tych ciężkich czasach na zagrożonym posterunku”, długowłosa badył — aptekarskim pomocnikiem.

— Teraz, gdy o sobie już dokładnie wiemy — stanawszy z boku między nami a delegacją, zwrócił się rejent do przewodniczącej — przepraszam, i prosimy.

Zaczęła od „zarysu historycznego”. Składał się on z wielu wzruszonych łączników, jak „wogóle”, „bądź co bądź”, „tem niemniej”, wśród których zasługi nasze rozrastały się do ogromnych rozmiarów.

Byliśmy krewnymi wszystkich wielkich żołnierzy w licznych pokoleniach Narodu.

Pułkownik chłonał to z niezmierną łatwością.

Z rzewnego powiewu uniesionych dłoni oratorki, ze słów karbowanych westchnieniem, z drżenia płoszonych ruchem głowy piórek, z całego rzutu gestów i okrzyków dowiedzieliśmy się o beznadziejnych chwilach mroku, w którym, istotnie, jak jeden mąż, — całe miasto...

Ostatnie słowo urwał w połowie rejent głośnym chwytem szczęk: — Miasto nie zgadza się bynajmniej z przewodnią myślą panów!

Mówczyni zaprzeczyła uśmiechem tak radosnym! — Szła dalej za przewodnią myślą, której nie trzeba mieszać z pozorami, która zgodnie opiewa...

Lecz ile razy wzbiła się tokiem słów pięknych i uroczystych, tyle razy rejent przerywał je bezmiłosiernie.

Jużeśmy się mieli ucieszyć bramą triumfalną, która nas oczekiwała, siłami miasta całego zgodnie wystawiona, gdy rejent — zbudowaliśmy ją w pięcioro i paru niedorostków!

Jużeśmy mieli żałować, że przez lasy skręciwszy, nie usłyszeliśmy mazurka Dąbrowskiego, którym przy świeżej bramie orkiestra z „miejskich żywiołów“ złożona pragnęła nas powitać, — gdy rejent z twarzą, jak osolony befsztyk czerwoną skoczył przed „zbrojne forum“.

— Z żadnych „miejskich żywiołów“, ale zapłacone żydki! Bo, panowie, lepsza naga prawda i lepiej już gryźć sercem!

Naga, bezwstydną prawda, rwana żywcem z wnętrzości.

Przewodnicząca płynęła przeciw niej bezradnie ruchem strudzonych ramion, „szlachcianka“ oczy sobie wstydliwie zasłoniła, ale delegaci popierali tę prawdę coraz śmielej.

Tak dalece, że aptekarz obiegił skrzętnie całą grupę dokoła i, naszego kapitana uchwyciwszy za mankiet, krzyknął bez ceremonji: — Wczoraj na posiedzeniu!

— Witamy was, jak dziady — skwierczał rejent, — nie masz tu żadnych „wszystkich“, żadnej solidarności. Ofiarujemy wam nasz wstyd, nasze upokorzenie. I — to jest prawda!!

Głos mu się rozpruł w piersiach, przewodnicząca podniosła ręce krzyżem, do góry, delegaci schmurzyli się pokutnie.

Gdy wtem żółte biedactwo w obwisłych bufkach

bordo, stuknąwszy palcem w szybę, zabulgotało: — Tam jest miasto, które was nienawidzi!

Odruchowo spojrzeliśmy w okna. Ledwie w nich widać było gałęzie czarnych drzew, targane ciągłą zawieją.

— Tam jest miasto! — głos przewodniczącej porwał się, jakoby przeciw potężnemu wichrowi — które zrobiło wszystko! Które tylko czeka! Którego dzieci!

Delegaci umilkli, rejent szeroko otworzył sine usta, aptekarz zaszedł zó tem mętmem światłem, piersi rejentowej wypłynęły pod brodę.

Tyle do powiedzenia! Tyle prawd, oczywistych, szczerych, częstych, aż potocznych. — Pani przewodnicząca zgarniała je nicianemi rękawiczkami poprostu z powietrza.

— O tak, może się znajdzie w mieście parę jednostek — bierniejszych. Ale naogół wszyscy... Jest to malutkie miasto, ono może nie umie zabrać się do rzeczy, w każdym jednak razie stara się wedle sił.

— Dość, panowie, powiedzieć — oburącz składała te słowa pułkownikowi na suche kwiaty bukietu, — że właśnie wczoraj, na „gremjalnem“ posiedzeniu miasto postanowiło uczcić przybycie wasze. Zrobimy prawie to samo, co robią w stolicach, na szerokim świecie, gdzie mają przecież elektryczność, wodociągi do dyspozycji. Albo samochody! Będzie to... — Szare, jak kurz, oczy zaślniły całym blaskiem. — Wenta, - raut, - bal, - lotto. Może ognie sztuczne. A nasze dzieci już dziś wiją na ten dzień wieńce.

Delegaci stali milcząco, zgnębieni siłą przemówienia. Pułkownik przyjął sprawę taktownie, wyznaczył bo-

wiem swego zastępcę, naszego kapitana. Uczyniliśmy poruszenie, delegacja skłoniła się i gęsiego opuściła nareszcie „przyległość“.

Odprowadziliśmy do połowy schodów. Małe cywilne garby schodziły już do wyjścia, gdy zawrócił ku nam jeszcze pomocnik aptekarski i, sklepiwszy dłonie nad domniemaną ciężą, szepnął: — Ta umie bujać gości!

Już go zdołu wołano, by „pobiegł“ szukać koni.

Stali w kupce przed bramą. We wzburzonej śnieżycy nie widać było nawet zarysu pojazdów.

— Ani chudu, ani dudę — westchnął aptekarz.

Pomocnik, niby szary bąk, krążył dokoła we mgle i hukał rozmaitym głosem.

Pani przewodnicząca „bez jednego słowa“ odłączyła się od towarzystwa i poszła naprzód, — z doktorem.

— Zrobią sobie do miasta dwa kilometry z przyłepką — święto z głów wyszumi. — Nikt nie potwierdził aptekarzowi tego dowcipu, pomocnik bowiem przyniósł całkiem pewną wiadomość „względem koni“.

— Urzędzą się z żołnierzami i dawno odjechali.

— W takich chwilach nawet prości ludzie nie dbają o zapłatę — krzyknęła gniewnie panna Ożarowska.

Wzięto się pod ręce, rejent z żoną pierwsi „przebojem“, panna Stanisława ze „swoim cynikiem“ aptekarzem, wtyle pan pomocnik z panną Ożarowską, która z pod futerka szumiała rozścielonemi zapobiegawczo, ciepłodajnymi gazetami.

Nikt nic nie mówił. Wobec ogromu wydarzenia — „że pani Aniela ogłosiła sobie samozwańczo uroczystość“ — nikt nie ośmielał się pisnąć. Tylko rejent mógł „zacząć taką sprawę“.

Postawiwszy kołnierze, zmrużywszy oczy, schowawszy ręce w rękawy, małą, szarą gromadką, nito ciemne miękkie zawiniątko, toczyli się bitym gościńcem obok koszar, zawianych śniegiem, potem pustą drogą, przewiazaną szumem nagich, czarnych drzew.

— Ale pani Aniela znosi tę ciężą wybornie — syknęła z wiatrem panna Ożarowska.

— Muszę sobie poprawić. — Przystanęli.

Pani rejentowa musiała coś ulepszyć w szczelnem opakowaniu swej osoby. Koszar już prawie nie było widać za ołowianą mgłą, na drugim końcu drogi z miasta też ani śladu. Po bokach bure śniegi ciągnęły się nie dalej, niż na parę kroków, resztę sinego widoku rozganiał ciemny wichur.

Rejentowa wciągnęła falę śnieżnego tchu aż do dna dźwięcznych piersi i powiedziała jedno tylko słowo: — Bezczelność!

Przyniosło to wszystkim znaczną ulgę. Któż nie wiedział, że jeszcze wczoraj na gremjalnem posiedzeniu do niczego się w tej sprawie nie doszło?! A tu jednym zamachem dla taniego efektu?! Teraz już, oczywiście, kobyła u płotu! W chwili, gdy jeszcze wczoraj mówił ksiądz Ożarowskiej — ksiądz, nie lubiący chyba puszczać słów na wiatr — że specjalnie nauczycielki, zależne od komitetu Opieki, powinny się trzymać zdala, zdala od wszystkiego, zdala od wszelkich ruchów!

No, a teraz kobyła u płotu — dzwonił aptekarz zębami z pod pachy panny Stanisławy.

— Albo nie u płotu! — Rejent skoczył parę kroków naprzód i zawołał głosem swej nieposzlakowanej

kancelarii, znanym, jako nieubłagany — hola, moi drodzy państwo!

Gdy się zrównały obie „partje“, rejent tym samym tonem: — Jak pani mogła tak zuchwale nadużyć naszego zaufania?!

Piórko kapelusza zwiesiło się aż na oczy. Przez zasnieżoną woalkę nie było widać twarzy. Ciemne rysy przeglądały, jak z poza kratki więziennej. Przez gęste kwadraty przeciskał się oddech zmarznięty i strudzony.

— Niczego nie nadużywałam, panie rejencie. Właśnie dlatego, że tacy biedni jesteśmy...

Z czarnego koliska płaszczów i narzutek wyskoczyły naraz wszystkie zarzuty razem. Napróżno doktor pojednawczo gładził zwichrzone faworyty. Pulchne zdania panny Stanisławy zespoliły się z dzwieczną dykcją rejentowej, aptekarz podcinał z boku. Pani Aniela cofała się ku brzegowi szosy — białe, niciane rękawiczki drżały na odętem futrze, jak ćmy.

Wtem panna Ożarowska, wyciągnawszy sine ramiona ku rozpętanym chmurom stalowego mroku: — Tak się nie postępuje, męża mając w obozie jeńców, a płód jego w łonie!

Czubek zlepionych piór zachwiał się. Pani Aniela, zakrywszy twarz, przyklekła na kupie kamieni. Jakby centnar na nie upadł. Długo terkotały, spadając przez umarłe zielsko w głąb rowu.

Doktor przyłożył dłoń do pochylonych piórek i powiedział nieśmiało: — Teraz widzicie państwo!

Pani Aniela z rękami wspartymi o kamienie płakała

— Oczywiście, musimy poczekać. To przejdzie. — Aptekarz postawił kołnierz jeszcze wyżej. Oparli się

na laskach, otulili szczelniej i, tyłem odwrócenii do wiatru, czekali.

Nie był to wielki płacz, raczej nikłe szelesty, jakby się tarł pośród żwiru mały skrawek papieru.

— Będziesz to pani miała urządzone, ale nie siedź pani, jak dziad, na kupie kamieni! — zapiał nagle rejent.

Nikt się nie spodziewał podobnej sceny. Laska rejenta stuknęła, głos mu się burzył i rwał w piersiach. Małe nóżki tupwały raz za razem. — Będziesz to pani miała urządzone, ale nie prosz nas pani!

Doktor w imieniu reszty towarzystwa pragnął podziękować.

— Nikt nie dziękuje — wrzasnął rejent, — i wogóle, — ani jednego słowa!

„Pozbierali“ ją z kamieni. Wobec drażliwego stanu sprawy, nikt już nie wracał do wiadomego tematu. Pani Aniela szła pokornie ztyłu za wszystkimi. Nareszcie dobrnęli do pierwszych domków miasteczka, łątanych ciepłym złotem zamarzniętych szyb. Pomocnik chciał skrócić, odszukać dorożkarzy, którzy w tej stronie mieszkali, i za beczelny zawód „nakłnąć im po pysku“.

Nie pozwoliła na to Ożarowska. — Może pan sobie z równym skutkiem załatwić kiedy indziej.

Nikt nie poparł projektu pomocnika. Wszyscy musieli wykazać skupioną uwagę, która po takim wzruszeniu należała się rejentowi.

Szedł środkiem gościńca, prosto przez błoto, jak człowiek owładnięty wyższą myślą.

Rozstali się przy aptece, w świetle zielono-czerwono-

ných bani szklanych, za któremi widać było w głębi, na półkach, szeregi białych słojów z czarnymi napisami.

— Ładnieby człowiek wyglądał w życiu, gdyby nie łacina! — Stanisława wiedziała, jak takie powiedzenia działać mogą na towarzystwo dojrzałych ludzi.

We dwie z Ożarowską wzięły panią Anielę pod ręce i z okrzykiem „damy sobie radę“ ruszyły w swoją drogę. Przechodząc obok niemieckiego szyldwachy, który, niby niedźwiedź w pikelhaubie, łąził w futrze przed budynkiem dowództwa, zaintonowały „Choć burza huczy wkoło nas“, nie za głośno, w miarę, lecz za to na dwa głosy. Stanisława sopranem, Ożarowska pieściwym „drugim“.

Przed południem oficerowie, niejako firmament bohaterstwa, — popołudniu rejent, mający w swoim szlachetnym „wybuchu przy kamieniach“ coś z Matejkowskiego Rejtana, — czyż to wszystko razem może nie „rozsadzać piersi“?

Gdy już minęły kawałek ślepej gołoledzi i zeszły z górkę, znalazły się w cieniu szerokiego gmachu dwupiętrowego, z którego, niby czarne grube węże, kręciły się po śniegu między drzewami wyjeżdżone drogi.

— Lubię z pomiędzy drzewek patrzeć na naszą szkołę, — westchnęła panna Ożarowska. — Mówcie, co chcecie, wojsko ma swoje piękno, ale i w nauce jest majestat.

Mogłaby na ten temat „opowiadać sobie całe góry“, ale pani Aniela nie pozwalała dziś na żadne ogólniki. Stanie się, jak rejent zdecydował, bal — będzie. Należało teraz rzecz ułatwić, — czyli stanąć z zakasanimi rękawami do dzieła.

Przebrały się i usiadły do herbaty.

Stanisława, dawszy klapsa krawędzi stołu, zawołała: — Tu jest kwatera główna. Te nasze trzy pokoiki na parterze!

Trzy pokoiki na parterze były „prostu kuźnią“. Tu, w kuźni, należało powziąć ścisły plan. Tak pod względem wykonania, jak połączenia wszystkich „sfer“.

Skautów, drobną młodzież, poprowadzi Aniela. Bal, oficerów i wogóle cały pułk brała na siebie śmiało Stanisława.

Najtrudniej ze „sferami“. Aniela bała się prostu ludzi bogatych. Mogłabym im oddać ostatnią koszulę! — Tak się wstydzę, gdy z nimi mówię. Nie swoich wykręconych obcasów, a tylko „tak“, — za samo urządzenie świata.

Do sfer ziemiańskich trafiało się przez księdza i agenta kółek rolniczych. Księdza mogła „rozbroić“ Ożarowska, mająca u niego duży mir.

Ważną rzeczą do zdobycia był też rzeźnik i naczelnik straży ogniowej w jednej osobie, pan Gomółka. Ponieważ „był nieczuły“, postanowiły wypuścić na niego rejenta.

Rejentową ubłagać o deklamację. To, — razem z chórami młodzieży złożyć się na część rautową.

— Ale wenta, ale ognie sztuczne, — ale na to wszystko lokal?!?

Można było oszaleć.

Otworły sobie jeden z ostatnich słoików konfitur. Trudno w takich chwilach jeszcze oszczędzać.

Nikt nie chciał „tknąć“ wenty. Latać po domach i żebrac?! Zagranicą biorą udział w wentach nawet

królowe, ale u nas — za drzwi człowieka wyrzucają.

Ożarowska była za skasowaniem wenty bezwzględnie. Pani Aniela jednak stwierdziła, że na głowie się postawi a wentę przeprowadzi.

— Jest to najsilniejszy magnes!

— A lokal?!?

Bodaj lokal dla obrad komitetu rautowo-balowego, dla zbiórki darów, dla sprzedaży biletów, dla przeprowadzenia korespondencji?

U rejenta — nie. Całe jego mieszkanie, zastawione patriotycznymi i postępowymi „ad hoc“ afiszami, „stoi w krzyku odezwo“.

Więc, — nie.

W aptece, — nie wypada. Był tam co prawda śliczny pokój, zaraz za składem, z rogami jeleniemi — apteka przecież była „pod jeleniem“, — ale to wszystko do czasu tego smutnego skandalu... Siedzieć „teraz“ na meblach, na których kiedyś, lub może parę godzin temu oddawano się „znowu“ całkiem niskiej rozpuście?...

— Główna kwatery u nas!

Ożarowska prosiła Anielę o cofnięcie tego zamiaru. O szkole i jej lokalach może decydować tylko komitet.

Narazie nie rozstrzygały, trzeba było także pomażyć trochę.

— Już nas widzę, — cieszyła się pani Aniela, — na dworze noc wyiskrzona, my stoimy na schodach naszego balu, przykrytych jakimś dywanem, sale „toną“ w świetle, witamy licznych gości. Jest tak ciepło!

I dokonałyśmy, — że w naszym biednym mieście będzie też taka bodaj jedna podniosła chwila!

Na cześć tej chwili obie nauczycielki odśpiewały jeszcze raz pod wiszącą lampą „Choć burza huczy“. Pani Aniela układała dalej szczegółowy plan.

Najsmutniejsze było w całym „rozkładzie sił“, że nie mogły rankami rozporządzać. Ileż rzeczy doskonałych można postanowić rano świeżym umysłem!

Nauczycielki miały „budę“, ona sama zajęta była w ochronie. Pozostawały tylko popołudnia, — tak krótkie! Obiad się kończył wszędzie koło czwartej, a wieczór już się zaczynał na dobre koło piątej.

— Mamy „właściwie wszystkiego“ jedną godzinę, — wniosła pani Aniela rękę, jakby do boju, gdy następnego dnia wychodziły razem ze szkoły do swego dzieła.

W pierwszym rzędzie bytność u pani rejentowej.

— Przyszłam ubłagać panią o jakiś utwór.

Tych utworów gotowych do wyboru było nieomal za dużo.

— Najchętniej powiem coś małego. „O złotowskim pazu“.

Pani Anieli straszno się robiło w miarę, jak się wiersz deklamował pośród czerwonych napisów płociennych, rozstawionych wzdłuż ścian salonu. — Czy można pozwolić — rozważała poufnie, — by taka gruba kobieta nęciła publicznie jakiegoś małego paza?

— Czy nie lepiej ze względu na uroczystą okazję, proszę pani, coś patriotycznego?!

— W takim razie niema innej rady, a tylko Grób

Agamemnona. — Pani rejentowa stanęła natychmiast pod ścianą i, mimowoli zakrywszy tyłem olbrzymią sylabę „ŻY, tak, że tylko JE POLSKA“ sterczało jej z pod ramienia aż do kąta pokoju, — poczęła deklamować.

Piękny wiersz przypominał Anieli „z wypisów o pewnej roślinie“, która kwitnie raz na sto lat, wybuchając z hukiem wystrzału armatniego. Mogło się zdawać, że deklamatorka pęknie zaraz. Wiersz zyskiwał na tem wiele grozy, zwłaszcza, że obliczało się przecież ten utwór, — na ludzi czynu.

Drzwi strzeliły niespodzianie, wszedł rejent z odgniecionym ze snu policzkiem. „Tylko co“ obudziła go deklamacja.

Wsadził obie ręce do kieszeni spodni, w oczach rozprędkło mu się najtkliwsze wzruszenie. Wskazawszy żonę głową, rzekł: — Lwica. Nasz najmłodszy chłopak całkiem do niej podobny.

Moment ten wykorzystała śmiało pani Aniela: — Więc bierzemy Grób Agamemnona, — ale, — cóż komu z poparcia, jeżeli nie ma się gdzie z tem poparciem podziąć?...

Rejent nie rozumiał i dalej patrzył w mętne okna, jakby na małej kostce bruku szukał jeszcze podniosłych tonów deklamacji.

Wtedy pani Aniela przyrównała się z całym swoim przedsięwzięciem do ptaka na gałęzi.

— Musiałaby to być bardzo gruba gałąź.

— Nie należy, panie rejencie, rozumieć dosłownie. — Zarumieniła się. — Chodziło w tej alegorji o lokal, — o pomieszczenie.

Zakazał mówić o rzeczy dawno już postanowionej. — Posiedzenie odbędziemy w sali konferencyjnej, w szkole. Przypuszczam też, że się nasze „sfery“ zgodzą, byś sobie w szkole powiedziała swój Grób.

Do jakiego stopnia musiało „być postanowione“, jeżeli już angażował w to występ żony!

— Oh! dla pana to jest nic. Nam się coś wydaje trudne, a dla pana może to być poprostu niczem. Wogóle całe nasze przedsięwzięcie komuś poważnemu może się doskonale wydać śmiesznem.

Pani Aniela uważała, że zapomocą łagodnej skromności wszędzie, na całej linii osiągnie powodzenie.

Czyż nie tak samo postępowała wobec „swoich“ rodziców z ochronki? Zamiast długiego rozwodzenia się, lepiej powiedzieć krótko i szczerze, że tu właściwie o nic nie chodzi. Łagodnie opuścić ręce, zmniejszyć się, stulić, „duchowo się pochylić nad niczyją sprawą“.

Wtedy ludzie, wzruszywszy ramionami, dają, co tylko mogą.

Tak samo instytucje.

Ośmielona powodzeniem wśród swoich, jęła „zaczynać zagony“ wśród obcych. „Nawiązała rzecz“ z pułkiem.

Poleciała tam furgonem wojskowym, który wracał „z pod mleka“, a wieczorem miał znów jechać do miasta na pocztę. Skierowano ją źle, zmierzch już zapadał, zamiast do kasyna, trafiła do koszar oficerskich.

Wyznaj się w ciemnych, czarnych korytarzach, rozwleczonych po ogromnym budynku, niczem dedałowski labirynt. Ale nawet tu przekonała się, że gdy

się ma wielkie dzieło na widoku, lepiej się celem ostatecznym nie zabijać, nie dręczyć, nie pytać, a patrzeć, co przez palce, jakie łzy, biedy i nędzy przez palce przeciekają?!

Na tych korytarzach czarnych spotkała w kątach, w pyłe zakamarków mnóstwo drobnej biedoty. Grzało się to biedactwo, niby szare pajęczki w wystyglém cieple murów. Zabrała dzieci, bez celu, gdzie je odprowadzi? Prowadziła za sobą bez żadnej doraźnej nadziei, a tymczasem w drzwiach, przy wyjściu, spotkali — samego pułkownika.

Wracał z ćwiczeń, czy innych prac zimowych. Zaniechęcony, soplami lodu obrośnięty, wyglądał chyba, jak zbrojny bożek mrozu. Zapytał uprzejmie, gdzie nabierała tyle tych „małych bębnow“, wysłuchawszy, chwycił się za głowę i zarżał wesoło, śmiechem dzielnej władzy.

— Pozwólcie państwo ze mną! — pognął szarą hołotkę przed sobą do kasyna.

Tu miała pani Aniela szczęście przekonać się na własne oczy, jakie to owoce wydał bukiet nieśmiertelników. Na jej intencję poczęstowano bezdomne dzieci sutym podwieczorkiem. A gdy poprosiła, by w osobie pana pułkownika cały pułk chciał pamiętać, i może się przyczynić do małego święta, które — z racji waszej tu gościny, sfery miejskie pragną wnet urządzić...

— Dobrze, pomyślimy i co się da, zrobimy — odpowiedział surowo pułkownik.

— Nam się coś trudne wydaje — zakończyła skromnie, — a dla was, gdy zechcecie, jest to poprostu niczem.

Gdyby tą drogą umiała z księdzem kroczyć Ożarowska, inneby też osiągnęła wyniki i nie byłoby doszło do przykrych kontrowersji. Ożarowska bowiem wśród tylu innych, a tak świetnych powodzeń — gdy rejent idzie „razem całą parą“, gdy pułk obiecuje „dobrze o rzeczy myśleć“, gdy już trzeba kwaterę główną ustanawiać, bo dary napływają całkiem nie na żarty, Ożarowska, reperując z najzimniejszą krwią swój balowy kostjum, „noc“ wyobrażający, powiada cicho, lecz stanowczo:

— Ksiądz się nigdy nie zgodzi, ostrzega jeszcze raz, że żadne posiedzenie w szkole się nie odbędzie. „Tego“ mu do gmachu, broń Boże, nie zanosić!

— A rejent, który „kazał“ właśnie w gmachu szkolnym?!

Pani Aniela wiedziała już dokładnie, jak salę konferencyjną przystroi! Stół będzie nakryty zieloną kapą z jej łóżka, — w czerwone róże. Rozstawi się muszle, jako popielniczki.

— Śmiej się z tego — odpowiedziała Ożarowskiej, — nam się to może trudne wydaje, ale dla nich, gdy zechcą? Sami się wyklócą. My teraz wiemy tylko jedno, — do dzieła!

Wogóle teraz muszą się powodować psychologią myszy. To znaczy, że, gdy człowieka ze wszystkich stron odpędzają, on ze wszystkich stron wraca!

W myśl tej psychologii poszła, bez jednego zresztą rumieńca tam, gdzieby się nie ważyła pójść nigdy kobieta „porządna“.

Była na prywatnem posłuchaniu u aptekarza, w jego „jelenim“ gabinecie. Oto, co może sprawić pokorna

odwaga cichej, skromnej myszy. Była wśród ścian, które, gdyby mówić mogły, czegożby nie opowiedziały?!

Aptekarz wrzucił się, jak najniewinniejszy w świecie obywatel. Nie dostrzegła ani krzty jakichś wyrzutów sumienia, czy też skruchy, a tylko „taką sobie” wesołą ofiarność.

Podawszy krzesło, długo głaskał się po kapsułkowej głowie. Nareszcie wygłaskał myśl taką:

— Ja, proszę pani, umiem cenić zdrowy pogląd na świat.

Otworzył szufladę biurka, w którym podobno ukrywały się niezliczone tuziny ohydnej pornografii, i podał pani Anieli małą figurkę indyjskiego mędrca, oryginalnie rżniętą w agacie.

— Tak. Jako fant dla loterii. Napewno warto wygrać.

— Owszem, okazał dobroć — zwierzała się z tej wyprawy Aniela „oburzonej do głębi” Stanisławie, — ale pokory żadnej.

Podszedłszy ku oknu, postawiła figurkę na blaszanym pudełku marmolady.

— Siedzi tu w kuki, jakby w cieniu indyjskiej palmy...

— I patrzy sobie w pepek... — śmiała się panna Stanisława, — no i tak, moja droga, powstają wielkie filozoficzne systemy.

Przerwało im gwałtowne łomotanie od strony kuchni.

— Może to duch indyjskiego bałwana?...

Duch nie mógł trzaskać szablą i dzwonić ostrogami.

Tymczasem drzwi kuchenne były zamknięte, Ożarowska zawsze klucz zabierała z sobą. Pobiegły w narzutkach dookoła szkoły — strasznie ciekawe. Różowy śnieg chrupiał pod nogami, wieczór był pogodny, niebo bez jednej chmurki, popielato-niebieskie. W zimnej ciszy donosił się z gościńca wyraźnie turkot wozów.

Zapamiętały wszystko jak najdokładniej, bo widok, który potem nastąpił, „usprawiedliwiał” wszystko!

Na podwórku szkolnym stała ni mniej, ni więcej, tylko brązowa krowa, w duże, białe łaty, z rogami, zawiniętymi żołnierską okrętką, której zwoje, osunąwszy się nieco, chyliły się nad czołem szerokim, niby przekrzywiona na bakier czapka. Odnosiło się wrażenie, że krowa jest poprostu w dobrym humorze i biało-śnieżnymi nozdrzami uśmiecha się — do porucznika Kujona.

Miał tak samo, jak ona, odrzuconą na bakier maciejówkę, trzymał krasulę za szyję i rozglądał się bezmyślnie wzdłuż okien szkoły, podczas, gdy dwaj koniuchowie walili uparcie w drzwi kuchenne.

Z głośnym śmiechem wyskoczyły obie z za węgła. Kujon salutował triumfalnie. Panna Stanisława „nigdy w życiu” nie spodziewała się ujrzeć go w roli pasterza.

— Pastuch w ostrogach, przy mieczu i z brownin-giem u boku.

Byliby się z tego śmiali niewiedomo jak długo, gdyby nie krowa. Wzniósłszy głowę ku popielatej kopule nieba, ryknęła z całych sił:

— Ma śliczne oczy. Jak świeże kasztany.

Pani Aniela głaskała gruby kark.

— Uciekła wam z pułku?!

— Na zawsze — odpowiedział Kujon — o ile jej pułk nie wygra przypadkiem znowu w czasie wenty...

Nie śmiały tego od razu zrozumieć. Powtórzył całym zwykłymi słowami:

— Pułk nasz darowuje krowę, jako fant, dla tej jakiejś waszej wenty... Na ręce pani Anieli..

— To jest proszę pana... — zastanowiła się głęboko. — To jest, proszę pana, istna kolenda!

Obejrżeli ją uroczyście. Miała młode zęby, wspinałe wymiona, nogi „czyste“ jak lza!

— Jej córka zostaje u nas, w bataljonie, na zarybek...

Ogarnawszy przytomną myślą bogactwo tego fantu, chwyciła się pani Aniela za głowę i z „radosną“ rozpaczą do krowy:

— Ale gdzie ja cię pomieszcze, moje ty biedne serce, ty, — pani krowo!

Należało jej koniecznie wymyśleć nazwę. Ordynansi podali swoją, jakże pospolitą i niewiele mówiącą!

— Nazwiemy ją Wenta! — Głodziły we dwie po szczękach, klaskały po piersiach, skrobały pod szyją, szczęśliwe, że tak przychylnie „słucha“. Nie zapomniały przytem wyrazić podziwu dla demokratyzmu Kujona, że chciał, jako delegat, z krową pod rękę iść przez miasto.

Nie chodziło mu o demokratyzm, ale o wolne południe.

Wszystko tedy już było załatwione, prócz mieszkania, — obory.

— Nie mamy gdzie odbyć posiedzenia, ani gdzie krowy postawić. Raut pod znakiem bezdomności.

Pocieszyła panią Anielę Stanisława. To już przeczuwali nasi wieszcz. Naprzykład, — Żeromski. W jakich ludziach? — W „Bezdomnych“.

— Taka krowa w środku zimy, to przecie grom z jasnego nieba! Pan myśli, że zwierzę, — jak rower. Raz go robią i już chodzi całe życie!

Kujon przyznał pani Anieli, że nigdy dokładnie w te sprawy nie wnikał. Lecz ona, jako „gospodarska“ córka wnikała. Takie stworzenie musi mieć trzy razy dziennie ciepłe picie, siano, co najmniej wykę i wogóle!

Zagłądając Wencie w kasztanowate oczy, odprowadzili ją do stróża. Możeby zechciał przetrzymać ją za mleko.

— Za mleko?! — Na to znów obrazili się ordynansi. — Krowina daje swoich sześć pewnych garnców, z nasypką za siebie płaci!

Ciemno już było, gdy się nareszcie te trudne sprawy szczęśliwie ułożyły.

Pani Aniela ze świecą w ręku stała w drzwiach szkolnego chlewika, w którym „złagodzone“ odpowiednie przepierzenie. Ciepły, mleczny zapach tchnął macierzyńską ufnością.

— Jestem szczęśliwa! Jestem ci wdzięczna — śmiała się do machającego ogona i do wysoko na granatowem niebie przymrużonych gwiazd.

Istniały bowiem widocznie na świecie siły wyższe, których człowiek nie ogarnia zwykłym rozumem. Czyż nie do nich należało przeczucie?!

— Przeczuwałam — „t a j a ł a“ pani Aniela, — cho-

dząc po trzypokojowej amfiladzie „kuźni“ — że wenta przez małe „w“, wenta rzeczownik, będzie magnesem. Oto przyciągnęła Wentę żywą!

Badały, kto miał tak szczęśliwą rękę? Figurka mędrca, aptekarz, pułkownik, pułk, doktor, Kujon, czy też wszyscy razem?

— Wyobraźcie sobie tylko, pośród fantów można na afiszu zapowiedzieć prawdziwą, żywą krowę. Teraz już nikomu nie zaimponuje, że na wielkim świecie, gdzieś w Madrycie, czy Brukseli, albo w Kopenhadze ludzie wylosowują samochód. Jeżeli się te rzeczy ujmie w skali właściwej, to krowa jest tem samem dla nas, czem dla nich na szerokim świecie najdroższy aeroplan.

Nie podzielała tego „osądu“ panna Ożarowska. Krowie, jako takiej, nie miała nic do zarzucenia. Przeciwnie. Steranym płucem nauczycielskim bardzoby się przydał „produkt zdrowych, naturalnych wymion“. Musiała jednak, niestety, i inne względy mieć bacznie na oku.

Dusiły ją całą godzinę — o te względy.

Przedewszystkiem należało pamiętać, że Ożarowska zasadniczo o nic i o nikogo nie była zazdrosna. Są na świecie ludzie zazdrośni. Powodzenie bliźniego martwi ich. — Mnie twoje triumfy, Anielciu, szczerze cieszą.

Równocześnie należało wiedzieć, jakie stanowisko zajmuje starsza nauczycielka względem egoizmu i interesowności. — Są na świecie ludzie interesowani. W moim własnym interesie leży naprzykład takie mleko prosto od krowy.

Ale Ożarowskiej nadewszystko chodziło o majestat nauki. Dużo na ten temat rzeczy „ważnych i poważnych“ dowiedziała się dziś popołudniu, choćby tylko

od księdza proboszcza, który, — tak czy inaczej, ma za sobą dwuletni pobyt w Rzymie. Otóż ziemiaństwo patrzy bardzo krzywym okiem na rautowe przygotowania. Krowa może tu tylko — dolać oliwy do ognia. Pan Gomółka, czyli cała strefa Straży Ogniowej, będącej odbiciem ziemiaństwa, też o niczem nie chce słyszeć. Nie odda lokalu Straży „pod żaden bal“ i niewiadomo, czy się zgodzi, by szkołę oddano.

— Słowem ciężka, może bardzo ciężka walka wisi niedwuznacznie w powietrzu.

Pani Aniela podniosła głowę z nad sznurowej książki, której puste czeki wypełniała tytułem „Zabawy“ i odnośnym numerem wejścia.

Obie nauczycielki stały po drugiej stronie stołu, trzymając się pod ręce. Ożarowska patrzyła żałośnie na deseń ceraty, Stanisława w ciemną, spoconą szybę, po której, małemi pazurkami, stapał w pogłosie wiatru ostry mróz.

Lokale publiczne były lokalami publicznymi od początku świata. Nad tem będą debatować panowie z Komitetu. Natomiast prywatne mieszkanie nauczycielek powinno być, — zdaniem Ożarowskiej, — czyste od wszelkich partyjnych tendencji. Nikt nikomu nie wymawia gościny, ale poprostu zaleca ostrożność. Komu zaleca się ostrożność? Kobiecie w takim stanie z mężem siedzącym w obozie jeńców.

Pani Aniela, zamknąwszy książkę i pióro, otarte papierkiem, położywszy na brzegu:

— Mogę stąd iść w każdej chwili. Jeżeli Wenta w przeciągu godziny znalazła pomieszczenie, to może i ja znajdę jeszcze miejsce na świecie...

Nauczycielki obraziły się, zwłaszcza, że tu nie chodziło bynajmniej o żaden patos! Jako odpowiedzialne za „użytkowość“ lokali szkolnych, obmyśliły ewentualnie pokoik przy strychu, niedoszły gabinecik fizyczny, po drugiej stronie gmachu, przy tych niewykończonych schodach. Były za „zasadniczą ideą balu“ na cześć legionistów, — co innego jednak takt w stosunku do własnego prywatnego mieszkania, jako nauczycielek, zależnych od ogółu miasta.

Stanisława rozplakała się nawet.

— Żeby uniknąć dalszych wstrząsów, rozetniemy węzeł jednym zamachem. Przenoszę się dziś, zaraz...

Nie mogły tego pani Anieli w żaden żywy sposób przełożyć.

Tobołki i kosze nosił stróż, Jan, którego od chwili pojawienia się Wenty — można było do rany przyłożyć...

— Nie mogę tylko jednego zrozumieć... — Pani Aniela stała już na progu, w kapeluszu z piórkiem nad czołem, z koszyczkami w rękach.

Prosiły ją koniecznie, by powiedziała — napewno wszystkie potrafią wyjaśnić.

— Nie mogę zrozumieć, dlaczegoście wtedy, tego wieczora, kiedyśmy piechotą z „przywitania“ wracały... Przy aptece wszyscy się pożegnali. Potem szliśmy pod ręce, — dlaczegoście wtedy śpiewały „Choć burza huczy“?!

Włokąc cień ogromny, znikła bez odpowiedzi.

Stróż stukał daleko po pustym gmachu, pani Aniela szła za nim, małym ogarkiem świecąc jako tako. Szerokie cienie ławek okręcały się dokoła izb szkolnych, tam i sam niezmazany rząd białych słów wystę-

pował z czarnej tablicy i zrumieniony gaśl. Krok rozlegały się donośnie.

Zbliżyła się do okna, aby spojrzeć na wielkie czarne niebo.

Od świecy rozwinął się na dygocących szybach czerwony wachlarz.

Pani Aniela pamiętała teraz tylko jedno: czasem musi człowiek stanąć przy oknie i o niczym nie myśleć.

— Wiecie, Janie? — Zasmolony, spocony wracał ze strychu. — Jestem naprawdę jak mysz. Lecę na strych!

— Ładna mysz! — huknął stróż — co nam dzisiaj, z przeproszeniem, krowę urodziła.

— Ale też Jan plecie! — Przy okazji wyjaśniła przyczynę przeprowadzki. — Przenosi się, bo tam „za ciepło trzymają“ z czego dostaje uciążliwych duszności.

— Wiadomo, — skrobał się stary, — w odmiennym stanie, bez męża i jeszcze tyle kłopotów. Z przeproszeniem — nie miała kłopotu, kupiła sobie świnię.

Wenta, bal, raut, lotto, godne przywitania bohaterów żołnierzy nie było zaprawdę „kłopotem“. Tego nie rozumiał stróż, pan Gomółka, sfery Straży Ogniowej, czy też wygodne ziemianstwo. Nie miała do nikogo pretensji. Byli ludzie, którzy ją rozumieli. Tych była pewna, jak samej siebie:

Skauci, którym poleciła odpowiednio przybrać salę konferencyjną. Dziewczynki, które niezmordowanie zbierały fanty. Całe młode pokolenie, nie licząc postępowych „dzikich“, jak doktor, aptekarz, rejent. Dodać do tego trzeba wszystkich porządných, dobrych ludzi, których się nie zna, ale którzy są — i gdy

my tu z sił opadamy, złorzeczyć chcemy, oni tam, gdzieś, w nieznanym mroku myślą za nas i cierpią.

To też, gdy po wielu listach, zanoszeniach, powiadomieniach, odnoszeniach doszło w zimowe popołudnie do stanowczego, „gremjalnego“ posiedzenia w sprawie balu i lokalu, — była swego pewna.

Nie straszyl jej wcale zestawiony z kilku małych długi, poważny stół, za którym siedziały powagi i radziły. Czuła, że przekona każdego. To nic, że w zaciełej oschłości, nie zwrócili uwagi na ubiór sali, umajonej „świerczyną“, wyposażonej w muszlowe popielniczki, przygotowanej do poważnych obrad nie tylko pod względem ciepła (piec własnoręcznie w porę zakręcony), ale i oświetlenia (wyprawowa lampa z pudełkiem zapalek na włóczkowej serwetce). To nic, iż nie wiedzieli, że mała ta salę młode pokolenie, ich córki i synowie, którzy nawet w tej chwili stukają młotkami na dole w salach przyszłego balu.

— Nowe pokolenie jeszcze raz zrzuci okowy — oto, coby krzyknąć należało wobec zawiłych wywodów.

Ciche, jakby zakurzone słowa księdza sypały się bez przerwy. Szeroki, hebanem pod słońce lśniący tors sutanny oddychał miarowo, wbita między czarne ramiona głowa mieniła się gładziwą słoniowej kości. Im zdania były trudniejsze, tem rozumniej dyszał siedzący obok księdza wódz Straży Ogniowej, pan Gómółka, tłusty, olbrzymi, z uszami ulepionymi jakby z gęsiego smalcu.

Odeci ciepłem, ziemianie coraz srożej trzaskali ze swych kosmatych palców.

Ale nie wszystko było jeszcze stracone! Naprzeciw

wznosił się z za stołu czerwony, zwięzły rejent, uśmiechnięty doktor, aptekarz, który jednak umiał nie liczyć się ze światem! I różni inni, — swoi!

Cóż z tego, że ksiądz mówił o bezpartyjności, powadze szkoły i tylu różnych wielkich zagadnieniach, coś z tego, że od tych wywodów zawiłych spać się mogło zachcieć w słonecznym blasku popołudnia, gdy na wywody odpowiadał doktor swojemi zagadnieniami, — które też były trudne!

Plus i minus nawet w elektryczności się znosi — myślała z ulgą pani Aniela, — pozostaje tylko fakt dokonany!

Cóż z tego, że ziemianie skrzypią już cholewami i przez głowę rejenta patrzą wyzywająco naprzestrzał, jak przez „normalne“ powietrze. Temu przeciwstawić można choćby aptekarza, z rękami w kieszenie „śmiało“, aż po łokcie wsuniętymi.

Strach nią zatrzęsł dopiero, gdy rejent, sądnym głosem wołając na całą salę, począł „błagać szanownych oponentów“, by zechcieli stwierdzić zwykłą, nagą prawdę.

— Ostatni raz tu was sercem ugryzę, a wy za to po raz pierwszy może w całym waszym życiu powiedzcie nagą prawdę. — O ten „drobiazg“ dopominał się gromowym głosem.

Wszyscy się z miejsc porwali. Nawdziewane pośpiesznie futra wymachiwały pustymi ramionami, odświętny piaseczek podłogi zgrzytał niespokojnie.

Wtedy atlasowy przodzik podskoczył naprzód i zatrzymał się przed czarnym żywotem sutanny, jak wryty.

Pani Aniela zaczęła wielkim głosem o hasłach, o zasadach. Chociaż było trudne, nikt już tego nie słuchał. Jęła odchodzących chwytając za ręce, ciągnąc, „rzucając na tapet“ jednym zamachem wszystko. Bożka z agatu, srebrny koszyczek kaukaski, teczkę oprawną w skórę, inne, drobniejsze fanty, a na koniec Wentę.

Ksiądz zbłądł, białe uszy pana Gomółki zżółkły, rejent przestał ryczeć. Wenta, kochana Wenta zrobiła swoje od jednego razu.

— Zdrowa, piękna, holenderska krowa, nie licząc barana, dwóch owiec, nie licząc drobiu, który się nam już kroi.

Nic się jeszcze nowego nie kroiło, wypadło jednak oprawić jakoś Wentę honorowo.

— Na biedne dzieci tę rzecz urządzamy!

Załamaniem głosu, jakoby nisko uklękawszy: — Nam się to trudne wydaje, a dla was, gdy zechcecie jest to poprostu niczem. Chodzi o rzecz tak małą!

Chwytając za rękawy, zasłaniając drogę wydętym atłasikiem, przypadając szaremi oczyma do pstrokatych krawatek — żebrała.

Zrzuciwszy odpowiedzialność przed władzami i miastem, przed sferami i dziećmi, ksiądz zaśmiał się gorzko — i ustąpił. Ziemianie wydali gęsty oddech ulgi, Gomółka wsadził ołówek do białego ucha, pani Aniela kornie pochyliła plecy, gotowa na nie przyjąć choćby największe brzemię.

Oczy jej, wlepione w okno, błyszczały radośnie, — czysty błękit wieczoru rozwijał pierwszą zorzę w swym wnętrzu nieuchwytnym.

Aby się wywdzięczyć za ustępliwość odprowadziła

księdza na probostwo. Było to dziś całkiem konieczne, — manifestacja zgody dwóch światopoglądów.

Niech całe miasto widzi, że razem chodzą.

Proboszczowi kłaniano się ze wszystkich stron, pani Aniela także oddawała ukłony, w niejasnym poczuciu własnej, trochę duchownej godności.

Nawet szli podobnie, nieco okrakiem, ona pod naciskiem cięży, on pod ciężarem okazałego żywota.

— A w końcu i tak niczego pani nie dokona.

— Przecież tu chodziło właśnie prawie o nic, o małe głupstwo.

Byli w połowie drogi do plebanji. Najeżone sopłami lodu domostwa uliczki wznosiły się pod górę, ku rozległym żebrom starego kościoła. Śnieg błyszczał na łukach i zrębach budowli, czyniąc ją podobną do olbrzymiego ptaka złotego, który nieruchomo spoczywa wśród rumowisk.

— Może za prędko dla pani idziemy? W pewnych chwilach życia musi kobieta stale myśleć o sobie poważnie.

Zaśmiała się drobnym szklanym rytmem. Przecież właśnie dlatego robi to wszystko. Już dla — trojga! Rodzice — to dwoje. Ale teraz musi się całkiem inaczej dbać o dobre imię. Dla trojga! Serce się w czło-wieku przewraca od tego z radości.

Tak. — A czy to prawda, że musiała zmienić mieszkanie?

Zmieniła je, żeby nikomu nie przeszkadzać.

A jeżeli Komitet „wogóle“ usunie ją ze szkoły? — Ksiądz wziął ją pod rękę skromnym duchownym sposobem, ledwie dotykając łokcia.

Patrzyła na niebo w puchach zachodu rozwiane, na rzekę, której mały kawałek widać było po tamtej stronie miasta. — Wtedy nie wiem, co zrobię.

— Lekkomysłność. Ludzie tak niechętnie pamiętają o swych obowiązkach. — Pouczał; wiązało się to tak ściśle z miłością Ojczyzny.

Aniela patrzyła wesoło na czarne kręgi wron, kołujące w różowych oparach mroźnego wieczora.

— Komitet postanowił wymówić pani miejsce ochro- niarki — zakończył proboszcz piękną swą naukę.

Stali na schodach plebanji, wśród rzadkich czar- nych grabów, proszących śnieżnym puchem.

— Bez mieszkania, proszę księdza, i — właściwie bez chleba? — zdziwiła się ostrożnie.

— Ach, proszę pani, może gdyby się jeszcze w porę usunąć z tych wszystkich hałaśliwych przedsięwzięć, gdyby stosownie wpłynąć na młodzież?...

Pocałowała czarny mankiet sutanny: — Dziękuję.

Proboszcz rozszerzył powitalnie ramiona.

Pomyłka! Cóżby on sam teraz o niej pomyślał? Tego nie można zrobić ani cudzym dzieciom, ani też swojemu?...

Szła szybko zpowrotem do szkoły, mrucząc bez- myślnie w mroku te same śmieszne słowa: — Wenta, raut, bal, lotto. A równocześnie zdało się jej, że sły- szy, jak poprzez te wyrazy, niby przez drzewa nagie i samotne, ucieka jakiś wiatr wesela i radości.

W rozterce, smutku i poniżeniu wstąpiła na po- wrotnej drodze do apteki. — Istota bez miejsca i bez chleba. — Czyż nie to właśnie spycha kobiety na progi jelenich pokoików?

Aptekarz oddał ważki pomocnikowi, roztrącił chło- pów, którzy poprzez trupie promienie karbidowej lampy kurzyli machorkę, i popchnął „rzadkiego go- ścia“ do wiadomego pokoju.

Dała się posuwać, jak mebel.

— Myślę, że przyszła mi pani podziękować za tego warjata z agatu. Napewno także i dzięki niemu usta- pili ziemianie. Chciwość ludzka kieruje światem. — Z białego kitla pryskał cichym śmiechem we wszyst- kie strony. — Zwycięstwo ogromne. Właściwie nie pani, ale tej holenderskiej krowie należałoby ręce uca- łować. Popycha życie naszej dziury na nowe tory.

Mówili już o tem z rejentem i doktorem, — zupełny przewrót!

Pomocnik przyniósł czerwoną wódeczkę. Nie był to alkohol w znaczeniu pospolitem, ale tylko wywar naukowy, osnuty na zasadach chemji. Pani Aniela wypila dwa kieliszki. Nawet dziesięć nie mogłoby zaszkodzić nikomu.

Należało koniecznie wypić, — szkoła, jako gmach, zaczynała nową erę. Ludzkość mimo wszystko kroczy w tej wojnie naprzód siedmiomilowemi krokami i do- piero teraz będzie można pokochać ten budynek, tak niemiłosiernie dotąd marynowany przez komitet.

Z tej racji znalazł nareszcie aptekarz tekturowe pu- dło i ofiarował je Anieli, — w dniu nowej ery.

Ognie sztuczne, przechowywane z myślą o jakimś niezwykle wydarzeniu na tle życia narodowego.

Przebierała zimnemi palcami wśród długich, szorst- kich patyczków, gwiazdek, krążków. Podobne to było z kształtu i dotyku do zmarzniętego pośladu ptactwa.

— Więc nawet ognie sztuczne będziemy mieli? To doskonale. Bo jesteśmy tylko pomostem. Po nas przyjdą inni. Nowe pokolenie, które naprawdę skruszy okowy. — Musiała to powiedzieć, by nie wybuchnąć najgłupszym w świecie płaczem. — Dlatego, — dodała, — powinniśmy się cieszyć, — gdy po nas depcą.

Aptekarz stwierdził, że go źle rozumiano. Ofiarowując ognie, wiedział, że ich sama do szkoły nie podźwiga. Sam dał, sam odniesie. — Gdyby tak zwani porządni ludzie mieli wychowanie ludzi wyklętych, świat byłby rajem.

Miała wrażenie, że jest pijany, gdy zatrzymawszy się na lodzie zmarzniętej przed szkołą sadzawki, tajemniczo wskazał oświetlone okna parteru. Lampy naftowe błyszczały w wieńcach sosnowej zieleni, jak złote orzechy.

— W tych oknach, pani Aniello, świeci pani serce.

Poprosiła, by raczył obejrzeć zbliżając się, co dotąd z oddaną ideą młodzieżą przygotowywali półoficjalnie.

— Wytlumaczcie panu, co robimy, — wołała pośród chłopców, dziewczynek, stuków, huków, zapachu młodej sosny i śwędu lamp, — my właściwie robimy gaj ojczysty!

Kapsułowata głowa aptekarza chwiała się na obie strony, jakby powodowana od wewnątrz nadmiarem gęstej cieczy. Podziwiał szczerze, choć pani Aniela nie mogła mu darować łakomych, z pewnością zwyrodniałych spojrzeń, którymi towarzyszył dziewczynom.

Wspinały się wysoko po stołkach i drabinach, by końce wieńców ucześcić w rogach sufitu.

— W ten sposób powstanie gwiazda z sośniny, przetkanej narodowymi barwami. Ściany wyłożone, czy ściślej mówiąc, kryte będą również młodemi sosenkami, pośród których umieści się podobizny wodzów i mężów stanu. Abyśmy pośród przyrody pamiętali także o zasłudze. Gradusy z pod katedr razem zebrane utworzą estradę. Niestety, nie da się jej niczym zakryć. Rejentowa ze względu na akustykę „wymówiła sobie“ wszelkie dywany. Zato bufet w sąsiedniej klasie przybierze się łańcuchami papierowymi. To zawsze wzrusza. Dalej ciągnąć się będzie rodzaj jadalnej świetlicy, — i oto cała koncepcja.

— Niech pan przymknie oczy, — krzyczała mu jeszcze wśród harmidru prosto w ucho, — i niech pan posłucha. Jakie życie!

— Ba! — aptekarz ziewnął, — hałasują jak zwierzęta w klatce.

Nie dała się wytrącić z równowagi tym „cynizmem“. Przeciwnie. Postanowiła utwierdzić rodzaj wdzięczności dla ofiarodawcy wśród młodzieży. Niema już na świecie ludzi szlachetnych i nieszlachetnych, — są tylko nieszczęśliwi. Ogłosiła o darze, — o ogniach sztucznych.

Napróżno aptekarz dopytywał o pannę Stanisławę. Skauci wiedzieli, że jest tu gdzieś na górze, ale postanowili przede wszystkim obnieść fundatora wzdłuż ścian dokoła „gaju“.

Zamiatając po drodze łańcuchy, wieńce, gwoździe, młotki, uciekał. Wypadli daleko za szkołę.

Pani Aniela podreptała za nimi na korytarz. Z uchylonych drzwi siwym kosmykiem sączył się mróz. Za-

chciała koniecznie znaleźć Stanisławę i powiedzieć jej — tylko jedno. — Dwa słowa: — za dobro płacą w życiu złem. Nie był to przecież żaden sekret.

Spostrzegła nauczycielkę i porucznika Kujona w amfiladzie klas na drugim piętrze.

Nie widzieli jej.

Wstrzymała oddech... Zaprawdę, wyglądali, jak wzór demokratycznego, a zarazem wojennego marzenia. Cichy, wzniosły obrazek. Oficer stał „surowo“, z rękami położonymi na ławce, Stanisława przodem do okna. Szara jej twarz roztopiała się w mgle szyb. Skromny oficer i uboga nauczycielka.

Mówili głośno — o znikomości świata.

Ileżby im mogła dopowiedzieć w tej chwili!

Porucznik Kujon żalił się, że oto kiedyś siedział w takiej klasie, na takiej ławce, na tem samym miejscu, a dziś nadeszły nowe pokolenia, ludzie się wzajem nie znają i — taką jest muzyka czasu.

Słuchali tej milczącej muzyki w milczeniu.

Aż tu dolatywał krzyk chłopców, goniących aptekarza.

Wtem trzask się zerwał niesamowity.

Oficer zlepił się w jedno z nauczycielką. Mała szkolna ławeczka na podobieństwo kowadła bić jąła w podłogę. Splątany wątek rąk, piersi, śmiechów i szelestu miotał się na jednym miejscu uporczywie, to chmurę drżącej bielizny z siebie wyłaniając, to twarde sztrychy mundurowych ramion.

Pani Aniela zbiegła na dół. Gdyby nie poręcz schodów, byłaby upadła.

Dwa razy obeszła szkołę dokoła. Plac był pusty,

po zamrożniętej sadzawce snuły się siwe pasma szronu, pomieszczone z odbłaskiem dalekich okienek. Zastukała do stróża, jąła na niego krzyczeć. Jan się obraził, otworzył wkońcu chlewik, splunął, — krowa mu nie pierwszozna, wiedział nie od dziś, jak się chodzi koło bydłęcia.

Postawiwszy na ziemi latarkę, usiadła pani Aniela na zabrudzonym stołku, a głowę oparła o ciepłą łopatkę krasuli. Łzy lały się same po grubej sierści, na twarde kopyta niewyczerpanym strumieniem. Nie o Stanisławę, nie o mieszkanie, nie o Kujona.

— Ty wiesz — trącała nabrzmiałem czołem podatny bok zwierzęcia, — ty jedna się domyślasz!

Tak zastał „niezastąpioną organizatorkę“ doktor na czele zdyszaney młodzieży. Był w futrze. Z pomiędzy oszronionych bokobrodów kraśniała wysoko trzymana róża czerwona. Za nim w drewnianej ramie drzwi, pod skrawkiem gwiaździstego nieba młode, różowe pyszczki chłopców i dziewczynek.

Szukali jej wszędzie.

— A ja przychodzę późno — głądził doktor, — bo trzeba było gdzieś przecie nabyć jakoś tę różę, aby uświetniła dzisiejszy pani triumf. Tymczasem...

— Tymczasem dobrze was nie widzę — łamali się jej w oczach przez łzy.

Wobec czego doktor zaordynował chór. Na cześć zwycięstwa, zaczął sam drżącym, baranim głosem.

Zagłuszyli go zaraz. Przez zwiewne ognie świec trysnęła skokiem stara, narodowa pieśń. Śnieżny wiatr rwał ją dzieciom prosto z ust, pani Aniela, nad głową wystraszonej krowy, przeczyła ostrożnie rękami.

— Nie śpiewajcie, — prosiła między strofką a strofką — ludzie i tak niecierpią się zanadto!

— Prawdziwą przyjaźń może czuć człowiek tylko do zwierzęcia, bo ludzie! — Kłóciła się o to z doktorem, coraz częściej, przy lada okazji, na każdym kroku.

Jako fizjolog dowodził, że mimo wszystko ludzkość jest wzajem dla siebie stworzona. Ale dlaczegoż twierdząc to, wzruszał ramionami, jakby przeczył samemu sobie?...

— Ludzie?! — im bliżej było balu, tem jaśniej widziała pani Aniela, co to za jedni są ci — panowie ludzie. Tchu może od tego człowiekowi zabraknąć!

Ktoś podkładał codziennie pod wyjedzony przez myszy próg jej ciasnego stryszku anonimowy list, pisany dziecinną ręką. Zaczynał się od słów „śmiej się pajacu“, a kończył przepowiednią jakiegoś nieszczęścia. Chowała świstek na piersi i tak chodziła, z tym „śliskim wrzodem“, dziecinną ręką zadany. Nikomu nie można pokazać!... Tylko się bać, śledzić, żyć w smutnej tajemnicy — to są ludzie!

To znów przychodził rzeźnik, srogi pan Gomółka, służbowo, w kasku strażackim. Badał, — nie pozwalał, — zasłużone portrety na ścianach, wśród sosenek laską tykał. Na każdym kroku krzyczał o bezpieczeństwo ognia, cykając gęstą śliną przez ogromne zęby.

— Śmietniki tu robicie, a jakby co do czego, kto je będzie gasił?!

Piła z nim wódkę, choć wcale nie stał o wódkę, piła z nim herbatę, choć tylko co pił w domu. Krowę

mu pokazała, choć miał na stajni cztery, każda z osobna i wszystkie razem lepsze. I pokazała mu wszystkie najbezbронniejsze uśmiechy i położyła mu cicho, nisko, jakby pod same stopy zabłoconych bucisków, potulne swoje słowo: nam się trudne wydaje, a dla was, gdy zechcecie, jest to poprostu niczem.

Ach tak — panowie ludzie.

To znów ksiądz z różnemi strachami i słuchami. To jeszcze pani rejentowa!

Stawała na estradzie, by akustykę głosem wypośredkować. Dwaj rudzi synkowie, jak czerwone wieściorki, latali wokół gaju, szkoła się trzęsła od grobowych słów Agamemnona, a chłopcy pośród drzewek wrzeszczeli wniebogłosy, „że tu, — od nich, — zupełnie nie słyhać“.

Pomocy żadnej znikąd. Ożarowska szyła sobie swą „noc“, Stanisława, z Kujonem i z aptekarzem, we troje wodzili się po gmachu bezwstydnie, rejent zjawiał się rzadko. Stawał na środku sali i dowodnie wróżył o wściekłości przeciwników, oraz o przyszłej, polskiej „nagiej prawdzie w drzewie“.

— Gdy siedzę u Wenty, panie doktorze, to wiem u kogo siedzę — skarżyła się pani Aniela. — A gdy z wami wszystkimi mam tutaj do czynienia?!

— Więc, gdzie pani ostatecznie myśli zamieszkać? Na strychu, czy w obórce?

— Wnet już nigdzie. Zaraz po balu wyjadę stąd w świat.

Doktor siedział w kucki na rulonie dywanu i kiwał głową miłosiernie. W świat niema co wyjeżdżać. Świat jest wszędzie.

Pokazał jej drwiąco stos dywanów, wyszarpanych, wyjedzonych, rozmaite lampy, uszeregowane na stołach, wszelakie graty, które od szanownych właścicieli, ma się rozumieć „bezimiennie“, wypożyczyła na raut.

— Niechże pani patrzy. Ta lampa w białe kwiaty na umbrze, — od akuszerki. Ta na pękatej nodze, — rejentowa. A ta, z osobliwym mechanicznym knotkiem — to rozwiedziona aptekarzowa. Świat jest wszędzie tam, gdzie cierpi nasze przeżycie. Dlatego — cały świat może się wkońcu mieścić w jednym człowieku.

Doktór trwał nieruchomo i patrzył jak z obcasu spływa mu na podłogę duża kropla błota. Aniela pracowała cierpliwie za stołem, napychając perkalowe torebki niespodziankami na loteryję fantową. Wiatr grzytał za oknami.

— Zresztą, czy warto z panią o tych rzeczach mówić? — Obciągnął kamizelkę, strzepał z ramion łupież i spojrzał w szyby, rozświetlone odbiciem lampy. — Wszystko, co się teraz w pani odbywa, jest sprawą innego mężczyzny.

Trzeba to było zbyć jakoś. — Niech pan tak jeszcze siedzi w kucki. Jak śmiesznie! — Był chyba żywcem podobny do tego warjata z agatu, ofiarowanego przez aptekarza.

— Tak, pani, z tą różnicą, że warjat z agatu już nie cierpi. Ni z tego, ni z owego zaczął doktor prawić naukowo o ciąży. O zmianach w organizmie. wszelakich możliwościach, nawet o mleku kobiecym, Było coś strasznego i bolesnego we wszystkich jego określeniach.

Zdażyła wtrącić pewną wątpliwość. Czy to prawda, że przeżycia, doznawane przez matkę, kształtują duszę „przyszłego“ dziecka?

Krzyknął gniewnie, by mu nie zadawano „luźnych“ pytań w czasie wywodu. — Umiemy napamięć wszystkie kości, mięśnie, wszystkie żyły, wszystkie nerwy, ale cóż z tego? Pani jest winna wszystkiemu. W normalnem życiu ludzie chodzą koło siebie i jakoś się nie widzą. Ale biada, gdy w chwilach wielkiego wysiłku los ich zbliży. Praca pani nad balem, gajem, rautem, wentą, nad tem całem śmiesznem głupstwem, ma właśnie taką właściwość zbliżania!... Tyle trudu, cierpliwości, starań, — miłości! Każdegoby porwało!

Wyciągnął z utęsknieniem pod górę drżące ręce...

Zerwała się i, biegając dokoła sosenek, zaczęła krzyzczeć. Bił się pięściami po głowie, końce szala krzyżowały mu się na piersiach. Wybiegła na korytarz.

— Wracać... Pani się zaziębi. — Nieporadnie szarpał drzwi wejściowe.

Przytknęła ręce do skroni. Niema na świecie czystej przyjaźni. Niema nic...

Ale, gdy nareszcie przyszedł wieczór balu, przebaczyła doktorowi za jednym zamachem. — Nigdy nie będziemy mówić o przeszłości! Zawsze tylko o tem, co będzie!

Będzie się palić pięćdziesiąt świec, prócz lamp szkolnych, prywatnych, prócz powiększającej, z rurą, wypożyczonej specjalnie od dentystki. Będzie nas wiadać stąd w nocy na trzy kilometry.

Dwie ogromne szynki, pięć cielęcin z tłuszczkiem,

kosze pełne pieczywa, a na schodach dywany, — na schodach cichy zaszczyt.

Ognie sztuczne, chiński deszcz i wszelakie rakiety. Raut, chóry, deklamacje. Śpiewy razem z orkiestrą. Grób Agamemnona i panna Stanisława razem z Ożarowską, które na dwa głosy śpiewają „Za Niemien“.

„Mur“ wojskowych, mieszczańskie, i zamożne postacie szlachty okolicznej.

Już nie mówiąc o fantach. Budda, — bo to jest Budda, jak się okazało, — cały rżnięty w agacie, teczka ze skóry wenecko wypalanej, srebrny koszyk kaukaski. Żeby tylko Wenta, ta żywa, ta z ogonem, nie przytłumiła wogóle zabawy. Jeżeli można wygrać rzeczywistość krowę?!

Któż spokojnie wytrzyma?!

Kostjumy? Stanisława w szlachciance, Ożarowska w „nocy“, pomocnik jako trefniś, rejentowa w sukni swych występów scenicznych. Bufet w barwnych łańcuchach.

— Niech pan patrzy, doktorze.

Jeszcze było pusto na salach, ale już orkiestra rżnęła poloneza.

Stali we framudze gaju, przybitego zmyślnie do ścian szkolnych. Trzeba było krzyczeć, tak potężnie rozpierał się w całym lokalu zamaszty utwór swójski. Z pomiędzy gałązek, przez szyby, jak w prawdziwym lesie przeglądały wysokie gwiazdy nocy.

— A czy pan wie, doktorze, — bo dla was wszystkich to jest może nic?... — Uniosła głowę w górę, płomień buchnął z jej szarych, bladych oczu. — Ale

dla mnie! Że tak umiałam wierzyć... Pomyśl pan, konie, konie tu zajądą! Bryczki, karety, ciężkie cugi. Ani jeden centymetr powietrza nie będzie w tych salach próżnować. Ja tu już słyszę gwar! A potem jeszcze tańce!

Cień kiwających się między sosenkami bokobrodów wzruszył ją tak serdecznie.

— Nikomu, tylko panu oddam to nareszcie. Na pamiątkę jednej niepotrzebnej rozmowy naszej... o świecie i miłości...

Nosiła to dotąd na piersiach, jak wstrętny ciężar. Te anonimowe listy, kiedy przeczyta, — oceni, ile wycierpiała w ciszy i w milczeniu.

— Panie doktorze? W ciszy i w milczeniu...

Wyciągnął rękę nieporadnie z pośród gałązek gaju, ale już panią Anielę poniosły zaszczytne obowiązki.

Kłaniała się na schodach pod narodową kokardą dostojnie i delegacyjnie. W asyście satynowej „Nocy“, z nowym księżycem na piersiach haftowanym, i niebieskiej „Szlachcianki“, obszytej białym puchem.

— Bałyście się! Ale teraz musicie chyba przyznać... — pani Aniela „pławiła się“ w rozkoszy przebaczenia. — Musicie przyznać, że przeżywamy chwile bardzo wzniosłe.

A na podjeździe, w śnieżnym pyle dymiące, dworskie karki końskie, ciemne, głuche karety, lamowane księżycem i czarny zygzak biczków w złotym kwadracie okien.

Kto schludnym ruchem dłoni wskazywał lekko, a przecież nieomylnie, gdzie się znajdują szatnie? Kto w pełnym dźwięku trąb lawirował przebiegle

przodzikiem, kto pierwsze miejsce dawał z wyszukaną prostotą czcigodnym matadorom?!

— Tu się trzeba mnożyć, podwajać, potrajać, — przykazała najbliższemu, — na wszystkie strony spieszyć, wszędzie coś podtrzymywać!

Gdy się goście zjechali, gdy już tłum wypchał suche ścianki „gaju“, gdy się już mrowie głów utarło pod lampami, złapała Kujona, Lenia, „Noc“, „Szlachciankę“, doktora, aptekarza, wszystkich swoich najbliższych.

— Wy teraz czuwajcie i ducha podtrzymujcie a ja tymczasem daję nurka do kuchni!

Tu była teraz kuźnia! Stąd musiało teraz iść „na plac boju“ mnóstwo herbat, kaw, szynki, cielęciny. Naprzód! — bez miłosierdzia! Każdy wie — goście muszą wypić i jak najwięcej zjeść. Z tego powstaje ukochany, niezawodny gwar, pośpiesznymi głosami trzaskający w powietrzu.

— Ja tu jestem sługa, taka sama, jak wy — mówiła w parze, dymie do podkasanych kucht, szczęśliwa, uśmiechnięta, z myślą radośnie rozszczępioną pomiędzy fanty, bożka, koszyczek, teczkę, Wentę, która cicho czeka niewiadomego losu, — a Napoleona, co w swoim czasie tak samo kiedyś porywał do ataku swoich wiernych żołnierzy.

Ale gdy powróciła stąd na swoje pole walki?... Trzeba było kilkakrotnie zamknąć oczy, do głębi płuc odetchnąć, żeby się nie przerazić tej ciszy sennej, lepkiej.

Oparła rękę na ramieniu aptekarza. Stał pod piecem, patrzył skosem po sali i, rozchyliwszy poły czar-

nego żakietu, grzał się „cynicznie“ o chłodnawą kafkę.

— Nie martw się pani — powiedział najspokojniej.

Herbata wszędzie stygła niedopita. Kupeczki mięsa krzępiły na talerzach. Cały „gwar“ nie dawał więcej głosu, — niż gdy w kominie późnym wieczorem dogasają sadze.

— Coście tu z nimi przez ten czas zrobili?!... — napadła na doktora.

Ludzie, jak w swoich miejscach przyłgnęli ciemną plamą, tak trwali już niezmiennie.

Możnaby było zwarjować od żółtych wielkich łat podłogi!

Oficerowie skupili się pod ścianą. Ziemianie wedle stołu, nakrytego czerwonym pluszem, dokoła dentystycznej lampy. Mieszczanie przy muzyce.

Poskoczyła co żywo, najprzód do oficerów. Przed nimi cały świat! Żeby się znajomili, żeby się nie dawali!

Ale jej powiedzieli, że ziemiańskie progi są za wysokie na ich oficerskie nogi.

Pani Aniela nie dawała tak łatwo za wygraną. Dygała swobodnie, przemawiała junacko. Nawet łokciem w „sceniczny sposób“, jak kiedy się gra „kumę“ — trąciła kapitana.

Spowaźniał, salonowo poprosił ją na chwilę rozmowy obiektywnej i całą rzecz wyłuszczył:

— Niech pani patrzy, siedzą przecież w płaszcach. Boją się zapewne, że im skradniemy futra.

— To nieporozumienie! — Podkradła się pięciwym krokiem ku rozważnym ziemianom.

Tu, ksiądz z pod lampy świecił kością słoniową i nieprzerwanie mówił o poważnych sprawach.

Zabiegała z różnych stron. Czepiała się spojrzeniem. Podtykała cukierki. Pot spływał jej po szyi. Nie mogła księdzu przerwać.

— Niech pani kanał przekopie od jednych do drugich, — wtedy się dopiero zleją szczęśliwie razem.

Nie zwracała uwagi na gadanie reagenta. Posiadał dziś wartości cenniejsze od najlepszej wymowy. Był w smokingu. Tchnęło od niego prawdziwym, wielkim światem. Gors, spinki, czarny krawat, strzałka na skarpetkach i świeżutkie lakiery.

Ublagała go. I wszystkich swoich. Niech na pierwszy ogień — zatańczą. Jakby mimochodem.

— Niech ktoś śmiałym czynem stwierdzi, że nie wszyscy tu kisną. Że tu są już tacy, co na miejscu ustać nie mogą!

W ciężkich wojskowych trąbach zaryczał walc, aż z lamp nowe światło trysnęło.

Pani Aniela przymknęła oczy — tańczono. „Lgnęła sercem“ do każdej podeszwy. Stanisławie widać było w obrocie niebieską pończochę prawie po kolano. Jeżeli ci oficerowie mają w żyłach naprawdę krew swych ojców, — ruszą w tan! — Tylko czemuż Kujon ze Stanisławą tańczył? Dla balu — zmarnowane.

Trefniś — pomocnik, hasał z Ożarowską. Było to dla balu pożyteczne! Skoro Ożarowska tak swobodnie płasza — to nawet matrony nie potrzebują się kępować.

Teraz już wnet szurganie się pomnoży, nadejdzie czas, że się zderzać zaczną.

Już walcował reagent. Marnowało się to co prawda, bo tańczył z własną żoną, ale bał zyskiwał, że „tańczono w smokingach“.

Rozpromienionemi oczyma wpila się pani Aniela w księdza. Ani na chwilę nie przerywał wykładu. Ziemianie ani drgnęli, szurganie bladło, rzędło, na koniec stanęło. Ostatni takt muzyki pękł, jak gdyby na zawsze, w świetle spokojnych lamp. Tancerze rozpełzli się chyłkiem po kątach „gaju“. Na środku zabawy została pusta tafla zatartej podłogi.

— Pan się oczywiście nie pofatygował! — krzyknęła pani Aniela do doktora. I, odepchnawszy go, choć jej wcale drogi nie zagrażał, z „otwartą przyłbicą“ wystąpiła na środek sali.

— A teraz, proszę państwa, — krzyknęła ostrym głosem, pod którym drżały łzy, — ogłaszam rozpoczęcie rautu!

Niestety! Numer za numerem wsiąkał w nielicznych widzów bez echa i bez śladu — jak w piach. Brawa się strzępiły rzadkie, wątle, bardziej podobne do plusku mdlejących rybek, niż do ludzkiej wesołości.

Dzień i noc, czyli Szlachcianka i Noc, czyli Stanisława i Ożarowska zaśpiewały „a capella“ „Za Niemien het precz“ przed pustymi ławkami. — Śpiew nie płynął, ale jakby kopcił, w dodatku słychać było przez cały czas wymyślanie kuchci w przedpokojach.

Odganiały łobuzów, którzy w obdartych szmatach, brudni i zasmoleni, usiłowali dostać się do „wnętrza balu“.

Pienia młodzieży, połączone z orkiestrą, zupełnie

nie wyszły. Chłopcy się zbuntowali, że ich wcale nie słyhać, bo wszystko bezczelnie zjadają trąby.

Trochę powodzenia osiągnęła rejentowa, dzięki ogromnej sile głosu, a także — dzięki rejentowi. Stał w pośrodku sali i karmił surowem spojrzeniem każdego nieuważnego słuchacza. Nie wahał się też na rozmawiających brutalnie sykać.

Pani Anieli zdawało się jeszcze, że możnaby uratować raut niezapowiedzianym w programie, ale zawsze gotowym numerem pomocnika. Udawał znakomicie „żydka w aptece“. Dał się ubłagać, chociaż robienie żydka w kostjumie trefnisia uważał za bardzo niebezpieczne.

Przewidywania sprawdziły się. Podczas całego „żydka w aptece“ głośno ziewano na sali. Pomocnik, zeszedłszy z estrady, oświadczył pani Anieli, że jej tego nigdy nie zapomni.

Wyrwała się gwałtownie ze swojej grupy. Wyszła na środek i śmiałym, stanowczym głosem obwieściwszy gwóźdź programu, czyli wentę — bez ukłonu, bez uśmiechu minęła wszystkie pokoje, nawet głowy nie chyląc pod gwiazdami z zieleni, jakby kroczyła przez bezkresną, bezludną pustynię.

— Panom się może zdaje, że zabawa nie idzie? — Zatrzymała się pomiędzy palącymi w korytarzu, gotowa na wszystko. Tak, tu ich było pełno, ale tam, na sali, gdzie wołał święty obowiązek, tam świecili nieobecnością!

— Świetnie idzie, — warknął ktoś z pod ściany.

Ogniki papierosów lśniły w mroku, jak błyszczące robaczki. Nad przedsionkiem, wysoko, po całej klatce

schodowej latał szmer, podobny do gonitwy szczurów. Ktoś stamtąd plunął, zwysoka. Padło tuż koło Anieli.

— Zabawa idzie świetnie!... — krzyknęła, zacisnąwszy pięście. — Jeżeli się ktoś nudził!... — głos się jej załamał od krzyku.

Panowie, spłoszeni, cofnęli się ku ścianie. Ciężka plwocina upadła znowu między nich a mówiącą.

— Co tam jest, do pioruna?! — krzyknął do góry Kujon.

— Niedorostki! — Ksiądz posunął się naprzód: po czarnej sutannie przeleciał skosem metaliczny połysk. — Łobuzy, na których intencję bawimy się tu dzisiaj tak wspaniale.

Pani Aniela chciała, ażeby w tem, co powie, sły-

chać było szum skrzydeł. Małychich, szybkich skrzydeł:

— Właśnie ogłosiłam wentę. Teraz biegnę do siebie na górę po mniejsze fanty...

Chcieli jej towarzyszyć: Kujon, doktor — Leń także.

— Sama pójde! — krzyknęła — nikogo nie potrzebuję!

Widzieli, jak ciężko stąpa na pierwsze piętro. Kroki oddalały się coraz bardziej, spłoszony tumult rozbiegał się po bokach. Zadarli głowy do góry. Z siniego mroku klatki schodowej wychylały się przez poręcz małe, ściągłe twarze, świecące bystreimi oczyma. Plwociny spadały zgóry coraz częściej i celniej.

— A jakbym tam po pysku komu dał?! — huknął Kujon.

Ksiądz uznał, że nie należy czekać na dalsze igraszki, z drugiej strony jednak nie mógł się powstrzymać od refleksyj.

— Takie były, są i będą wszystkie nasze uroczystości. Nazewnał blask, parada, a od wewnątrz stado dzikich niedorostków. Ani niewiadomo skąd się to bierze, ani co robi?!...

Powrócili na bal wziąć udział w rozprzedaży biletów na wentę. Obnosiły je na platerowanych tacach młode „wróżki“ w bieli, z rozpuszczonymi włosami.

Nikt nie kupował. Oficerowie pili zwartem kołem przy bufecie, wyłącznie między sobą. Aptekarz „witrzył“ swą łysą kapsułę wzdłuż salonów, zamyślony. Ożarowska prosiła wszystkich znajomych, by mu się dobrze przypatrywali, — napewno właśnie podczas takich niepozornych chwil obmyśla swoje bezeceństwa.

Orkiestra, wsparta na złotych instrumentach, które, niby rozdęte gruczoły, błyszczały wśród krzeseł, jadła mięso, popijając piwem. Mali skauci w cieniu narodowego gaju grali w scyzoryki, a dziewczynki po dwie, po trzy, splecione ramionami, przechadzały się środkiem, jak podczas szkolnej przerwy.

— Niema co mówić, — rzekł prowokacyjnie głośno rejent do doktora, — nasz bal leży na cztery kopyta.

Wtem jęk ogromny wstrząsnął całym gmachem. Jeszcze nie przestał huczeć, gdy ze środkowych schodów, przez wywalone drzwi, lunęła prosto na salę zbita kupa podkasanych pomywaczek, bab, dzieci, nieznanych drabów. Wrzeszczeli jednym głosem:

— Pożar, pożar, pożar!!!

Tłum prysnął na środek, roje ludzi wyłoniły się z „gaju“, huk wydarł się z estrady, wszystkie okna zabrzmiały bitem szkłem, — zatkał je kłęb rąk, nóg,

płaszczów, dzieci, trąb, szmat, butów, ramion bezsilnie sterujących, i niebyswały wrzask.

Wszystkie lampy dmuchnęły w górę ciemnymi ogonami, śnieg się przemieszał z kopciem, gaj oderwany od ścian wkroczył między tłum, po kilka sosen razem płynęło w zwartej ciżbie, sosnowym gwiazdom pospadały ramiona. W rozwalonych drzwiach wszystkich korytarzy, przy wejściu na śnieżną noc otwartem, puchło mnóstwo ludzkie, to przypadając nisko, to wypryskując w górę.

— Wody! wody! wody! — huczały korytarze, drzwi, okna przez dym, wiatr i iskry w stronę sinych śniegów, na czarne wyświechtane drogi, ku dalekim okienkom zmarznętego miasteczka.

Wzdęty tłum mrowił się pod ścianami budynku, to się znów rozpryskał, niby kałuża. Zgóry, z okien parteru i pierwszego piętra ciskali żołnierze wdół, pod straszliwie wrzaskliwą komendą Kujona cały szkolny dobytek i rautowe mienie. I jakieś śmieszne graty, jakieś prywatne zajdy i czarną niezliczoną kluskę zwiniętych futer. Goście się na to rzucili, targając, wyjąc, płacząc. Leń płazem precz ich z pod ścian odganiał, żołnierzami odpychał.

Drzwi wejściowe runęły wtył, przez śnieg, nawznak, gorący blask przedzielił noc na pół, od rozchobotanych w dymie pięter szkoły, za sadzawkę, aż na dalekie domki tchnęło piętnami łuny.

W wielkiej klatce schodowej, niby puszyste włosy, kłębiły się rude płomienie.

— Wody mi dawać! — ryczał ochrypły Kujon, — wody tu, do cholery!

Wcale go nie słuchano. Panna Stanisława w rozprutym kontusiku padała mu na piersi. Rejent skomlił o synów i prosił o coś spienionemi wargami. Ożarowska z księżycem na plecy przekręconym podtykała do oczu dwie garście koszul i majtek z okrzykiem, że to wszystko — wszystko, co jej zostało po całym życiu pracy.

Aż nareszcie ziemianie, mieszczenie, kobiety, wyjąca kupą rzucili się na niego, żeby ich puścił do płaszczów i do futer. Kujon walił pięściami po brzuchach i naoslep, tłumaczył, że łachy są przecie pod strażą, — teraz, cholery, wody!

Doktor padł mu w ramiona. Zaślinił całe ucho: „Szukaj jej pan, nie śmiem, — nie mam odwagi, — nie śmiem“! Walał się po ziemi, wstawał, znów upadał. Kujon wrzeszczał: kogo ma szukać?! Odganiał — i, — wodę pompować, byki!

— Studnia zamarznięta! — meldowali żołnierze.

Tłukli lód kolbami, dziabali bagnetami, bielmo na cembrzynie łuszczyło się, coraz nowe okazując pokłady.

— Zamarznięta na fest — doskakiwali do żołnierzy żydkowie.

Z tętniącego dzwonami miasteczka napływało mrowie śpiochów, bab, szmat, dzieci, żydków i jazgotu.

Nad szkarpami, na ścieżce, wszędzie po drogach strzygły stargane portczęta, drobiąc spieszenie ku szkole.

Noc się trzęsła od dymu i dzwonienia, czarny aksamit chmur, podbity czerwonością, rozlewał się daleko za kościołem i dźwięki w sobie przerabiał jęklive, gęste, spłoszone.

— Przez litość!

Kujon wsparł się na szabli, cynobrowa, docna schryplą gębę wychylił z nad gardy.

— Jaka ma być litość? — dyszał — komu, gdzie?!

Delegacja mieszczan i obywateli odciągnęła go na bok. Patrycjuszowska dłoń spoczęła ojcowskim ładem na naramienniku Kujona. Oddechy wkoło zagrały ufne, pewne, przytulne.

— Prędeż, panowie, prędeż! — skuczał Kujon, — ja tu kordon trzymam, zaraz dach rąbać będziemy.

Powiedzieli mu „to“ — jako Polakowi... W pełnem zaufaniu... Już i tak jednej z pań zginęła brylantowa broszka!... Czy zamierza teraz jako doświadczony oficer wystawiać piękne charaktery swych młodych wiarusów na próbę?! Zważywszy, że między innemi znajdując się wśród strzeżonych futer bardzo cenne i drogie? Czy nie lepiej, by odrazu dopuścić właścicieli — do „danych przedmiotów“?!

Dach szkoły westchnął straszliwie i bryznął w ciemne niebo czerwonymi różgami płomienia.

Mrowie szarych twarzy zbiegło się jedno do drugich, niby podłużne jajka. Groźny szmer rósł wśród tłumu, oskarżał, pełgał nisko po grudzie i szumił coraz twardziej.

Wtedy z koliska matadorów wyskoczył ksiądz. Staął na skraju łuny i, palec w stronę ognia wysadziwszy — oto palec boży! I oto macie dopust! — Wielkiem, hucznem słowem dudnił przez wiatr, przez gęste roje iskier, prosto ku rejentowi:

— Ci, co zaczęli, sami odpowiadają. Głównymi

schodami, główna sprawczyni, na parę minut przedtem, osobiście szła! Są tu wśród nas świadkowie!

— Łzesz! — ryczał siny rejent.

Wrzeszczeli obaj naraz, przestępując na strony, — za jednym i za drugim niby czarny ogon, długi rząd zwolenników. Kraśne gęby ku sobie wystawiali, to palec księdza tkał się wgórę przez głowy, to kuse, sine grabki rejenta.

Jużby się był tłum podsunął pod nich czarną, gęstą nawalą, gdy między skłóconych wyskoczył, niby chrabąszcz zielony, krępy, obrotny niemiecki urządniczek. Wraz z nim doktor z listami, papierami. Niemiec „protokoll“ piszczał, doktor wył „anonim“, ksiądz krzyczał „palec boży“, rejent miotał proboszczowi zmięte świstki pod nogi.

Nagle wrzask klótni zmiłkł, bójka się rozprzegła, z szerokiej masy tłumy wydarł się okrzyk ulgi. Wszystkie głowy zadarły się ku jednemu oknu. Nie spuszczając go z oka, ciżba kruszyć się jęła, pośpiesznie wtył odpływać, przez zmarzniętą sadzawkę ku szkarpom, opłotkom, ku czarnej drodze, wiodącej już do miasta.

W otwartem oknie drugiego piętra ukazała się pani Aniela. Mówiła coś. Nic nie było słyhać, tuż nad nią trząskał z dachu ogień i spływał drżącemi płamami na pobliskie gzymsy.

Ktoś zachichotał bryzgliwym, mokrym śmiechem. W prostokącie czarnego okna biały przodzik zdawał się świecić, niby wypukły cyferblat zegaru. Na podobieństwo pomylnych godzin spadały z niego głośno na balkon małe, ciężkie przedmioty.

— Patrzcie, wyrzuca fanty — zabulkotała panna Ożarowska.

Widać było, że pani Aniela wyciąga przed siebie ręce. Widać było wyraźnie, jak z dymu wyłoniły się białe dłonie.

Ksiądz, rejent, Niemiec z „protokoll“ zgrzytającym w zębach, podeszli nieco bliżej.

— Czy widzisz tam, na drugim piętrze?!... — wrzasnął Kujon do Lenia, który, stojąc przy głównem wejściu, kierował żołnierzami.

— Naturalnie, — odpowiedział Leń. Spokojnie, z papierosem w zębach podszedł pod balkon. — Już kazałem, zaraz nam tu dadzą drabinę.

Różowe dłonie znów się wychyliły z okna, przez szary dym.

— Nie mam odwagi, — płakał doktor — ja już nie mam odwagi, ani sił!...

— Nie bój się! — Kujon w chwilach poważnych był z wszystkimi na „ty“ — nie bój się nic, stary.

Wyleźli kolejno na balkon. Wciągnęli drabinę. Leń trzymał, Kujon szedł — na drugie piętro. W połowie drogi, osnuty dymem, przystanął i wrzasnął do żołnierzy:

— Nie gapić się, tumany! Rąbać dalej, jeden z drugim, gdzieś tam wkońcu dorąbiesz się w tej studni i do wody nareszcie!

Trzymał panią Anielę za ręce. We dwoje coś rozdzieli, oplątani sznurem iskiei. Gniotli się tędy, — siedy, aż Kujon, jakby rozkwitł, — wygiąwszy szeroko ramiona.

Z okna gramoliła się już pani Aniela. Objawiły się

czarne pończochy, — żałosne, zbyteczne koronki. Długą chwilę u szczytu drabiny, nito rozdęta bania trwał atlasowy przodzik. Nakoniec, podtrzymywany ramionami Kujona, jął się zsuwać, pomalutku, ostrożnie, w coraz głośniejszym krzyku zdrewniałego tłumu, — po jednym kroczeniu, — po jednym stopniu, coraz niżej i bliżej.

Gdy stanęli na ziemi, usiadła pod drabiną przy balkonie.

— Nosze, panie sierżancie, — rozkazał uprzejmie Leń.

Podawała ręce obu swoim wybawcom, żeby ją jeszcze trzymali za nie — mocno.

Biała, jak śnieg.

— Ja, proszę panów, — płakała krótką, ściętą łzą, — nie przypuszczałam! Właśnie byłam z fantami na dole... Tymczasem — ten huk i ogień! Co się stało?! Uciekałam na mój strych, — już tylko umrzeć. U siebie. Jak mysz, — na strychu.

Kujon, Leń, sierżant Trepka chcieli ją podnieść, zabrać stąd co prędzej.

Wpatrzona w kordon piechurów, którzy, niby ciemne, nieruchome słupy oddzielali placik od gęstej ciżby, wyciągnęła przed siebie ramiona: — To wszystko na mnie spadnie! Na mnie!

Panie przycisnęły się z pociechą i ratunkiem. Żeby opowiadała, jak było, „samej jednej pośród tylu zapalonych sal“.

— Może kto ma — dopytywał Kujon, — jaki flakon z trzeźwiącem wachaniem?

Rejent obu rękami ścisnął ją za głowę, przyczem

twarz w bok odchylił, żeby nie płakać na włosy pani Anieli. Skuczał jak stary pies i zdmuchiwał łzy z nosa na ziemię.

Pani rejentowa z czerwoną kołdrą na swej jedwabnej „elektryce“, Stanisława w oberwanych puchach „łamały ręce“.

Ożarowska naręcza majtek ku słabnącej wytknąwszy, — oto jest wszystko, — po całym życiu pracy!

— To wszystko na mnie! Na mnie! — Pani Aniela rwała włosy z głowy.

Leń prosił ją najuprzejmiej, by się raczyła uspokoić, a przede wszystkim opuścić co prędzej zajmowane miejsce, jako bardzo niebezpieczne.

Gęste zwoje dymu szły z wszystkich okien, w głębiach szkoły otwierały się płomienne czeluście. Gmach pęcznić się zdawał wzbierającym ogniem.

Leń jeszcze raz oznajmił, że noszy właściwych nie ma, ale żołnierze przynieśli jakieś łóżko polowe, znalezione wśród ocalonych gratów z mieszkania Stanisławy. — Należy korzystać jak najprędzej.

Na materacu łóżka widniało smołą starannie wykalfigrafowane nazwisko Kujona.

Doktor dzwonił zębami, bokobrody przesłaniały mu w wietrze całą twarz. Wahał się ze złożeniem chorej na tem posłaniu. Trzeba oszczędzać wszelkich możliwych wstrząsów. — Polowe łóżko nie daje żadnej gwarancji.

Szeptali tajemniczo. — Doktor obawiał się przedwczesnego porodu.

Leń ufał łóżku najzupełniej, — z pewnością nie jeden raz doświadczyło „podwójnego ciężaru“.

Więc ją posadzili, złożyli, nakryli, już mieli ruszać, gdy Niemiec drogę im zastąpił z notesem, z pyskiem wielkim o nazwisko, — protokoll dla Kreisamtu, — przyciągnął księdza, konfrontował z rejentem.

Powstał wrzask, kłótnia się rozhuśtała na cały plac, aż za mętne granice sadzawki. Już się za łby wodzili nad noszami. Rejent rypał księdzu i „wszystkim Niemcom świata“ nagą prawdę w oczy, ksiądz krzyczał nieodparcie o „palcu przeznaczenia“, a Niemiec, jak pies w wodę, ramionami naprzód wskakiwał między słowa.

Póki nagle nie szarpnęło noszami. Pani Aniela usiadła i, bijąc się w piersi: — Wyrzucie mnie na śnieg! Żadne anonimy, — płakała, — ani palce przeznaczenia, tylko zwykłe nieszczęście!!

— Można w mordę dostać do protokołu, — przeciął wszystko Kujon.

Wszyscy razem umilkli. Doktor oświadczył oficjalnie: — Ta kobieta rodzi! Odnieść! Gdzie najbliżej, choćby do apteki.

Skoczyli do Kujona, żeby dał zaraz żołnierzy.

— Futro ci ukradnie, a ludzi może nosić?! — Wargi mu się osunęły z zębów, przes nos i usta świsnął zjadliwy syk. — Ludzi mam do roboty! Bierz, stary capie, i sam taskaj!

Machnął szablą, odwrócił się i już za siebie nie spojrzawszy, poszedł prosto do ognia.

Nieśli ją obok parterowych okien dawnego balu. Szumiący wewnątrz grzebień płomieni miotał w górę iskry i trzaskał. Musieli się przeciskać przez cały „raut“, zrzucony bezładnie i jakby zamaryły na śniegu. Na

szkolnych ławkach, niby sztywni widzowie, trwały pałta, futra i salopy. W pośrodku wznosił się śmietniczek wstęg, chorągiewek, fantów, torebek, woreczków z niespodziankami. Tam i sam podobizny wodzów, ranione rozbitem szkłem. Poodał równe inspekta cudem uratowanych na tacach przekąsek.

— Lotto, — płakała pani Aniela, zakrywając oczy, — moje lotto.

Za szkołą przystanęli przed tłumem, w nadziei, że ich ktoś złuże.

Nikt się nie kwapił pomagać ludziom, którzy szkołę spalili i jeszcze gości żywcem w ogniu piekli.

Już mieli dalej odchodzić, gdy pani Aniela schwyła księdza za rękaw. — A moja krowa? Spalona?!

Doktor uspokoił, że nie, tylko ryczała bardzo podczas pożaru.

— Wszyscyśmy ryczeli. — Aptekarz uważał, że niczego nie należy się wstydzć. — Pan-eś ryczał, doktorze, o wiele głośniej od tej biednej krowy.

Aniela wyciągnęła ręce z pod derek i, zagryzłszy wargi w nagłym porywie bólu: — Obieśmy bez dachu nad głową! Moja biedna Wenta! — Chciała, by krowę choć na minutkę tutaj przyprowadzono, ale doktor poganiał i urgował.

Posuwali się z noszami we czwórkę, nie patrząc wzajem na siebie, ani na chorą. Przy głowach ksiądz w duchownym meloniku, rejent w swym historycznym „klaku“, który jeszcze szacha perskiego w Warszawie widział, w nogach doktor bez czapki, wiejący przez śnieg długimi faworytami, i aptekarz w „rodzinnych“ barankach.

Pomocnikowi powierzyli jedynie torowanie drogi, — nie wypadało, by nieżonaty chłystek figurował przy noszach.

— Ładne „nosze“ — buczał rozdętą kapsułą aptekarz, — niema co mówić, kawalerskie nosze...

Dźwigali je pod górę w grobowym milczeniu, mimo zapóźnionych żydków, wciąż jeszcze biegnących do pożaru.

Na zakręcie spotkała „kondukt“ straż ogniowa, pod wodzą konnego pana Gomółki. Obijał boki ko- były leniwemi łydami i w wielkim hełmie na głowie, palił papierosa. Ztyłu, na beczkach, starych pustych kadziach, wlekli się strażacy, zmarznięci i strapieni.

Niosło od nich dziegiem i machorą.

— Wołają tu człowieka do pożaru, a sami trupa wleką — zagadał jakiś „starszy“ z wielkim toporem w rękę.

— A tybyś wołał, trutniu jeden, — nie wytrzymał ksiądz — ani trupa nie nosić, ani pożaru nie gasić?!

Jedna i druga strona przystanęła rozsądnie. Niestety, jęki pani Anieli nie dały swobodnie rozmawiać.

— Wcale na trupa nie wygląda, — postanowił ostatecznie „starszy“ — na urodziny patrzy...

Powyższa uwaga obraziła niosących tak dalece, że wcale nie odpowiedzieli. Ksiądz ocierał spocone czoło, aptekarz chuchał w ręce, tylko doktor niecierpliwili się i radził raz za razem:

— Niech pani nogi zaciska, niech pani nogi zaciska!...

— Każda sama wie, co ma robić, kiedy rodzi, — stwierdził „starszy“. Zależało mu na rozmowie z nio- sącymi. Nie dla ciekawości, ale trzeba się było prze-

wiedzieć względem ognia, od kiedy się pali, z której strony zaczął, czy też był podłożony, czy też naftą kto oblał?!...

Kilku „starszych“ z olbrzymimi toporami zlązło rozważnie z beczek i otoczyli nosze — potem na miejscu łatwiej się będzie wyznać.

Niosący nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

Niewiadomo. W przyszłości wykaże wszystko śledz- two, ale narazie nikt nic nie wie. Pewnem jest, że albo się przyczyniła do tego czyjaś ręka, albo może sam palec boży.

Powiedziano sobie wzajemnie „dobranoc“, kadzie, beczki, łańcuchy ruszyły naprzód, a matadory z no- szami pod górkę, do apteki.

Nim się tu dostukali, dobudzili! Wewnątrz uczonego lokalu to się coś ruszało, to znów cisza zapadała nie- zmacona.

Pani Aniela nie przestawała jęczeć cienkim, malut- kim głosem. Trzymała przytem aptekarza silnie za rękę.

— Bożka panu zgubiłam. Ognie sztuczne pewno się już zmarnowały. A teraz jeszcze tyle ambarasu. Nie chcę — cisnęło nią w stronę księdza i rejenta, — nie chcę tu mieć dziecka, w jelenim pokoju! Nie chcę!

Aptekarz, nie puszczając jej ręki, uspakajał:

— Nie takie ambarasy te ściany oglądały. A co do bożka, to lepszy będzie żywy podmiot z ciała i krwi od tego świętego w agacie.

Nareszcie wyłonił się stróż, z za węgła wyszedł jeszcze jakiś drugi, naradzili się i kazali drzwi otwo- rzyć naścieżaj — bo tak nary nie wejda.

Drzwi stały dobrą chwilę szeroko rozwarte — końmi by — wjechał.

Wadząc o klamki, butle i wszelakie aptekarskie przyrządy, wnieśli chorą do jeleniego pokoju.

Zaraz doktor zaczął tu pluskać i szczerkać swoją medycyną.

Dostojnicy ustawili uszu, czy się aby coś osobliwszego nie przytrafia, słysząc jednak miarowy jęk chorej, co żywo wyszli z apteki.

— Mogą sobie chyba dać rady we dwóch. Doktor przy chorej, a ten młodzik przy lekach — zauważył niesporo ksiądz.

Czekali we czterech, przed wystawową szybą, spoceni i zmordowani.

Od wnętrza dochodził ten sam cichy, zgłuszony jęk, po czarnej drodze szare pasma szronu białeły leciutko.

W dole, na placu rósł ogromny kwiat płomienia. Strażacy już podjeżdżali. Błyszczące hełmy wnikały powoli w czarny tłum.

— A tak, na dobry ład, tobym był ciekaw — chrząknął towarzysko aptekarz, co z tego oto tutaj wypadku fizjologicznego wyniknie? Syn, czy córka?

Ani ksiądz, ani rejent nie podjęli tej kwestji, bokiem do siebie odwróceni.

— Jakby nie było — rzecz dzieje się „pod jeleniem“. — Aptekarz wyszedł na środek drogi, splunął mu się bowiem zachciało, a pragnął uczynić to bez niczyjej obrazy. — A to wytrwałe bydlę! — krzyknął nagle wesoło.

Od strony szkoły dał pod górę małemi, szybkimi

kroczkami Niemiec z Kreisamtu. Machał szpadką i już zdaleka wykrzykiwał:

— Protokoll!... protokoll!...

— Mamy czas — raczył się nareszcie odezwać rejent. — Im się zdaje, tym Niemcom, że to oni pierwsi na świecie prawo wynaleźli!...

— A ja mówię... — ksiądz nie dokończył. Ani mu się tak bardzo śpieszyło zaraz rozmowę nawiązywać, ani też teraz mógł, bo się już Niemiec prężył przed nimi, szpadką w grudę stukał i ciągnął — o protokoll.

Na samym dole pod szkołą coś się znów przytrafiło. Między ławkami a stosem gratów i rupieci, jakoby nagle wynikło całe mrowisko iskiei, światła, ognistych szpilek, kólek, drobnych centków, serduszek.

— Teraz im ognie sztuczne wybuchają — zaśmiał się ksiądz żałośnie.

Jedne prędko sypały przed siebie, z drugich bił deszczyk ognistych łatek pod górę, inne kurzyły przed siebie prochem złotego pyłu.

Stąd, zwysoka podobne to było do nagle otwartego źródła rwącej, centkowanej jasności.

— Jaka szkoda — nie wytrzymał rejent. Z mieniącego się bowiem obwodu wyskakiwać jęły niebieskie, czerwone, zielone kule, rzekłbyś toczone, rozradowane głowy samego blasku.

— Już nasz Gomółka nie uratuje budynku — stwierdził aptekarz.

Gęsta grzywa pożaru rozczesala się wzdłuż całego dachu, z czarnych okien tężył się ogień, niby żywe ciało krwawiące. Wszystkie ściany szkoły obrosły kę-

pami płomieni, z których pędził sznur iskier w głąb nocy pod wypukłe chmury, jakoby dęte z popielatego szkła.

W tem ochryply dzwonek drzwi aptecznych jęknął żałości, zdyszany pomocnik w długim białym kitlu wyskoczył na środek drogi.

— Narazie jestem tam niepotrzebny. Ale szanowni panowie, przyznać trzeba, że to nie żarty. Pierwszy raz widzę... Ho, ho, ho!... — dyszał wystraszony. — Musi być, panowie, ból przy takiej historii!... Wszystko trzeszczy w kobiecie! Na tę intencję właśnie! — wyciągnął z kieszeni butelkę i kieliszki.

Spojrzeni na niego wzgardliwie.

— Dlatego się pan pierwszy kłaniasz kobiecie na ulicy, nie ona panu, młodzieńcze, dlatego ją w rękę całujesz, że oto teraz trzeszczy — warknął rejent i jeszcze szczerzej otulił szyję kołnierzem.

Z jeleniego pokoju snuł się jęk lękliwy, pełen skargi, niby mała, niezdarnie nucona piosenka.

Matadory utkwily oczy w ziemię. Płochy kosmyk ciemności pełgał przez drogę, z brzegu na brzeg.

— Więc nic z tego? — Pomocnik wahał się, czy ma rozdać kieliszki i rozlewać wódeczkę, czy schować wszystko.

Ksiądz tupnął dyskretnie śniegowcami, zatarł ręce i ciepłym swoim głosem przemówił:

— Skoroś pan już na tę intencję przyniósł...

Z jeleniego pokoju dobiegła znów, aż tu, fala roztrzęsionego głosu.

Przysunęli się razem, blisko, niby w obawie, ramię do ramienia. Pomocnik trzasnął z palców na cześć

ślicznej dziewczuszki, — która zapewne niebawem wyjry na światło — ale ewentualnie jeszcze nocne.

Rejent pozwalał sobie „stawić“ znak zapytania nad rodzajem światła.

— „Historja“ może trwać, panie kochany, godzinę, a może całą dobę. Albo trzy! Niewiadomo. Z tem się mają rzeczy, jak z wielką bitwą.

— Ale jeżeli nasze matki tak samo się musiały mordować — poskarżył się pomocnik.

— Nasze matki?

Głuchy jęk dążył nieustannie przez drzwi na drogę. Wtuliwszy głowy w kołnierze, stali cicho, zasłuchani. Ksiądz machnął ręką niecierpliwie.

— Nie chodzi o światło dzienne, czy nocne, ale o to, kto je będzie oglądać, — syn, czy córka? Otóż w danym wypadku praktyka nigdy nie zawodzi. Dzieci, rodzące się podczas pożaru, są zawsze płci męskiej. — Będzie syn!

Niemiec zatrzepotał powiekami, z piersi mu się wysnęło twarde rzenie. Teraz dopiero zrozumiał, — syn, czy córka, — zawsze największe pytanie!

Zbili się w ścisłą gromadkę.

— Syn, czy córka, wszystko jedno — aptekarz podniósł kieliszek do wysokości czoła — niechże się ta jakoś darzy temu przyszlęmu dziecku!

Spojrzeni razem na gwiaździste niebo, kieliszki „w punkcie“ trafnie się zderzyły, że trysnął ścisły głos, zwarty, jak pocałunek.

ODWILŻ

Mieliśmy sobie w kasynie postawić jeszcze po wódeczce przed obiadem, gdy Leń wydobył depeszę z portfelu:

— Przeczytajcie.

„Przyjeżdżam piątek Zofja Kruszevska“.

— Musimy ją jakoś przyjąć, — dodał, — mam to referować kapitanowi. Bądź co bądź, narieczona po, — no, — padł na Wołyniu.. Po Staszku! Referować... Narieczona, — przyjeżdża, — trzeba przyjąć. — Proste?

— Ja ci powiem, — zaperzył się Kujon, — wcale nie jest takie proste. Bo on ci ją kochał ten nieboszczyk! Służyliśmy razem, — widziałem! Zawsze nosił na sercu jej listy. Było tego na spory, gruby tom. Zawsze mówił, że go uchronią od śmierci. Niby, że tyle miłości kula nie przebije!

— Tymczasem, — skrzywił się Leń, — kula przebiła i listy i serce pod niemi schowane, i —

— I co? Nic więcej nie miała do przebiccia, — uznał Kujon.

— Więcej o tyle, — rzekłem, — że tu były specjalne okoliczności. Nie widzieli się od początku wojny. Najprzód panna była odcięta, potem znów my robiliśmy ofensywę.

— W każdym razie, teraz wszystko skończone. — Kujon ścisnął cytrynę. Kilka złotych kropel spłynęło po sardynce, umieszczonej na kawałku razowca. — Te-

raz za późno, — kończył, chrupiąc głośno, jakby ma-
luską trumienkę srebrną miażdżył w hałaśliwych szczę-
kach, nie miękką, tłustą rybkę. — Za późno. No nie?
No, bo co?

Popatrzyliśmy na siebie, z bezmyślnych tępych
twarzy czerpiąc nieoczekiwaną otuchę.

— Naturalnie, że za późno, — Leń zarzucił nam ręce
na ramiona.

Staliśmy chwilę przed bufetem.

— Czy nie mówię? Naprzód się jest żywym, po-
tem, jako fotografia na ścianie, a potem już tylko
„głowa“ wystrzyżona leży gdzie bądź w szufladzie,
przy złamanym grzebyku. Śmieszne! — Wzruszywszy
ramionami, pociągnął nas Leń do jadalni.

Stał tu ogromny stół w podkowie, nakryty dla
wszystkich oficerów pułku. Głodniejsi siedzieli już na
swoich miejscach i skubali bury chleb wojskowy.
Grube kromki odznaczały się na obrusie, niby małe
grzędy ziemi. Inni, rozparci na parapetach, patrzyli
przez okno na drogę i przeciwległe boki budynków
koszarowych.

Dowódca pułku zagadał się z kimś we framudze
i trzeba było czekać z obiadem.

Wiatr mierzwił śniegi na dachach, dyszał szronem
przez gzymsy, szlifując blizny wydeptanych między
koszarami ścieżek coraz ostrzejszym połykiem. Za-
trzymaliśmy się przy oknie, gdy gmachy, szosa, ścieżki
zniknęły w białym porywie zawiei.

— Trzeba będzie gościa holować „wzdłuż“ pułku,
wietrzyć historję bohaterskich czynów, opowiedzieć
„specjalnie“, jak się „to“ odbyło. Jak się śmiało od-

być, że ktoś, kogo kochamy, pozwolił sobie zginąć. —
Leń otrząsnął się wzgardliwie. — Panna z pewnością
przyjeżdża „za pamiątkami“ po poległym. Może wkońcu
zostało gdzie co?

Patrzyliśmy na szybkie tumany wichury, — jakby
mogła wyłonić z mrozu i szronu jakikolwiek strzęp
po człowieku, który gdzie indziej zginął, gdzie indziej
jest szukany, komu innemu życie oddał, a w kim in-
nym nieci pośpiech rychłej, niewczesnej pogoni.

— W naszym wojsku, — zaśmiał się Kujon, —
wszystko jest pamiątką.

— Może, — nudził się Leń. — Ale, żeby to wy-
tłumaczyć, trzeba być dobrze wychowanym człowie-
kiem. Któż to potrafi dzisiaj?

— Nic łatwiejszego, — rozległy się za nami słowa
kapitana. Nasz dowódca bataljonu uśmiechał się ży-
czliwie. — Wystarczy w tych wypadkach trzymać się
tego zasadniczo, coby armja wydała, jako regulamin
żałoby, gdyby wogóle wydawało się takie regula-
miny. W pierwszym rzędzie oficer ginie dla Ojczyzny.
No, — my nie potrzebujemy mówić za Ojczyznę.
W drugim rzędzie oficer ginie dla sławy pułku. Więc
dla nas honor pułku rozwiązuje wszystko. Już. —
Koniec. — Jeżeli panowie wyraźnie to zaznaczycie, to
wszystko odbędzie się całkiem gładko.

Uradziliśmy tedy, że przyjmiemy pannę możliwie
elegancko, ale poważnie, z odcieniem państwowo-
twórczej żałoby. Podkreśli się „żywą pamięć“, która
nigdy nie wygaśnie, bo pułk, jako wspólny dom...
Jak polecił kapitan w myśl regulaminu żałoby, gdyby
się takie regulaminy układało.

Szczegóły techniczne nie nastroczały wiele trudności. Postanowiliśmy, że stołować się będzie panna Kruszevska w naszym kasynie.

— Oczywiście, — Kujon żądał tego stanowczo, — nie można na takie ciężkie przejścia dawać komuś bataljonowego wikt. Szalenie dużo znaczy odpowiednia djeta. Więc bez naszych kasz, kapust, słonin, „jedzonko“ lekkie, — dużo nabiału i siekanej cielęciny.

Postanowiliśmy również, że panna nie będzie mieszkać w koszarach, a w pałacyku o pół kilometra od koszar. Pałacyk ów coprawda wystawili kiedyś rosyjscy oficerowie dla pańien swego pułku, ale przecie do murów z „hańby“, czy rozpusty nic nie przyszło, natomiast zostało wiele palm, fikusów i różnej egzotycznej zieleni, która w danym razie posłuży za ozdobę.

— Trzeba bardzo uważać na takie drobiazgi, — zalecał Kujon, — nieraz jakiś głupi szczegół, czy kwiatek może zdjąć człowiekowi kamień z serca.

Leń zwrócił jeszcze raz uwagę na sentymentalną stronę przyjęcia. Może zdołamy odnaleźć pamiątki, jakieś „ostatnie słowo“, coś w tym rodzaju?

Nikt nic nie miał. Było „to“ podczas odwrotu, oprócz fotografii w kancelarii pułkowej u naszego chorążego kancelaryjnego nic nie znaleźliśmy.

W oznaczony dzień, pożyczonemi z dworu niebieskimi sankami w różowe kwiatki, najlepszą parą bataljonowych siwków pojechaliśmy na dworzec.

— Po kawalersku, bracie, — wołał Kujon na woźnicę, gdyśmy się znaleźli za koszarami, na białej, skrzęcej od słońca przestrzeni.

Konie szarpnęły mocno, z drogi wychynał chłód jeszcze ściślejczy, od którego rozparła się nam w piersiach radość przestronna.

— To jest jednak okropne, — zauważyłem, — ostatecznie czyjaś bohaterska śmierć może się stać powodem wybornej przejażdżki.

— Idjota, — wołali razem Kujon i Leń przez iskry śniegu z pod kopyt wyrzucane, okładając mnie kułakami.

Przyjechaliśmy za wcześnie, pociąg się spóźniał, w nocy zaspa zawałiła gdzieś tor.

Poszliśmy do urzędu ruchu, do poczekalni dla wojskowych, zaczęliśmy otwierać jakieś zamknięte drzwi. Nagle okazało się, że nie mamy papierosów. Poszliśmy do bufetu.

Pełno tu było mieszczan, bab i wszelakiego ludu z ogromnemi tobołami.

Zaraz się nam przydarzyła okazja do samarytańskiego uczynku, starowina bowiem malutki, objuczony wielkimi trokami, uwiązał w szklanych drzwiach i mało się nie udusił, nie mogąc ruszyć ani wprzód, ani wtył. Wydobyliśmy go, biedne zajdy pod ścianą ułożyli, na co odpowiedział przez sople długich wąsów: — Ludzie dźwigają teraz ciężary większe, niż sami są.

Wyszliśmy na peron, by nie doświadczać wdzięczności staruszka i zgromadzonych wokół niego bab.

Przed małą stacyjką, na srebrnych, szeroko rozciągniętych polach, niczem białe skrzydła goniły strzępy szronu. Po dwa, trzy, po dwadzieścia cały rząd wzbijał się do góry, leciał i spadał zawojem na drzewa, rosnące daleko wzdłuż dróg. Wówczas znikał przez

chwilę czarny deseń konarów, grube pnie rozwiewały się doszczętnie, na ich miejscu miotła się tęcza, — póki znów nie wychynał wysoki szczyt gałęzi, — rozognionych od słońca, a z przed oczu naszych nowe nie wionęły skrzydła mrozu i pędu, lecące w świat zamarznięty.

Kujon przeciągnął się i z głupia-frant: — Służyłem z nim w jednej kompanji, z tym jej Staszkiem. A teraz nie mogę sobie nawet przypomnieć, jak wyglądał! Człowiek mija, powiadam wam, jak woda.

— Niekoniecznie. Coś tam z tego wszystkiego zawsze zostaje. — Leń uśmiechał się łagodnie. — Tyś się ludzi umiera, armja ginie, aby mogła powstać jedna ozdoba. Tę ozdobę oddają sobie ludzie z rąk do rąk. Naprzykład pod Tebami zginęło zapewne dużo Macedończyków, ale Epaminondas mógł powiedzieć: Satis vixi invictus enim morior. Albo nasz Jagiełło: Mam mieczów dosyć... Albo: Ani z soli, ani z roli... Taki Czarnecki, co z siwym koniem wisi na oleodruku, w poczekalni u dentysty. Nasz kapitan ma rację, — honor pułku rozstrzyga wszystko.

Kujon ziewnął. Echo poleciało po polach. Tak wyraźnie słyhać było w mroźnem powietrzu.

Blisko i daleko, — na granicy roziskrzonych pól i tuż obok, w śladach stopy na śniegu, — w dalekim rozprysku czarnych gałęzi i tuż obok, na grocie sztachetów, — pod ciemnym lasem i wszędzie na szynach błyszczących, każdy zarys obrębiał się jasnością, a każdy ruch zmarznięty przemawiał sypkim głosem.

Nagle otwarto wszystkie poczekalnie. Ubogi tłum, łapczywie wertowany przez szyldwachów, wyroił się

na peron. Daleko, pod lasem, niby czarna szpulka, ukazała się lokomotywa, z białą smugą ostrego gwizdu u góry. Usunęliśmy się na bok, dając miejsce krzykom, tobołom, koszom, zajdom, węzłkom. Na stację wpadł pociąg, okryty śniegiem, ludzie wszczęli hałas jeszcze większy.

Gdy Kujon: — Jest, jest, to ta będzie!

Stała przy oknie wagonu, w fioletowej, aksamitnej czapeczce. Czarne karakuły połyskiwały metalicznie na jej wysokich piersiach.

— Skąd wiesz, że ta?

— Skąd wiem? — Kujon zachnął się. — Bo się patrzy, — taką ci się jakąś przestrzenią patrzy!

Szła ku nam. Skłoniliśmy się ceremonjalnie.

— Panowie pozwolą, że się przedstawię. Jestem —

— Ależ tak! Otrzymaliśmy depeszę pani. Panna Zofja Kruszevska.

— Tak właśnie. To tu kwateruje piąty pułk piechoty? — Jej czysty głos odosobnił się jasno w hałasie odjeżdżającego pociągu.

Z pod aksamitnej czapki wyrzały ku nam czarne, matowe oczy. — Gorące, jakby w ukrytej głębi amarantem przejęte.

— Panowie czekaliście tu na mnie?

Stropiliśmy się. Była bardzo piękna, jak na nasz mały pułkowy gust. Białe, czyste czoło, niby oddane pogodzie jakiegoś szczytnego zapomnienia. Na niem czarne brwi, podobne do cieniutkich, rozpiętych ostrożnie skrzydeł. Z pomiędzy ich łagodnego zbiegu wynikał nos, pewną linią kreśląc malutki garb, jaki mają stare modele królów, — mały, burbońsko-feodalny.

Śliczną budowę tego nosa powlekała cienka skóra, lśniąca pod oczami niebieskawym blaskiem. Ów blask niewiadomo kiedy przechodził pod orzechowemi oczami w puszysty cień. Nozdrza wycięte były ostro i delikatnie a skraj ich przypominał krańce świeżo rozkwitłych płatków.

Usta spokojne, małe, ciche.

Stropiliśmy się i, zamiast poprostu odpowiedzieć, że otrzymawszy depezę, wyjechaliśmy naprzeciw, nic nie odpowiedzieliśmy.

Brwi panny Kruszewskiej załamały się, policzki oprędko nieznaczne drżenie, jasność spojrzenia zgasła. Zdawać się mogło, że ta twarz błyska, ukazuje się, — niknie...

— Et, — siepnął się Kujon, — oczywiście, czekamy tu na panią z sankami.

Przedstawiliśmy się. Podawała nam rękę w białej gładce rękawiczce.

— Ach tak, z sankami. Bardzo panom dziękuję. Czy daleko mamy do pułku?

— Bynajmniej. Około piętnastu minut jazdy.

Stała bez ruchu, wciąż na tem samem miejscu. Wydawało się, że czeka na kogoś jeszcze. Na służącą, na rzeczy? Wzrok jej szedł powoli po gzymsach stacyjnych, mijał ludzi, długim promieniem pełzył po śniegach.

— Więc to tutaj kwateruje, proszę panów, piąty pułk przez zimę? — Schyliła głowę i nagle na nas spojrzała. — Zacisnie ma tu pułk, prawda?

— Owszem, dobrze tu jest. — Jakby dla usprawiedliwienia dodał Leń jeszcze, — po tylu przejściach należy się wkońcu...

— A w której stronie, jeśli można wiedzieć, stoicie panowie?

Pokazaliśmy gromadkę czerwonych kominów, które, jak czerwone truskawki, sterczały z dalekiego śniegu.

— Prawdopodobnie czuje się tu pułk doskonale. Stoicie panowie w murowanych koszarach?

— Tak, proszę pani, wszystko jest murowane, masywne.

— Ale z drugiej strony niema się z czego cieszyć, ani czego zazdrościć. Bo, proszę pani, — zaczął „gwarzyć“ Kujon, — masywne, ale to przecie Rosjanie budowali, teraz mają Niemcy, a my, — tylko mieszkamy i to, kątem poniekąd. Ciągłe się nam tak właśnie powodzi. Kosztuje człowieka, że ostatnią skórę z siebie zdziera, a w praktyce okazuje się, że mu jeszcze obcy łaskę robią.

Popatrzyła na niego zdziwionemi oczyma, w których tyle było światła, że się zmieszał.

— No to jedziemy, — rzekłem. Czas już był, pociąg dawno odszedł, stacja opustoszała, w słonecznej ciszy słyhać było dobitnie dygot dzwonków telegraficznych.

Obok panny usiadł Leń, — miał najwięcej reprezentatywnego wdzięku. Ja z Kujonem na przednim siedzeniu. Konie ruszyły z miejsca tęgiego klusa. Siwki nasze, jak Leń, nie dały się nigdy zakasować przed kimś obcym.

Czuliśmy wszyscy trzej, że teraz, więcej niż kiedykolwiek bądź inądziej, należy rozmawiać. Tymczasem prosty, czysty profil panny, z sanek wychylony i nad śniegami równo przemijający, onieśmielał nas. Mnie

pod derką kopał Kujon porozumiewawczo, ja domyślnie szarpałem Lenia za płaszcz. Oczy nasze zbiegały się i wraz stroniły od panny, zatopione w błyskach słonecznych.

— Tak, tak, — podjął nareszcie Kujon, — kosztuje człowieka, że ostatnią skórę z siebie zdziera, ale z drugiej strony, niema powodu do roztkliwień. Patrzy pani, na przykład, na te biedne chałupy, które mijamy, myśli pani z drugiej strony, że tam, oto są te wspaniałe koszały, a tu ta biedna chałupa z próchna i łat. I co?! Tu nasz biedny lud, — a tam, w murewanem cieple, sławni żołnierze, — niby my! Ma się rozumieć, wzrusza się pani tym ludem chyba, — bo czyż cierpienie nie wzrusza? Tymczasem okazało się, że gdzie tylko w chałupie jest młoda dziewczyna, tam nasza żandarmerja poznachodziła koce kradzione z koszar... To znaczy, że żołnierze —

— Pani to napewno nie zajmuje, — pośpieszył Leń.

— Nie, owszem, proszę bardzo.

— Więc z tego wynika, — plątał się Kujon, — że żołnierze kradną te koce dla tych dziewcząt. — Zaczzerwienił się, przetarł szerokimi dłońmi twarz i, wpatrzony rzewnie w profil panny, jak zrab bronzowej rzeźby mijający nad śniegami, krzyknął nagle: — Tak!! A potem żydzi te koce odkupują!

Spuściliśmy głowy bezradnie, Kujon rzutem dłoni jeszcze coś „dopowiadał“ i tak w kłopotliwym milczeniu trafiliśmy do kasyna na obiad.

Dla nas nakryto „dyskrecjonalnie“ w mniejszej sali, przy bufecie. Panna Zofja poprawiła sobie włosy przed lustrem. Chciałaby jeszcze umyć ręce.

I to było przewidziane. — Wersal umieliśmy urządzić w obozie!

— Ale jeżeli jakiś kretyn, — zżymał się Leń, — dla nawiązania rozmowy, czy dla zatarcia przykrego wrażenia zacznie gadać o dziwkach, dla których „bohaterowie“ koce kradną!

— A co, — huczał Kujon, — tybyś ją wolał marynować w milczeniu! Żal mi było kobiety, durniu!

Panna Kruszevska wracała już z garderoby. Zatrzymała się w połowie drogi, zdziwiona widokiem ogromnej jadalni, w której przy szklistem świetle zimowego południa, schylony nad stołami, jakby miał bóstwo, — jadł swe proste dania oficerski korpus pułku.

Zasiedliśmy i my do naszego obiadu. Był wystawny, lekki, salonowy. Ale panna Kruszevska nie piła wcale wódeczki. Otworzyliśmy puszkę z homarem. Kto znał obyczaje pułku, ten wiedział, jakie to było poświęcenie ze strony naszego bufetowego, że „taką“ konserwę wydał.

Homara odkładaliśmy na nasze święto pułkowe!

Ale panna Zofja nie jadła homara. Już się Kujon rzucał na pulchne, różowe łapy, wyzieraające z wonego sosu... Ja też chętniebym posmakował. Niestety Leń, zawsze dobrze wychowany, wszystko, czego panna Zofja nie jadła, odstawiał odrazu na bok.

Nie darzył się nam tedy obiadek i smutny i szczupły bardzo.

Podczas deseru jęła panna Kruszevska rozpytywać szczegółowo o rozkład dnia i pracy w pułku.

— Muszę wiedzieć dokładnie, jak pułk żyje. Potem już mnie tu nie będzie a przecież —

— Jakto nie będzie? — spytałem mimowoli.

— Jak pułk żyje? — przerwał skwapliwie Leń. — Pułk bardzo teraz pracuje. Przeucza się z polskiego ładu i z austriackiego na niemiecki. Program jest tak bardzo obszerny. Marzyć teraz nawet nie można o urlopach, bo jeżeliby ktoś był dwa, czy cztery tygodnie poza pułkiem, to nie mógłby się już zorientować.

Panna przechyliła głowę do miłego uśmiechu, tymczasem z bladych jej ust wionęło: — Już po dwóch tygodniach nie zorientuje się?... Tak prędko?...

Leń utknął nosem w talerzu, ja zacząłem podawać sól i musztardę, Kujon szukał pod stołem serwety. Na szczęście z sąsiedniej sali doniósł się trzask odsuwanych krzeseł.

— To znaczy, — objaśniliśmy, — że się tam już skończył obiad. Widocznie wstał już pułkownik, a za nim musieli wstać wszyscy. Zaraz tu będą.

Schodzili się po dwóch, trzech, całymi grupami na czarną kawę. Panna Zofja patrzyła uważnie, badawczo, jakby rozpoznać chcąc, przypomnieć sobie, wyobrazić... Odpowiadała wdzięcznie na ukłony, za każdym razem przytykając oczy.

— Nie wiedziałam, — rzekła nagle, — że tylu oficerów jest w pułku.

— Naturalnie, proszę pani, pułk to już duża maszyna.

— Duża maszyna, — powtórzyła, spuściwszy powieki. Jej białe długie dłonie, pokryte siateczką chłodu, straciły nagle wątek. — Tak duża, że trudno wszystko spamiętać. Naprzykład, ile nasz polski pułk ma bataljonów? Trzy, czy cztery?

A po chwili, odrzuciwszy ułożoną ceremonię, — o całą oktawę niżej, ciężkim prądem głosu: — Chciałabym poznać wszystkich oficerów bataljonu, — w którym...

Na to Leń, szybko robiąc oczami, jakby wypatrywał odległy, ważny punkt: — Chodzi pani o bataljon, który ma najwięcej świetnych czynów za sobą... Oczywiście! W którym jest najżywsza tradycja... O, — nie przynosi to ujemy innym oddziałom. Ale nawet między dzielnymi może być dzielniejszy. Więc skoro już na to przyszło, — to zapewne ma pani drugi bataljon na myśli, — do którego, doprawdy mimowoli, i my mamy zaszczyt należeć.

„Doprawdy mimowoli mamy zaszczyt“ — było w tem wszystko, i zaiste, tak tylko Leń umiał mówić.

Nie minęło dziesięciu minut i koło naszego stołu siedzieli prawie wszyscy oficerowie bataljonu. Każdy starał się przykładowie powiedzieć coś okolicznościowego o pogodzie, o Niemcach, o ekwipunku. Któryś kańciasty głowacz zatracił nawet o politykę.

Panna Zofja tym samym wzrokiem utrudzonego poszukiwania patrzyła kolejno na wszystkich.

Czuliśmy, że dziwi się, że wyznać się w nas nie może, jakbyśmy tu siedzieli tłumem nieprzeliczonym.

Wstała od stołu.

— Chciałabym zapytać, — policzki jej zbieleły, ręce zwisły, wciągnięty gwałtownie oddech zdawał się marszczyć czoło szaremi kreskami. — Chciałabym zobaczyć żołnierzy kompanii, z którą...

— Ależ tak, — zerwał się Leń, wszystkich nas wtył odsuwając, — ależ tak, ma się rozumieć! Pragnie pani

zobaczyć żołnierzy tej kompanji, z którą nasz bataljon dosłużył się największych zaszczytów!

Cisza poleciała przez cały stół. Na ustach panny Zofji zjawiał się uśmiech smutnej ulgi.

— Jesteśmy gotowi każdej chwili, — oświadczył Leń.

Po drodze z kasyna do koszar na wyslizganej szosie zatrzymała się. Musieliśmy mówić głośniej, bo dął wiatr. Od zachodu szły gęste chmury. Tłumaczyliśmy pannie, że ta najlepsza kompanja była właściwie rozbita. Przecież to było podczas odwrotu... Rzeczy, archiwum, — wszystko zostało w okopach... Nawet poległych naszych nie mogliśmy byli pogrzebać... Po ciężkich stratach musiano kompanję uzupełnić nowym materiałem, tak, że nie wszyscy dziś... Bardzo niewiele pozostało z dawnego składu...

— Ale panowie pokażecie mi tych dawnych żołnierzy, którzy zostali?...

— Oczywiście. — Gdyśmy weszli do koszar, starzy żołnierze wiedzieli już, że to narzeczona ich dawnego porucznika.

Ani jeden nie oderwał się od pracy.

— Czyszczą broń, — prawda?

— Tak, proszę pani, dziś jest czyszczenie broni.

Żołnierze mordowali się nad onym kawałkiem żelaza po dwóch, po jednym, wymachując zatłuszczonymi dłońmi. Ten trzymał na podołku kurek i dłużył w sprężynkach, tamten zwijał sznur, inny znów starą szmatą jeździł szybko po lufie. Pełno było wszędzie stalowych kulek, trzostek, uchylków, które niby metalowe wąskie ścięgna, wyciągały się w rozmaitych kierunkach.

Zebraliśmy szarżę i wszystkich starych wiarusów z dawnego składu kompanji. Każdego kolejno przedstawiliśmy pannie Zofji. Kiwała głową, wpatrując się w ogorzałe twarze.

— Proszę was... — Ogromny oddech przepełnił jej piersi. Nie stało miejsca dla słów. — Proszę was!...

Żołnierze zadarli głowy do góry. Stopniowo, jakby sam duch najgłębszego milczenia schylał tę, czy tamtą czuprynę, spojrzenie osnuwał kurzem, a w ramionach ciążył bezwola. Niewiadomo kiedy i jak, na ciężkich, podkutych buciskach rozeszli się cicho po izbie, zpowrotem do roboty.

Panna Kruszevska wsparła się na stole, przesuując machinalnie ręką po gwerach. Niebieskawe jej palce tym samym cierpliwym ruchem wspinały się wolno na zamek, to się z niego zsuwały. Ręka miłała lekko wśród sprężyn, kurków i luf.

Nagle palce Zofji wpadły do otwartego zamku. Wyczuły rozumnie każdy załom, każde zgięcie. Wydostawszy się stamtąd, pobiegły z ciekawym zgrzytem aż do końca lufy i skupiły się na muszce. Tak, — jakby dotykem chciała poznać tę krótką drogę, którą z wąskiego narzędzia weszła śmierć w jej ukochanego człowieka.

Zwrócone ku oknu oczy napełniać jęło po brzegi płynne światło... Panna Zofja uniosła głowę jeszcze wyżej. Na rozwachlarzonych nozdrzach osiadł cień. Trwała tak długo, całkowicie oddana wysiłkowi równowagi, wszystkimi mięśniami ciała skupiona na brzegu cienkiej powieki, za którą wzrastały łyzy.

Wysiłek był tak ogromny, że Kujon, który chciał

coś „oznajmić“, — od połowy izby szedł na palcach.

Gdyśmy nareszcie opuścili koszary, kierując się przez szosę do kancelarii pułkowej, — I cóż, — rzekła, — nie zapamiętam ani jednego z tych starych żołnierzy. Zczasem zapomnę podobno, jak wyglądały te koszary... Zczasem przecie zapomina człowiek wszystko...

Nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. Leń postawił swój kołnierz futrzany.

— I cóż jeszcze, proszę panów? — Jakies papiery, — jakiś świstek, jakiś strzep?...

Zachrypniętym głosem obiecał Kujon pokazać w kancelarii pułkowej to, co „mniej więcej“ zostało.

Trafiliśmy tu na ważną chwilę bicia na maszynie odprawy, rozdziału poczty i ekspedycji. Zabrakło karbidu, — urzędowanie szło przy świecach. W pierwszej sali dreptał tłum żołnierzy, w drugiej krzątał się podchorąży, nasz pułkowy szczur kancelaryjny.

— Tu pani znajdzie. — Przedkładaliśmy powoli akta ewidencji oficerskiej.

Maszyna dudniąca odprawę stukała nieznośnie, piach zgrzytał pod butami, raz wraz skrzypiały drzwi.

Na każdym arkuszu umieszczona była w rogu fotografia danego oficera, poniżej szły czarne kraty rubryki, — gdzie się rodził, czy żonaty, gdzie walczył. Całe życie żołnierza, — posiane między linie garsteczką kilku liter.

— Tu są i żywi! — wykrzyknęła panna Zofja, spoglądając fotografię Kujona.

— Tak, — odpowiedział, — bo tu są wogóle wszyscy oficerowie pułku.

Gdy wtem pociągnęło ją wprzód. Ujęła nową stronicę w obie ręce i poniosła ku oczom tak ostrożnie, jakby kartka utkana była z pajęczyny.

Na białym arkuszu, pod fotografią oficera, zarysował się cień profilu panny Zofji.

Cofnęliśmy się wtył.

Czytała powoli każde słowo. Widać, że czytała kilka razy to samo. Wyciągnęła rękę do chorążego, żądając następnych arkuszy. Jakby miał w swem rozporządzeniu niewyczerpane zapasy z tą samą podobizną.

Wtulił głowę w ramiona i podał kartę wojskową, złożoną w czarnej pochewce.

— Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję. — Na podobieństwo człowieka, który tylko co powrócił z dalekiego biegu, wytchnęła. Poczem, w innej, oschłej tonacji: — Teraz rozumiem! To się nazywa karta wojskowa, a tamto arkusz ewidencyjny. Tak to panowie macie podzielone, — prawda?

Złożyła papiery. Błade powieki zsunęły się, rzucając znikomy cień na policzki.

— Bo ci powiadam, — szeptał Kujon do Lenia, — tak dalej nie może być. Ja go tu żywcem widzę, bracie, między nami... Żywcem! Wszystko dawno skończone, a tymczasem... — Ja go tu żywcem widzę...

Podeszliśmy, Kujon, Leń i ja, gotowi podtrzymać, podeprzeć, pełni skorej pomocy.

— A, — czy proszę pana, — pytała już znowu z urzędową niemal uprzejmością — codziennie o tej porze macie panowie tyle roboty w kancelarii?

Chorąży odpowiedział, że codziennie, zresztą, to zależy od pory i okoliczności.

Wyprostowana sztywno, zwróciła się ku nam. Jej oczy szły przez nasze twarze, jedną, drugą i trzecią, niby przez twarze błaznów, którzy tyle obiecali, niczego nie dotrzymawszy.

— A teraz, moi panowie?

Leń „wstydliwie“ zapalił papierosa.

— Teraz, — „gwarzył“ znowu Kujon, — są zamówione sanki, czekają przed kasynem. Można ewentualnie pojechać na pani kwaterę. Ewentualnie jest czytelnia pułkowa i dzienniki. Książek, prawdę powiedziawszy, mamy mało! Ewentualnie — szachy!

— Więc pojedę do domu.

Ofiarowaliśmy się odwieść. — Wolała pojechać sama. Oczywiście, wieczorem służy nam, — ewentualnie.

— O tak...

Jak na komendę wyprostowaliśmy się i zasalutowali. Sanki pomknęły naprzód, w schyłku zimowego dnia. Fioletowa czapka zniknęła na zakręcie szosy.

Zapaliliśmy, — wszyscy trzej. Dym się z nas przadł razem z mroźnym oddechem. Gęste śmieci latały w rowach przydrożnych. Siwe niebo leżało nisko.

Dobłą już chwilę staliśmy na tem samem miejscu, gdy Kujon, rozgarnawszy wartkie smugi wichru, — czy wiesz!? — wrzasnął, — żywcem ci go teraz widzę! Jak ciebie, — żywcem!!

Na co Leń odepchnął go pięścią i ze mną pod rękę zawrócił do koszar.

— Nie oglądaj się, — krzyczał, gdyśmy przechodzili koło warty głównej, — nie oglądaj się jeszcze.

Dochodząc do kasyna, spostrzegliśmy, że — biegniemy. Leń się roześmiał.

— Swoją drogą — zauważył, — powinno się ją odwiedzić wieczorem. W tym pałacyku.

Poszedłem z odwiedzinami tem chętniej, że noc była prześliczna. Niebo czarne, nabite gwiazdami, księżyc czysty, jak lód. W blasku ściągłych promieni przechylały się pochyło długie, białe pola. Szosa olśniła od twardego srebra. Tupałem i głośno dzwoniłem ostrogami. Potem szedłem przez park, w nagłej, potulnej radości, że idę, tupię, dyszę parą. Cóżem winien, że inni polegli?!

Dopiero, gdy wszedł, zrozumiałem, jak nieszczęśliwy mieliśmy pomysł, urządzając mieszkanie panny Zofji w pałacyku na piętrze. Ściągnęliśmy od rezydenta z cieplarni wszystkie palmy, oleandry, fikusy, rododendrony. Rośliny te, ustawione pod ścianami i przy oknach, czyniły wrażenie pogrzebowej dekoracji. Księżyc srebrzył czarne liście i rzucał ostry cień wzdłuż białych desek podłogi. Wskroś światła świecy kładł się na pokój duży krzyż okiennych ram, niby cierniem, — opleciony czarnem odbiciem sztywnych liści palmowych.

Panna Kruszevska siedziała na kanapce, pod ogromnym fikusem.

— I cóż słyhać nowego, proszę pana?

— Nic. Wszystko w porządku.

— Niechże pan siada.

— Nic łatwiejszego, — odpowiedziałem głupio i usiadłem.

— Teraz zapewne jecie panowie kolację a pan sobie przeszkodził?

— Ależ nie. — Zostawią mi! — Względnie nam, — jeżeli pani raczy...

— Jeżeli ja?

— Pyta się pani, co słyszać? Byłbym zapomniał! Coś nowego, co do pogody. Koledzy, którzy byli ranni skarżą się, że ich drze po kościach. Będzie z tego odwilż. Trzeba korzystać, póki nie jest ślisko. Przejść się. Może pani raczy do kasyna, do nas?

— Być może, — odpowiedziała, — nie chciałabym, by na mnie czekano.

Zamilkła.

Zdało mi się, że w miarę, jak mówię, jej białe czoło staje się jeszcze wyższe, czystsze, jakoby wielką wodą obmyte. Że na skroniach wschodzi niebieski cień, a oczy nikną w głębi.

— Do kasyna? Ach, nie, dziękuję panu. Tu mi dobrze. Myślę, że jestem u nas w domu, na wsi i równocześnie, że jestem tu w pułku. A może nigdzie nie jestem?... Tyleście sobie panowie zadali trudu! Czy warto? Wszystko tak porządnie, starannie, na arkuszu, z pieczątką! Czy warto?!

— Proszę pani, — odpowiedziałem, — nie wiem... Ale, gdy człowiek istotnie dużo przecierpi... Dziś na stacji pewien staruszek, któremu pomagaliśmy przy tobołach, czekając na panią, powiedział nam, że ludzie dźwigają większe ciężary „niż sami są“. Myślę, że gdy człowiek dużo przecierpi, tyle się w nim musi uskładać jakiejś obecności... Tyle się musi nagromadzić czasu, że nie trzeba pomocy szukać ani długo, ani daleko. Wszędzie się ją znajduje. Idzie pani stąd tu, stąd tam i cóż? I widzi pani na przykład stare

powróśło, leżące na drodze. Proszę tylko pomyśleć, — kto je kiedyś skręcał, komu teraz służy... Kto się tu spotkał, kto minął? Leżą razem stare, przetarte włókna... Teraz leżą i, — chcę powiedzieć, — albo...

— Albo, co? — Światło księżyca związało na jej włosach duży, srebrny pierścień.

— Sądzę, proszę pani, że sama siła istnienia robi wkońcu swoje.

— O tak, zapewne, to dużo znaczy. No więc, — chodźmy.

Zatrzymała się na klombie przed bramą. Wielkie, słomiane chochoły pobliskich krzewów sterczały ze śniegu, jak olbrzymie złote pazury. Wokół sinego ich cienia i na wystrzępionych końcach targały się rozpędy szronu, żenione z obrębów nocy.

— Albo wie pan? Nie pójdę. Nie, — nie, — nie. Już dziś nigdzie nie pójdę, — taka jestem zmęczona!

Na tle gęstwy osędziały krzaków, tu i ówdzie przeszytych iskrą szronu, zabrzmiał jej głos niesamowicie. Nagła, dźwięczna struga wydana z piersi, wezbranych po nad miarę... Jakby ciepło tego brzmienia, niczem fala wiosny niewczesnej, w dyby mrozu ujętej zginać miało na zawsze, zewsząd objęte wrogością.

Wróciłem do koszar sam, zły i uroczyście oświadczyłem Leniowi, że ani mnie, ani też jego i Kujona nie może, nie powinien bataljon w „takiej chwili“ zostawiać sam na sam z tą „historją“. Panna już i tak jutro odjeżdża! Zresztą, jeżeli chodzi o regulamin żałoby, — gdyby wogóle takie regulaminy istniały, — to wypadałoby, żeby wszyscy oficerowie bataljonu, z dowódcą na czele, dali wyraz odpowiedniemu uczuciu.

Poszliśmy do kapitana. Nie spał jeszcze. Wyłuszczyliśmy, w czym rzecz i że trudno nam bardzo „tak” sprawę załatwić...

Jego mała, do żbika podobna głowa uniosła się z płaskich poduszek. Nie widział „w tem” nic trudnego. Wprost przeciwnie!

— Tylko brak doświadczenia, tylko niezrozumienie charakteru służby żołnierskiej może pozwolić na czułości tam, gdzie, — poklepał się po nagich ramionach i, obciągnawszy koszulę nocną, oznajmił, że sam wszystko załatwi.

Nazajutrz, w myśl ustanowionego programu, wszyscy oficerowie naszego bataljonu byli w kasynie, by po rannem śniadaniu, z „odcieniem państwowo-twórczej żałoby” pożegnać pannę Kruszewską.

Razem z nią piliśmy kawę, kapitan po prawej ręce, najstarszy porucznik, to znaczy Leń, po lewej. Słońce grało światłami w zastawie stołu, z pomocą niejako śpiesząc stanowczej inicjatywie naszego dowódcy. Mówiliśmy o zmianie pogody, w nocy bowiem przesiliło się, od rana trwała odwilż, kapiąca z wszystkich rynien, rozdzwoniona po wszystkich gałęziach, nawet w murach tak żywa, jakby i przez ich treść najściślejszą głos miękkiej kropli przenikał.

Kapitan nie uciekał się do żadnych wybiegów, prawiąc twardo, do rzeczy.

— Przypuszczam, — mówił, — że razi panią trochę ów za rodzinny sposób z jakim razem jemy, pijemy? Ale tak już żyliśmy się ze sobą! Dowodzę tym naszym drugim bataljonem i jestem razem z tymi panami prawie od początku wojny.

Na pierś jego upadło smutne spojrzenie Kruszewskiej. Wytrzymał obojętnie.

— Żyliśmy się tak dalece, proszę pani, — ciągnął między łykiem kawy a łykiem, — że chyba nie przesadzę, gdy powiem, iż w danym razie jakiegoś czynu, działania, wyrażam zawsze jednolitą myśl wszystkich oficerów bataljonu.

— Terazby tylko „wyfasować” skądś całe buty! — wdarł się w szanowną perorę okrzyk Kujona.

Przy końcu stołu wybuchł wesoły śmiech.

Panna Zofja patrzyła na nas z ledwie dostrzegalnym cieniem zgorszonego zdziwienia. Cóż mogła była wyczytać łaskawego z tych gęb wesołych, śmiejących się do słońca? Widziałem, jak wzrok jej mija nas kolejno, krąży wśród postrzałów światła na szkłe i uważnie zatapia się w jasno-zielonych oczach naszego dowódcy.

— A czy pan żonaty, panie kapitanie? — spytała.

— Tak, tak, od niedawna, — odpowiedział z radością. Popatrzył na pannę, rozejrzał się ostrożnie wśród nas i nagle umilkł.

W miarę występujących na jego policzki rumieńców zapadała dokoła stołu cisza coraz głębsza.

Ale naszemu kapitanowi musiały zawsze sprzyjać okoliczności. Teraz, — wszedł niespodzianie żołnierz, stuknął obcasem i oddał przepustkę z świadectwem odwszenia, podpisanem przez doktora pułkowego.

— Inaczej nie mogłaby pani jechać kurjerem. — Ktoś spojrzał na zegarek. — Już czas.

Kapitan podał pannie futro. Podnieśliśmy się od stołu.

— Jeszcze tylko rękawiczki. — Wdzięwała powoli, obciągając palce. Spojrzenie jej gubiło się bezradnie wśród przedmiotów.

Obładowani pakunkami, zesłiliśmy nadół.

Przed bramą czekały niebieskie sanki w różowe kwiaty i para naszych najlepszych siwków z bataljonu. Szosę i przeciwległe budynki zasłaniał rząd drzew, pokrytych śniegiem. Czarne gałęzie zdawały się prężyć pod tęczowemi aksamitami światła. Przez niskie krzaki widać było na tle błękitu maszerującą gościniec kompanję. Broń się iskrzyła, żołnierze śpiewali a pędzący przed oficerem pułkowy pies „Zbój“ ujadł rozgłośnie.

Ale i śpiew, i szczekanie i marsz grążyły się w skocznem tętnie odwilży.

— Będzie pani miała śliczną drogę. Sanna jeszcze trzyma, — ucieszył się kapitan.

Skinęła potakująco.

Staliśmy półkolem przed bramą i każdy dorzucał jakieś zdanie, by rozmowa nie wygasła.

Najwydatniej ją wspierał głos tającego lodu. Na każde słowo odzywało się dziesięć i sto kropli, bębniących w kamień, glinę i piach. W zatkanych rynnach bełkotał niecierpliwie tok wody. Całe powietrze wypełnione było rozgwarem. Tysiące maleńkich okrzyków drżało między błękitem a miękkimi śniegami.

Do kapitana przystąpił ztyłu Kujon. — Co jest, — pytał, — i właściwie co ma być?

— Z czym?

— Miałeś, kapitanie, raz dwa odprawić całe „nabożeństwo“, tymczasem knoci się, knoci i knoci...

Dowódca strzepnął rękami i wystąpił przed oficerskie półkole.

— Mam wrażenie, kapitanie, — rzekł Leń, podchodząc bliżej, — że pani pragnie się już pożegnać.

Zdziwiliśmy się, spojrzawszy na naszego dowódcę. Twarz jego straciła wszelką miękkość, rysy wyostrzyła baczność usilna a mięśnie stłoczone zaciskiem szczęk drżały, jakeśmy to tyle razy widywali, — podczas ognia.

— Widzisz, teraz się zdecydował, — jęknął Kujon, — najwyższy czas!

Zofja uśmiechała się do nas wszystkich z przepisaną uprzejmością pożegnania. Wzrok jej ślizgał się obojętnie po tafli lodu, z którego spływała woda wąskim brzegiem, stwarzającym nowe granice przeczystej jasności.

Kapitan pochylił się, zasalutował i, wpatrzony w przestrzeń, jak podczas czytania przed frontem długich, obojętnych rozkazów, rzekł nagle:

— Zechce pani przyjąć najserdeczniejsze wyrazy głębokiej kondolencji...

Skuliła się.

— Poczuję się do tego obowiązku, — trzeszczał kapitan, — jako komendant bataljonu, w którym walczył i zginął świętej pamięci narzeczony pani...

Blade policzki panny Kruszewskiej ożywiło szybkie drżenie. Pod puszystą skórą mieszać się jął róż centków fioletowych, niebieskich. Wargi się rozszczępiły. Śliczny trójkąt brody, ściągnięty nagle szarą pętelką zmarszczków, cofnął się wtył.

— Poczuję się do tego obowiązku, jako dowódca bataljonu, w którym walczył i zginął świętej pamięci

narzeczony pani, służąc jako przykład podwładnym, — kapitan otarł z czoła i z nad górnej wargi kroplisty pot.

— Patrz na nich, na nich wszystkich — skuczał koło mnie Kujon, — powiadam ci — to straszne.

Półkole oficerów zmartwiało. Twarze, zwrócone ku słońcu, objęte blaskiem, niby w miedzi odlane, patrzyły daleko przed siebie szeroko rozwartymi oczami.

— Poczuję się do tego obowiązku — sypał jeszcze raz od początku nasz kapitan, — jako dowódca bataljonu, w którym walczył i zginął świętej pamięci narzeczony pani, służąc jako przykład podwładnym, dopełniając zaszczytnie swego posłannictwa wobec Ojczyzny, oraz wobec naszego piątego pułku piechoty.

Kapitan skłonił się uroczyście i już miał, po skończonym niejako obrzędzie, wcielić się w szare tło oficerów, gdy panna Zofja chwyciwszy go za rękę...

— Ach tak, — krzyknęła, — naturalnie, wypada podziękować!

Kolejno na nas, na sanie, śnieg, na wodę zewsząd kapiącą patrzyła szeroko rozwartymi oczyma, w których odbijał się promień słońca nawskroś, — jak w szkle.

— Wypada podziękować, panie kapitanie, — za nas dwoje?!

Nasz dowódca podał się wtył.

Słyszeć było każdy skok kropli, ciekącej z lodowych mieczów w miękkie łono śniegu, każdy ruch koni w skórzanym chrzęście uprzęży.

— Widzę go, — urwał mi Kujon nad uchem. — On tu jest, między nami. Teraz go wszyscy widzą!

Trzymaliśmy ręce przy daszkach, gdy oto jeszcze raz zwróciła się ku nam. Jej ręce w białych rękawiczkach, niby dwie grudki śniegu, przywarły do oczu. Tchnąc naprzód białym oddechem, podała się ku nam z sanek. Ramiona się uniosły i, jakby udźwignąć nie mogąc ciężaru straszego milczenia, rzuciły go na lód.

Wyciągnęliśmy się do pożegnalnego ukłonu.

Utkwiła w nas długie spojrzenie i wtedy nagle buchnął z niej dźwięk wezbrany, ogromny, podobny do głosu strun zerwanych jednym ciosem. Zaczątki jakiegoś słowa rozprysły, zalane falą płaczu, który mało powiedzieć płynął! Którym broczyć się zdawała przez powieki, przez ręce, przez usta.

Kujon cisnął czapkę o ziemię. Chciał biec. Leń go zatrzymał łokciem, wygiętym w ukłonie. Stali na przodzie, kapitan w pośrodku. Mięśnie szczęk drżały mu, jak podczas ognia, — z ostrych zielonych źrenic płynęły strugi łez.

— Za nas dwoje, — wołała panna Zofja.

Ale rozerwał te słowa hałas dzwonków, szczęk kopyt i skoczny głos wody. Perlił się w słońcu, miękką granicą spływał po lodzie, bełkotał porywczo w rynnach, cały świat mościł świegotem, od gładkich śniegów aż po kopułę nieba.

DZIKI CZŁOWIEK

Zauważyłem, że od kilku dni był w kompanji nowy powód do zabawy. Podczas marszu na „odtrąbiono“ wybuchały nieartykułowane ryki. W czasie odpoczynku wszyscy żołnierze skupiali się na jednym miejscu, rechoząc wraz z szarżami, jakby w środku zbitego półkola ucieszny błazen pokazywał wyjątkowe łamańce. Nie wypadało dowiadywać się, a tem bardziej przeszkadzać, zwłaszcza, że żaden z podoficerów o niczem zdrożnem nie meldował.

Zabawa skupiała się koło nazwiska Rostowicz. Słyszało się je coraz częściej, na coraz rozmaitsze nuty. Czy to był nowy rekrut (bo nie mieliśmy starego żołnierza tego nazwiska), czy też miano fiktywnego człowieka, niedołęstwa, wypadku, okoliczności czy wreszcie jakiś nowy dowcip zbiorowy?

— Rostowicz! — nęcili jedni niecierpliwie.

— Rostowicz! — wyły niskie basy kompanji, rozsiadłe pod sosnami.

— Rostowicz! — stękało kilku nygusów na trawie.

Po ciężkim marszu przez gorące piachy odpoczywaliśmy na wydmie leśnej tuż przy brzegu Narwi. Żeby nie wrzaski o głupiego Rostowicza, możnaby istotnie odetchnąć.

Niebo się rozpina nad okolicą, — jak tylko oglądać je można u zbiegu tych dwu rzek, Narwi i Bugu i chyba tylko w owym czasie młodości naszej, gdy

dniom niewola towarzyszyła, a lata wydawały się na zawsze przyobiecane wolności!

Niebo błękitno-złote, u roziskrzonych brzegów z ziemią połączone, na środku aż przetarte od blasku. Po prawej stronie za półkołem białych piasków nadbrzeżnych szeleści lekko rzeka i garsteczkami fali odmierza ciszę dnia. Po lewej w cieniach lasu wilgotny głos ptactwa nawołuje stokrotnie.

Prócz żołnierzy, jak sine osty rozłożonych na wzgórkach, nikogo nie widać w lśnieniu drzew i łąk. Tylko małe, bystre owady świecą swą pracą w słońcu.

— Dawać tu Rostowicza — ryczy znowu gromada.

Spytałem siedzącego obok mnie sierżanta Trepkę, — co to za nowy okaz ten Rostowicz!

Trepka uniósł się z pnia i huknął w rurkę zwiniętych dłoni: Rostowicz!

Głos poszedł szparko lasem, skupiska żołnierzy przycichły. Z głębi zagajnika dał się słyszeć łomot, jakby spłoszone zwierzę dążyło gwałtownie przez gąszcz. Po chwili wyszarpnął się z pomiędzy sosenek niski, krępy żołnierz. Szedł pod słońce, twarz miał zmarszczoną od blasku.

Spieszył się i ociągał zarazem. Miało się wrażenie, że łydki osiadają mu w kostkach, uda w kolanach, cały korpus w nadmiernie szerokich biodrach, a czarna głowa na nieobrotnej szyi ciągnie naprzód, lecz nie może wydostać.

W połowie drogi przystanął.

Zauważyłem, że mundur na piersiach Rostowicza wypręża się pod niespokojnym oddechem, a dolną naprzód wysuniętą wargę powleka błyszcząca ślina.

Parę kroków za nim formował się już przygodny półkrąg rozbawionych żołnierzy. Sierżant Trepka krzyknął raz jeszcze: Rostowicz!

Rekrut drgnął, złapał się rękami za szwy od spodni i nagle, jakby samemu sobie wymykając się z rąk, ruszył przez piach, rude igliwie, w trzasku gniecionych szyszek. Szparki jego zmrużonych oczu drżały w poszukiwaniu przepisanej odległości, na której wypadnie się zatrzymać. Drewniany ruch ramion sterował odętym korpusem, stopy padały pracowicie, jakby na ściółce leśnej odrabiały napis ważny i trudny.

Półkrąg żołnierzy wybuchnął głośnym śmiechem.

Rostowicz zdawał się nic nie słyszeć, pochłonięty wykonaniem marszu, rażony słońcem prosto w twarz.

— Rekrut Rostowicz, — objaśnił mnie sierżant.

— Spocznijcie! — rzekłem.

Odrzucił w bok nogę, ręce puścił wzdłuż, czekając aż ustaną. Gdy się przestały wahać i gdy wciąż nic nie mówiłem, twarz jego w nagle zapadłej ciszy zelektryzowała wszystkim zmarszczkom, rozprawiając na właściwe miejsca niezwykle brzydotę rysów.

Pogięte czoło, pełne dołów i wzgórków, złane było potem, który spływał na szpecinowate brwi. Trudno było dojrzeć pod niemi oczy, osadzone w wąskich, szeroko rozstawionych, a ciasnych oczodołach. Nos bynajmniej nie regulował rozłożenia cieni, tworząc razem z policzkowemi kośćmi trójkątny system niesamowitych błysków. Dziurki nosa nie miały łukowatego wycięcia, podobne raczej do czarnych rozporów, z których na dolną wywiniętą wargę zionął mozolny oddech. Brody nie było, a tylko ścięty

występ, zgubiony niespodzianie w krótkiej, grubej szyi.

— Cemu tak dyszycie? — spytałem życzliwie. — Cemu się pan tak pocisz, panie Rostowicz? Nie dojada się w wojsku, co?

Powieki rekruta rozwarły się, malutka, czarna źrenica stanęła czujnie w pośrodku białka.

— Powiedźcie prawdę, — głodni jesteście?

Ciepły fiołkowy blask przepełnił oczy Rostowicza:

— Jem dobrze, — odpowiedział, ciągnąc z ukraińska obcą „stepową“ intonacją.

— Jesz, ale przecie nie tak, jak u mamy, — nawiązywałem „zbliżenie“.

Z półkola żołnierzy wysupłały się szydliwe śmiechy. — Ten ci musi mieć mamę, cholera mnie bierz!

Pytałem dalej: — No, powiedz, w domu u mamy było lepiej?

Przestąpił z nogi na nogę i podając ku przodowi twarz, na której się przechylał uśmiech radosnej bez troski: — Niema domu, — niema mamy. Teraz sitwa.

Chcąc jak najprędzej nauczyć rekrutów solidarności, zwracaliśmy baczną uwagę na dobre urządzenie „kapralstw“ i zsolidaryzowanie rekruta z sitwą, to jest z tym przyjacielem w szeregu, z którym żołnierz razem chodzi, razem czyści broń, dzieli jedzenie, naprawia mundur i t. p.

— A któż jest twoim sitwesem?

Rostowicz zmarszczył czoło, odął się, poczem wrzasnął „wiernie“: — Legionista Bylewski!

Półkolem żołnierzy wstrząsnęła rykliwa wesołość.

— Moi panowie, — odezwałem się, — płoszycie go.

Zwrócił się ku kolegom, potem ku mnie. Jął znów osiadać na samym sobie ostrożnie i wygodnie. Gdy zwały krępej postaci pewnie już wzajem na sobie poległy, wysunął naprzód roześmianą twarz. Ze ściśniętych zębów błysnęła żuta w ustach słomka.

— Nie boim się. — Nie płoszą.

Sierżant Trepka powstał i zawołał daleko w głąb zagajnika: Bylewski!

Z pod czarnych krzaków jałowca wygramolił się długi blondyn i rutynowanym krokiem przywędrował przed majestat Treпки i mój. Trudno było o lepszego wybór sitwy dla Rostowicza. „Napamięć umieliśmy“ wszyscy tego Bylewskiego, który od początku wojny, mimo, iż nie był tchórzem i doskonale znał służbę i uczestniczył w wielu ogniach, niczego się nie dosłużył, zawsze sentymentalny, zmęczony, piszący moc listów, wiecznie żegnający się z jakimiś znajomymi, których miał wszędzie bez liku, biednych, ugniecionych, spalonych, czy wygnanych.

Obecność jego wprawiła Rostowicza w widoczne zakłopotanie. Napoły trwał sztywno przed nami, przed swą władzą, napoły wyciągał się serdecznym miękim poruchem kanciastych boków w stronę swego sitwesa.

Gdy Bylewski zrównał się z rekrutem, któryś z żołnierzy nie wytrzymał i wrzasnął: — Morowa z nich para, panie poruczniku!

Para była w całym tego słowa znaczeniu morowa. Jeden krępy, przysadkowaty i zjeżony, jak oset, — drugi, niby kłos wysmukły, chwiejny i gibki.

— Nie dogadywać, łajdaki! — rzuciłem przypo-

chlebnie szydercom i do sitwesów: — Więc wy jesteście sitwa?

— Tak jest, panie poruczniku, — odpowiedział Bylewski, utwierdzając w moich oczach powolne spojrzenie blado-niebieskich źrenic. Był tak spokojny i nudny, że nikomu nie chciało się z nim długo gadać.

— Dziękuję wam.

Gdy rutynowanymi krokami odchodził w cień swego jałowca, Rostowicz zaciskiem kosmatych palców potwierdzał kroki swego urzędowego przyjaciela, kiedy zaś Bylewski wyciągnął się w krótkim cieniu krzaków, ruch palców rekruta ustał.

— Powiedzcież mi, Rostowicz, — pytałem dalej, skąd jesteście?

Nie odpowiadał.

— Jaki wasz kraj? Gdzieście się rodzili?

Źrenice zawahały się, poczem, utkwione wgórę, łagodnym ruchem spływać jęły po ogromnym stropie nieba.

— Nie wiemy, — westchnął wreszcie, skubiąc szeroką wargą niepewne brzegi słowa. — Nie wiemy.

— Nie masz rodziców?

— Nie.

— I nie wiesz kto cię rodził?

— My byli w Wilnie ostatni czas, — pod germańcem.

— No więc, któż ty jesteś? Katolik, prawosławny, tatar, żyd?

Ciężkie ramiona ruszyły pod górę.

— On nie ma żadnej wiary, — odezwał się wzgar-

dliwie ktoś z szeregu, nie wie jeszcze po jakiemu mówi!

Barki podeszły wyżej i właśnie, jakby to ich ruch wypchnął z szeroko uśmiechniętej gęby rekruta cieniutką, przeżutą słomkę.

— Więc nie wiesz, kto jesteś?

Słomka kiwała się niepewnie to wgórę, to wdół, to jeszcze kółeczko opisywała, podczas gdy oczy szukały między drzewami i wśród nas, i w piachu i w granatowych garsteczkach fali rzecznej, i na wietrze. Wyglądało, — że Rostowicz zadumał się, zamyślił, oddany niespamiętanej przeszłości.

Pospieszył mi z pomocą sierżant Trepka. — Rostowicz, gdzie służysz?

— Służę, — w piątym pułku piechoty Legjonów...

— Kto jest dowódcą pułku?

— Dowódca pułku jest, — szło coraz głośniejszym, mechanicznym, — pan pułkownik...

Trepka machnął ręką: — Skądście się wzięli w pułku?

— W pułku wziął się, — czekał Rostowicz, — bo jeść nie było co.

Żołnierze tarzali się na trawie ze śmiechu.

— Tak jest, panie poruczniku, — tłumaczył sierżant, — on nic innego nie powie. Nie zna rodziców, trudno zrozumieć, po jakiemu mówi, skąd jest; dołączyliśmy go z wileńskim transportem rekrutów.

Pogięte czoło Rostowicza zaległy cienie. W oczach jęła się odbywać mętna praca światła, наконец wystrzelił nieoczekiwany okrzyk: Bagatyrskie Legjony!!!

— Niech ci będzie na zdrowie. — Odprawiłem go.

Obliznął dolną wargę, wykonał ukłon i zaczął odchodzić. Była to czynność bardzo złożona, pomieszana z osobliwym napięciem pleców, na których czuł spójrzanie władz, pełna dumy z samego siebie, a wraz pokornej chęci przypodobania się kolegom.

Wzięli go między siebie, oklepali ciężkimi łapskami, dali papierosa. Długą chwilę cieszył się, ciągnął dym „po kawalersku“, udawał psa, kota, osła, różne zwierzęta i ptaki. Wtem, jakby sobie przypomniał, że został dziś wyróżniony szczególnie ważną rozmową z władzami. Podniósł się szybko, wprost na głowy kolegów otrząpał z igliwia mundur i stanął zbożnie obok kozła z karabinami.

— Rostowicz, — wołały znowu wygi kompanijne.

Nie słuchał, otrząsał się skromnie z niesfornych głosów, wodząc za władzą szparkami wiernego spojrzenia.

Czuło się jego wzrok na rękach, na mundurze, na butach, — jak psie lizanie.

— Do cholery mnie doprowadzi ten rekrut, — zachnął się Trepka.

— Bo co?

— Bo to, panie podporuczniku, nie jest człowiek — a zwierzę. Przyszło to do pułku nędzne, gołe, z głodu zdychające. Taka przecie u nas ciężka służba, a ten cieszy się ze wszystkiego i tyje. Tyje w oczach! Po każdym żarciu mu przybywa. Jak dziś na obiad zje, to już popołudniu ma to żarcie na gębie nowem sadłem wypisane. I wszystko robi, co mu zadasz. Każdą orkę. Posłuszne toto, jak zwierzę. To nie jest człowiek, panie podporuczniku, — to jest masło!

Nie miałem czasu słuchać, odpoczynek się skoń-

czył. Jeszcze przed obiadem musieliśmy przerobić rzucanie ręcznymi granatami.

Było to ulubione ćwiczenie kompanji. Wśród dużej polany zagajnika dzieliło się żołnierzy na dwie partje. Każda z nich zajmowała wykopaną przez saperów pozycję i drewnianymi pociskami obrzucała stronę przeciwną. Ryku, wrzasków, harmideru było przy tem coniemiarą. Żołnierze przenosili ogień, prowadzony drewnianymi butlami, ze skrzydła okopów na skrzydło, wykonywali ataki, salwy, skombinowaną napaść i obronę. Dochodzili przytem do takiej zręczności, że mogli przez kilka minut pozostawać w ukryciu, podczas gdy nad głowami od jednej strony walczącej do drugiej utrzymywał się, niby półkoliste sklepienie, nieustanny lot rozpędzonych „granatów“.

Dziś ciągłość rzutu rwała się. Białe butle przelatowały wciąż ku jednemu skrzydłu, bijąc w to samo miejsce tak silnie, że aż się kurzawa nad niem unosiła, podobna do kurzu prawdziwej bitwy.

Trepka przerywał ćwiczenie, obydwu stronom rozdzielał „po równości“ drewniane maczugi, znów otwierał ogień i znowu kończyło się tem samem. Ciężki bieg rzutów kołysał się z początku miarowo nad walczącymi, po chwili jednak tracono równowagę i wszystkie pałuby rznąły w to samo miejsce ciężkim rozmachem.

— Bij! Bij! — huczało wzdłuż okopów.

Z kąta, w który godziły pociski, nikt się już nie bronił. Na błysk sekundy wychyliły się jeszcze rozczapierzone palce, i ostatni raz trysnął niesamowity wrzask.

Żołnierzom zabrakło granatów.

— Co jest?! — wołał Trepka.

Z rozbitego okopu, odwalając na boki całe kupy pałub, wyłonił się powyżej piersi — Rostowicz. Jego skrzekliwy śmiech wprawił w zdumienie całą kompanię. Śmiał się, ręce mając pokrwawione, wargę rozciętą, oczy straszliwie podbite.

Zakurzony, utyłany w piachu, podobny był do ziemnego bałwana o śliskiej twarzy, zagniecionej z gliny, mułu i krwi.

— Co się tam dzieje?! — krzychałem, zbiegając pośpiesznie.

Rostowicz wylazł z dołu i między „wrogami“ okopami okręcał się wolno dokoła. Już się nie śmiał, a tylko, jak ludzie prości, gdy szukają czegoś w pamięci, mruzczał donośnie.

— A moja sitwa?! — ryknął nagle. — Też pobita?! —

Z przeciwległego okopu wychyliła się roztargniona twarz Bylewskiego.

— Znaczą zdrow, — moja sitwa!!

Więcej Rostowicz nie mógł gadać, bośmy wkroczyli „jako władza“ i zaczęli „raz na zawsze“ „robić porządek“.

Wypadek z granatami ręcznymi uporządkował stosunek kompanii do Rostowicza. Żołnierze uznali go oficjalnie za dobrego kolegę, wyręczając się pocziwym dzikusiem przy każdej sposobności.

Zastępował wszystkich na dyżurze, roznosił raporty do podpisu, zamiatał, cerował, szedł do skrobienia ziemniaków, pompowania wody. Nie można powiedzieć, by zastępstwa, których się podejmował, tru-

dziły go nadmiernie. Znał się na każdym rzemiośle jako tako, po drugie — otaczał zabobonną czcią wszystko, co się tyczyło służby. Każdą czynność wypełniał z żarliwym natchnieniem.

Gdy czyścił buty swoich kaprali, można było widzieć, jak ślina puszcza mu się z otwartych ust na widok glancu, który wreszcie puszczały stare przyszwę. Gdy w kuchni szorował miedziane garnki, można go było złapać, jak się przegląda w wypucowanej pokrywie i, głaszcząc polerowane brzegi, nadaje pokracznej gębie srogi wyraz twarzy sierżantów.

Gdy roznosił książkę raportów, ścisnął ją w rękę, że kałuże potu zostawały na ceratowej okładce. Wręczając koperty z napisem „tajne“, zamykał oczy i robił wtył zwrot, by oko jego nie padło przypadkiem na zakazane pismo.

Skrycie oddawał honory oficerskim koniom. Cóż mówić o samych oficerach!

Gdy rozmawiał ze smukłym dowódcą kompanii, jak stęsknione zwierzę zdawał się obwąchiwać postać „wyższego człowieka“. Gdy rozmawiał z dowódcą plutonu, wybierał między „murowaną postawą zasadniczą“, a krótkim porykiem najwierniejszego śmiechu. Przed kapelanem pułkowym mało brakowało, by klękał. Do dowódcy bataljonu naszego nie chciał nigdy iść, „za Boga“, że się wstydzi, a na widok dowódcy pułku chował się tak, że nie można go było znaleźć.

Żołnierze cenili cześć i zdumienie, jakie Rostowicz żywił dla tajemniczych urządzeń zorganizowanego życia wojskowego, natomiast podoficerów doprowadzała wierność rekruta do pasji.

— Bo ja mówię, — przekonywał czcigodne szarże sierżant Trepka, — by ludzie mieli na świecie jak sami chcą! Nato jest ten cholerny ogień wojny i nasza marna krew poto się może leje?! A on? On zawsze chce, jak ja chcę. Pies! Rozumiecie? Pies, — nie człowiek.

Nie można powiedzieć, by stary, dzielny Trepka dręczył Rostowicza, ale doświadczał go wszechstronnie. W krótkim czasie cała kompanja brała już udział w tem niesamowitem nieporozumieniu. Rekrut drżał coraz posłuszniej i wierniej na widok sierżanta, sierżant zaś na widok rekruta niejednokrotnie zapamiętywał się.

Oto przy sobotnich oględzinach rynsztunku zostawił Rostowicza z uniesioną dla pokazania podeszwy nogą tak długo, że kompanja kichała z tłumionego śmiechu, — a oni żarli się oczyma. Rostowiczowi wszystkie żyły na skroniach drżały, ale w oczach kwitł niezmiennie wierny fiolet pokory.

Trepka patrzył, — jak gwoździ.

Oto przy przeglądzie broni, jakoby się „brali na milczenie“.

Trepka wlepił oko w lufę karabinu i patrzył pod światło bez końca, podczas gdy Rostowicz oddychał coraz głośniejsz, — aż wkońcu szum zaczął mu z piersi wychodzić, a skronie oblał pot.

Zdaniem doświadczonych podoficerów, — jakoby się także brali na „charakter“.

Trepka bowiem, widocznie, aby się wreszcie domacać, „czego Rostowicz chce“, przydzielał go do wykonywania kompanijnych egzekucyj.

To Rostowicz musiał pilnować kolegów, zamkniętych za przetrzymanie urlopu w piwnicy o chlebie i wodzie. To on musiał żołnierza ze swej sekcji, który ukradł chłopom krowę, wiązać w kij.

— No i co, — zaszedł go Trepka niespodzianie, oglądając przedtem podejrzliwie dyby delikwenta, — no i co?

— Pan sierżant dobrą szkołę daje, — zaśmiał się Rostowicz. Równocześnie z małych, bystrych oczu trysnęły mu łzy okrągłe, świeże, jak u dzieci...

— To ma być człowiek?! — filozofował sierżant, opowiadając później zdarzenie na brzegu Narwi, podczas gdy żołnierze zażywali regulaminowej kąpieli.

Tu, na piaszczystym wzniesieniu, przed wstęgą błękitnej rzeki mógł nareszcie podoficer doświadczyć choć odrobinę tak pożądaną samotności. Żołnierze kąpali się pod jego czujnym okiem, on zaś, nikomu już nie potrzebując świecić ustawicznym przykładem, rozwalał się, kurzył papierosy i gadał swobodnie o wszystkim naraz...

O kompanjach niemieckiego rekruta, które z przeciwnego brzegu na gwizdek pędziły do wody i w szyku, niczem różowy mur ludzki, zapadały się w rzekę. O innych kompanjach niemieckich, które już ubrane wracały pod górę, wśród łąk, z kamienym śpiewem „In der Heimat! In der Heimat!“

— To już wolę takiego drania Niemca, — rozwalał Trepka, — tu ci śpiewa „in der Heimat“, a do nas młode ich szczeniaki rekruckie przylatują, żeby się przebrać „za legionów“... Ale czy wiesz, co za jeden? Ma na gębie napisane, czy tchórz, czy pro-

wokator? Nie wiesz. Czterech ich już było u nas z taką prośbą. Zgody się nie dało, a nazajutrz, przed wymarszem, — na front zachodni mieli iść, — powiesili się wszyscy czterej. To już jest coś, jakiś charakter, — nie?

Gwarzyli o tych kompanjach niemieckiego rekruta, o wszelakich „frasunkach“, o „dziwkach“, co tu niedaleko na noc namiot se rozbijały i przyjmowały, przyjmowały, — morowe zdrowie mają.

Potem, wydawszy gwizdek do powrotu z wody, szarże milkły i nim się żołnierze odziali, jedynem na świecie zapatrzeniem twardego oka podoficerskiego wiodły po piachu, po różowych rekrutach w lgnące objęcia koszul, gatek i wszelakiej bielizny omotanych.

Gapiły się na wodę, która oto krasy się pozbyła, farbę straciła i chmury odbija teraz szare, brzuchate.

— Od zachodu idą, na burzę.

Ciężki zwał mroku zawisł nad brzegiem, z którego wystawały bastjony porosyjskiej fortecy. Biało-czarna chorągiew niemieckiego dowódcy raz wraz zrywała się do lotu z pomiędzy złotych kopuł cerkwi.

Sierzanci uradzili zgodnie, że trzeba spieszyć, — idzie burza. Kaprale zbiegli co prędzej, kończyć z tą kąpielą.

— Już was tu niema, prędzej, już was tu niema, — poganiały wzdłuż niegotowych szeregów ostre głosy.

Drobny popłoch wywracał liście sąsiedniej wikliny białą podszewką do góry. Migwały, jakoby wystraszone, w szumie trawy, która pospołu z długim blaskiem wydała z siebie nagle szum posuwisty. Błąkał się,

tracił na wydmach, a oto już gałęzie wszystkich drzew zaczesał w jedną stronę.

Nad kopułami cerkwi mignęła pierwsza błyskawica. Kapral służbowy zameldował sierżantowi, że kompanja gotowa czeka.

— Odprowadzić do koszar, przyjdę później! — Trepka nie zważał teraz na kompanję. Bystremi oczami wypatrzył na brzegu, w załomie piasków i w klin coś niezwykłego...

Miedzy dwiema kupkami ubrań, na podobieństwo handlarza, który cierpliwie kiwa się wśród towaru — siedział Rostowicz, — nieposłuszny komendzie! Zawsze dotąd wierny, potulny, teraz odłączający się samowolnie od kompanji!

Twarz Treпки zwęziła się, przyjmując podobieństwo ptasiej głowy. Chrząknął, — niesamowita flegma zatkła mu gardło. Jął zstępować przez trawę, ku rzece, — w stronę brunatnych, czarnym włosem zjeżonych pleców Rostowicza.

W kierunku — prosto na plecy i chwiejącą się nad niemi czarną, kudłatą głowę. Sieżant patrzył tak ostro, tak ściśle, że mu powieki nie drgnęły ani w blasku błyskawic, ani w pierwszym huku pioruna, który z strasliwym rozgłosem pędził po wzdętej wodzie.

Coś się miotало na rzece, machając ramionami. Już to spostrzegł Trepka, litość go zdjęła, już miał biec na ratunek, — gdy kosmate plecy Rostowicza wyskoczyły w górę. Szalony gwałt targał postacią rekruta, aż nagle pęd się z niej wywiązał, czarną głową przeciw wichrowi, przez kurzawę ciężkich kropel i piachu.

Sierżant szedł spokojnie na spotkanie. Właśnie stanął na długiej belce, na której zazwyczaj czuwał podoficerski dyżur kąpieli, gdy Rostowicz dopadł deski i ślepy, szlochający, śmierzdzący przerażeniem, szarpać ją począł ku sobie.

— Co jest? — krzyknął Trepka kilkakroć, nim zdołał przekrzyć skowyt rekruta i rozgłos coraz gęstszych piorunów.

Rostowicz runął mu do nóg.

— Topi się, — czekał, — topi, topi!! Topi!!! — Wił się na belce, stawał na czworaki, znów padał w piach, okrwawionymi zębami gryzł wyłamane kanty, szarpał belkę sierżantowi z pod nóg.

— A tyś czemu rozkazu nie posłuchał? — zgrzytnął Trepka.

— Rozkaz, rozkaz, — wył Rostowicz.

— A tyś czemu rozkazu nie posłuchał, — trzasnęło z ust Trepki mocno, jakby ktoś karabin repetował.

Bronzowy, czarnymi włosiskami zjeżony grzbiet dzikusa uniósł się. Z pod skulonych bark wyrzała twarz, pogięta, nigdzie nieobecna, we wszystkich kierunkach gromadą skurczów spływająca, zalana łzami.

— Panie sierżancie! Topi się... Deskę!!

— A tyś czemu...

— Panie sierżancie — wstyd! Sitwa!! Moja sitwa!! Deskę! — Tfu! Stary sierżant — boi się! Tfu! Tfu! Takie bitwy opowiada — tchórz! Trus! Tchórz!

Było już za późno. Jedna pięść Trepki spadła na pogięte czoło rekruta, druga naodlew w szczękę. Rostowicz padł, — przycichł. Ale nie czując nowych ciosów, skurczył się, drapieżnym susem skoczył Trepce

do gardła. Runęli na ziemię, splątani w jeden kłęb, rozwrzeszczany w huku piorunów, śliski od potoków ulewy, to siny w mroku, to złoty w blasku błyskawic.

Rostowicz wywinął się z uścisków, po piachu, na czworakach, dobiegł do rzeki, przerażeniem spojrzaniem omiótł mętne fale i, wyjąc wniebogłosy, popędził w stronę koszar. Półnagi, w porwanych gatkach, przeleciał przez łąki, runął na kopiec siana. Z krzykiem nieludzkim wytarzał się, i pędził dalej — do koszar.

Warta nie zdążyła wystąpić z budy, niezatrzymany gnał oślep kamiennymi ulicami wzdłuż budynków. Półnagi, z sianem w zwichrzonych włosach, potarty piachem i ziemią, wpadł do oficerskiego kasyna, gdyśmy jedli podwieczorek.

Wszczął się rumor w przedpokoju. Rumor, krzyki, uderzenia. Kucharze, ordynansi, jacyś na coś wiecznie w kasynie czekający żołnierze zastąpili mu drogę. Roztrącił ich samym rozpędem.

Zerwaliśmy się od stołów, gdy wpadł na środek jadalni. Zapanowała grobowa cisza. Słyszać było za oknami dobitnie plusk ulewy, od strony kuchen ni knący trwożnie brzęk naczyń.

Rostowicz sprawy sobie nie zdawał, gdzie się znajduje i co robi. Kwilił do samego siebie wątłym, tajemniczym głosikiem dziecka i drżące pięście pchał usilnie w zamknięte oczodoły.

— Z którego to bataljonu człowiek? Z której kompani? — rozległ się wspaniały, namaszczone głos naszego pułkownika.

Nie zdążyliśmy zbliżyć się do nagusa, gdy przełamało się w nim. — Jak z topielców woda, tak właśnie chlustać jęły z obrzękłych ust słowa nieznane, różnojęzyczne, niewiadomo gdzie, skąd, jak pozbierane, polskie, rosyjskie, tatarskie, po dwa, po trzy, haustami, pryskiem, krótką, gwałtowną strugą.

Jak zawsze niema w takich razach nad naszego dowódcę kompanji, Lenia. Powrócił do stołu spokojnie, nalał kawy do filiżanki i podał ją Rostowiczowi.

— Napijcie się.

Rekrut pił chciwie, dokładnie. Zwierzęta tak piją, — ustami, gardłem, rozszerzeniem żrenic, zmarszczką czoła i twardym spokojem grzbietu. Wypiwszy, ustawił filiżankę obok siebie na podłodze, przyjął postawę zasadniczą i zaczął: — Ja melduję...

Nie mógł dokończyć, łzy popłynęły mu z oczu.

— Pytam, z której to kompanji żołnierz? — rozległ się znów czcigodny głos naszego podpułkownika.

— Z mojej kompanji, — odpowiedział usłużnie Leń. — Rekrut Rostowicz.

— Niech mówi.

Z porwanych płaczem, przemoczonych słów mieliśmy się dowiedzieć o zajściu. Ale właściwie niczegośmy się nie dowiedzieli. Rostowicz plótł niezrozumiałe o sitwie. — Czekaj, aż się Bylewski wykąpie. Pilnował jego rzeczy.

— Ja rekrut, onże stary chrabry żołnierz, Bylewski! No potem!...

Słowa się rozleciały, a z uniesionych piersi rwał na całą salę suchy skowyt.

— Sierżant Trepka!... — Rostowicz sto razy do-

chodził w opowiadaniu do sierżanta Trepki, tu tracił się, gubił i zaczynał krzyczeć.

Wtem żołnierze skupieni w drzwiach rozstąpili się i wszedł zmoczony, oślizgły, jakby dwa razy cieńszy sierżant Trepka. Zatrzymawszy się po prawej stronie, stuknął obcasami i czekał.

— Co on gada? — spytał cierpliwie Leń, — co on gada, sierżancie, o was, o Bylewskim?

Rostowicz drżał na całym cielem, podczas gdy Trepka wedle wszystkich przepisów krótko i zwięźle meldował o zdarzeniu.

— Jako że nastąpiła niesubordynacja, nie w drodze służbowej, a czynnie na miejscu przeze mnie ukarana. Przyczem utonął w rzece żołnierz Bylewski. Dopłynąłem, trupa wydobyłem. Leży na brzegu. Wyśłałem po niego sanitariuszy. W mundurze Bylewskiego były listy.

Trepka podał Leniowi małą, niebieską kopertę i zakończył, że się z Rostowiczem melduje do raportu.

Na całą kompanję padł od tego wydarzenia urok tak osobliwy, że przyćmił śmierć Bylewskiego a nawet całą uroczystość pogrzebową.

Wydarzyła się przecie rzecz niezwykła! Rekrut, widząc tonącego kolegę, skoczył o ratunek do starego, dzielnego sierżanta, a ten zamiast pomóc, dał rekrutowi po zębach.

Można było, jako łagodzącą okoliczność uważać, że Bylewski popełnił samobójstwo. List w niebieskiej kopercie mówił o tem wyraźnie i musiały w nim być bardzo służbowe dane, skoro ten „prywatny“ papierek załączono do aktów kancelarii pułku.

Z drugiej jednak strony samobójcy często cieszą się „kiedy ich wyratować” i gdyby Trepka, zamiast bić dzielnego Rostowicza w zęby, skoczył „razem”, — to możeby się teraz z biednym Bylewskim piło kawę „jakby nigdy nic”?

Sprawa gmatwała się tem bardziej, że w kompanii wiedziano o „złości”, jaka jest między sierżantem a rekrutem. A przecież „z czwartej strony” Trepka „zupełną świnią” też nie był, bo dawszy w zęby, popłynął przecie potem w czasie burzy, a że już wylókł z wody tylko trupa, to nie jego wina. Ostatecznie, „jakby co do czego”, to także mógł się utopić!...

Żołnierze szukali Rostowicza, chcieli się „jeszcze raz” wszystkiego dowiedzieć. Nie można było wyciągnąć ani jednego słowa. Siedział skulony na tapczanie i drżał, jak chore psy, każdym włóknem trzęsącej się postaci. Starano się go przekupić. Koledzy nanieśli chleba, kielbasy, papierosów, kawy.

Przez pewien czas stały te dary nienaruszone. Nakoniec Rostowicz zdecydował się, pracowicie pojadł przysmaki, papierosy schował „na głowę” do czapki, której nigdy nie zdejmował, wydudlił kawę — i uciekł.

Goniono za nim po wszystkich strychach, piwnicach — napróżno. Jedni bali się, że sobie w nocy życie odbierze, drudzy, że zakradnie się do podoficerskiej izby i zadusi Trepkę. Uspokoiła o świcie wszystkich zmiana warty, twierdząc, że Rostowicz siedzi przy zwłokach Bylewskiego.

— Co robi?

— Siedzi.

— Gdzie?

— W kaplicy pułkowej.

Rano wrócił i wesoły, uśmiechnięty zgłosił się do robienia trumny, — jako dobry stolarz. Chodziliśmy go oglądać przy robocie, żeby nie wyczynił jakiegoś kawału, tem bardziej, że pogrzeb, o którym wiedziało już całe miasteczko, miał się odbyć tego samego dnia, nad wieczorem.

— Co za dziwne bydlę, — dziwili się żołnierze, wzruszając ramionami.

Istotnie bowiem, przy tej osobliwego gatunku „stolarskiej” robocie Rostowicz nie tylko nie okazywał żadnego smutku, ale jaśniał radością. Skrzętnie obcinał deski, łątał, żeby nigdzie żadnej szpary nie było i nawet nucił coś, huśtając wargami pęk gwoździ, przyskrzyniony w zębach. On, — taki zawsze zgodliwy i powolny, nie mógł się przy tej robocie pogodzić z drugim rekruckim pomocnikiem i tak się rzucał, wydziwiał, — aż został sam.

W czasie obiadu odeszli wszyscy widzowie. Rostowicz czekał, póki nie znikną za węglem budynku, — całą tę stolarkę wykonywało się z tyłu za kuchniami pułkowymi. Odczekawszy, cisnął daleko piłę i, żując gwoździe w zębach, siadł na dnie trumny.

Jak gdyby czekał tu na coś. Gdy nie przychodziło, położył się i wyciągnął na deskach, oczy utkwivszy w niebo.

— No i co?... — rozległ się twardy głos w pobliżu.

Rekrut siadł, gwoździe wypadły mu z ust. Przy wieku stał sierżant Trepka.

Południe lało żarem po niebie, cisza iskrzyła się

na piaskach. Patrzyli, oczu wzajem nie mogąc ode-
rwać.

Rostowicz powstał wreszcie, w żrenicach rozplynął
mu się fiolet służbowej wierności: — Pan sierżant
dobrą szkołę daje! — No, — tylko...

Trepka trwał bez ruchu w starym, zwietrzałym
mundurze, jak ulany z ołowiu. Nie spuszczać oczu
z ciemnych dołów na pogiętem czole żołnierza, —
widzisz, Rostowicz, z pięściami skaczesz na sierżanta!
I wiesz co? I teraz jesteś dopiero człowiekiem dla
mnie!

— No, tylko, — wypsnęło się z grubych warg Ro-
stowicza.

— No co? — podchwycił sierżant niecierpliwie.

— No, — Rostowicz zachłysnął się rzewnym za-
chwytem, — no, ty mu jednej deski pożalował, a ja
mu dziesięć daję!

Trepka pociągnął wzdłuż rekruta i wpoprzek
trumny krzyżem wzdargliwego spojrzenia, wzruszył
ramionami, ręce wsadził do kieszeni luźnych portek. —
I odszedł.

Popołudniu kupą już doglądaliśmy roboty. Przy-
znać trzeba, że Rostowicz wykonał rzecz sumiennie
i na czas.

O godzinie szóstej, jak to było powiedziane w od-
prawie i w miasteczku ogłoszone, ruszyliśmy poważ-
nym krokiem z koszar, bitą drogą przez las, na most,
mimo szyldwachów niemieckich. Orkiestra grała na-
szego ulubionego marsza żałobnego, różany blask
wieczoru przydawał dźwiękom brzmienia, siejąc je
przez wysokie, pełne ptaków powietrze, przez nie-

bieską wodę rzeki i pnie spławem idące stąd, na obcą,
daleką służbę.

Za mostem dopiero, — bo Niemcy nie dawali cy-
wilom przechodzić bez przepustek, — czekała na nas
ludność. Świecki ksiądz przyłączył się do naszego ka-
pelana. Tu, na wóz, z śmiercią Bylewskiego przez
siwki bataljonowe ciągnioną, rzuciła polne kwiaty
szkółka męska i żeńska. Potem nauczycielki parasol-
kami sprawiły szyki dziecięce. Ludność ustawiła się
ztyłu i tak, niby pod perlistą wstęgą, pod pasmem
rubinowych chmurek, naukos niebo przepasujących,
doszliśmy na stary cmentarz.

Ani tu, ani podczas drogi, ani podczas modlenia,
śpiewania, kropienia w szumie cmentarnego gąsz-
czu nikt właściwie nie myślał o Bylewskim. Gorącz-
kowała nas „sprawa“, z jaką jutro staną do ra-
portu.

To też, gdy po całym obrzędzie wyskoczył na ol-
chowe gałęzie, dokoła krzyża wzdłuż świeżej mogiły
rozesłane, Rostowicz i gdy wrzasnął, bijąc się w piersi, —
moja sitwa!!! — żołnierze usta mu zatkali.

Powstało z tego na grobie wielkie wymachiwanie,
rwetes, awantura.

— Jutro będziesz gadał, przy raporcie! Przy puł-
kowym raporcie, nie tu, — rozumiesz?!

Raport odbywał się za dowództwem pułku, przed
składem papy i bębnow kolczastego drutu, które za-
ścielały całe pole, uniemożliwiając dojście niepożąda-
nym świadkom od strony koszar.

Ja byłem z ramienia naszej kompanji, Leń zastępo-
wał dowódcę bataljonu. Czekaliśmy przed gmachem

dowództwa na jakimś murku, znużeni spiekotą i całą tą sprawą.

— Tak, nieprzyjemna rzecz, — machał Leń lakierowanymi cholewami nad pokrzywą.

Trepka milczał, śmiało patrząc w oczy wychodzącym z kancelarii, jakby siwemi źrenicami zaświadczał: patrzcie, to ja, stary sierżant, stoję do raportu za tchórzostwo.

Rostowicz nie zachowywał się tak pewnie. Nie przedstawiał wilgotnych rąk ocierać o spodnie, twarz szklila mu się, powieki opadały ciągle, jakby w nieprzeparowanym pożądaniu snu. Robił ciężko płucami. Przy każdym wydechu z półotwartych ust wysuwała mu się przeżuta słomka, niczem skręcony, złoty płomycek.

Leń wrócił z kancelarii i obwieścił winnym służbowo, że stawać będą po raporcie ogólnym.

— Rozkaz, — odpowiedział Trepka.

Rostowicz spuścił powieki i długo trwał z zamkniętymi oczyma.

Odbyliśmy wszystkie ceremonie, ukłony, oświadczenia i w trójkacie murów, zamkniętych drutem kolczastym, znaleźli się nareszcie winni, wobec spokojnego majestatu samego pana pułkownika.

Długo stał przed nimi, lustrując twarze. Oczy władzy szły przez czoła, spadały szczelnym naciskiem na brwi, na oczy, na usta, na brody, przez szyje, piersi, klamry pasów aż do stóp, — poczem błyskawicznie uniesione spojrzenie zatoneło w źrenicach obudwu żołnierzy.

— Mówcie, sierżancie Trepka, — zakończył tę straszną chwilę podpułkownik.

Postać sierżanta okrzepła w kamiennej martwocie. Mówił dobitnie, lecz pomieranie, ruszając wargami ani dłużej, ani krócej, oddany najwłaściwшему wykonaniu czynności. Powtarzał jota w jotę, co w kasynie.

— Nastąpiła niesubordynacja, czynnie przeze mnie na miejscu ukarana.

Podpułkownik wyciągnął się sztywno wgórze, — Rostowicz, rozelśniony nagłym uśmiechem, wyrzucił dłonie naprzód.

— Stać! — osadził dowódca. — Pokolei. To nie jarmark!

— No i co jeszcze macie do powiedzenia, sierżancie?

— Nic, panie pułkowniku. Mogę tylko powtórzyć, — nastąpiła niesubordynacja, czynnie przeze mnie na miejscu ukarana.

— Nie trzeba powtarzać. — Pułkownik zachmurzył się. — Teraz wy, Rostowicz! Co macie do powiedzenia?

— Ja?...

— No tak, wy, rekrut Rostowicz.

— Ja, — do powiedzenia? — Ja nie wiem!

— Nic nie wiecie o tem wydarzeniu?

Góry namysłu spiętrzyły się na pogiętem czole żołnierza. — Ja sitwa, — zaśpiewał cieniutko.

— Człowieku, — rzekł serdecznie pułkownik, — pytam was o wydarzenie?! Jakże to było?

Wówczas Rostowicz, nie odwracając prawie głowy, skosem utkwiał wzrok w stalowych oczach Treпки. Patrzyli na siebie długo, zda się wzajemnie wzrokiem poparzeni, — drżący z nadmiernego wysiłku.

Zatrzymany w piersiach dech wyprzął się z ust

Rostowicza i, zmarszczony rzewnością, znikł w słońcu. Oczy przepełniła fioletowa „wierność“. Na szczeciniawatych brwiach perlił się pot.

— Sitwa, — zaczął Rostowicz, — kładąc to słowo ciężko na początku przemówienia, niby próg, mający gdzieś znacznie dalej prowadzić. Siny jak bębny kolczastych drutów, wpatrzony wiernie w sierżanta, zeznawał słowo po słowie, ciężką, nieskładną logiką, — przeciw sobie...

— Ja skakał z pięściami, z zębami, z pazurem na sierżanta. Na pana sierżanta... Tak było... ja gryzł...

— A czemużto skakaliście z pięściami na swego sierżanta?

Trepce żyły wystąpiły na skronie, grdyka jęła chodzić, głośno pracować.

— Ja skoczyłem na swego sierżanta... — Rostowicz umilkł. Odał się, spuchł od ciężkiego namysłu. — Skoczyłem na swego sierżanta, bo stał na belce.

— Bo stał na belce? — Przenikliwy śmiech podpułkownika frunął aż ku żółtym mleczom, kwitnącym za kolczastymi drutami. — Ładna historia! No to, jeżeli jutro mnie zobaczycie na belce, też z pazurami skoczycie?

— Nie, panie pułkowniku.

— Więc?

Rostowicz utkwiał wierne spojrzenie w zaostzonych rysach Trepki.

— Nacóż wam była potrzebna ta belka?...

— Naco była potrzebna? Nie wiem...

— Nacóż wam była potrzebna ta belka, pytam raz jeszcze! — krzyknął pułkownik.

Z milczenia podsądnych jęła wyrastać przestronna cisza, mierzona u brzegu biciem spłoszonych serc.

Naraz w piersiach sierżanta jęło się coś przenosić z miejsca na miejsce. Jak gdyby ciężkie złomy uderzały o siebie, niecąc syk rozbijanej głębi... Zaciśnięte wargi pękły i z twardych zakamarków podoficerskiej figury buchnął krzyk: — Panie pułkowniku, tchórzostwa nie było! Do rzeki wskoczyłem, topielca wydostałem! Niesubordynacja! Czynn timer — na miejscu — przeze mnie ukarana!...

Rostowicz ucieszył się tym słowom niepomiernie. Rzekłbyś, pokorny pies przednimi łapami służący, podniósł ręce na wysokość piersi i, wachlując powietrze: — Pan sierżant popłynął, ratował... Pan sierżant płynął, ratował...

Trepkę zmieło od stóp do głów. Gwałtownym rzutem ramienia objął Rostowicza, przyciągnął ku sobie i tak złączony, z zamkniętymi oczyma krzyczał na całe gardło: — Wyznaję, kiedym temu rekrutowi po zębach dawał, — widziałem... Widziałem, panie pułkowniku, że tam ktoś w rzece tonie!

Rekrut, blady jak ściana, wymachiwał przecząco rękami. Ale te ręce kosmate zacisnął w swoich sierżanta, do piersi je sobie przyłożył i wrzeszczał: — Widziałem, że tam tonie!

Dowódca popuścił wszystkim szwom munduru, przyćmił spojrzenie, odszedł w głąb mądrości swej na naradę. Poczem jął mówić, zrazu obojętnie, przedmiotowo, potem coraz czulej i gęściej o sitwie, o przyjaźni żołnierskiej, ale też o czci i obowiązkach wzglę-

dem sierżanta, który, chociaż cudzego życia nie dopilnował, to przecie własnego też nie szczędził.

Już się miał Rostowicz do onej czci miękko, jak ślimak do muszli przymierzyć, już przycichł, zmalął, gdy mowa dowódcy krzepnąć jąła i grubieć.

Tchu mogło zabraknąć od tej spartej gęstości!

Nagle, gęstość pęka, sypią się z niej pioruny twarde, szczerbionych pośpiechem słów na głowę sierżanta.

Jeszcze twardsze, ostrzejsze!

Rostowicz wyciąga rękę, — już jest przekreślona ta ręka, pułkownik miota gromy.

Rostowicz płacze białemi, dziecinnemi łzami, pułkownik tego nie widzi.

Rostowicz krzyczy nagle, — on praw, nasz sierżant!!!

Pułkownik pali snopem ognistego spojrzenia.

Wtedy rekrut zmylony, spłoszony, szarpnął się, skoczył na druty i tu, niby zwierzyna w sieć uplątana, wył. Pułkownik, nie przerywając raportu a tylko odwróciwszy się od wyprostowanego, jak struna sierżanta, kazał ordynansom — wyciągnąć tego dzikiego człowieka z bębnow.

— Hola! Wyciągnijcie z drutów tego dzikusa!

Po wielu dniach odbytej kary wrócił sierżant Trepka do kompanji i objął obowiązki służbowe.

Dziś pierwszy raz idziemy znów razem na ćwiczenia.

Nie odzywam się, nie przeszkadzam. Stoję pod drzewem koszarowego podwórza, opieram plecy o rozkwitłą gałąź i w ciszy rannego słońca podziwiam, jak Trepka „sprawia“ oddział.

Powiedzieć, że każdy ruch, najmniejszy gest, każde drgnienie odbywa się w myśl przepisu, — to mało. To — krzywda! Przepis jest płochą igraszką wobec tego, co robi Trepka.

Działa on w myśl nadziemskiej niejako, przedwiecznej harmonji postępowania sierżanckiego.

Żołnierze patrzą, słuchają i napawają się tą doskonałością.

Rostowicz modli się poprostu oczami.

Trepka stanął na miejscu, z którego będzie komenderować, ale które dotąd, póki sierżant milczy, jest jeszcze zwykłym, znikomem miejscem ziemskim. Nabiera ono stopniowo powagi, w miarę jak Trepka przeciera w sobie chrypę i rozgania zakrzepłe śluzu.

Jeszcze ta kępka udeptanej trawy może się minąć z powagą szanownego swego losu. Sierżant odwrócił się nieco i uznał za konieczne splunąć poza siebie.

Lecz teraz już za późno, — kępka przechodzi do

historji! Trepka stoi na niej, zakrzepł sam w sobie, trwa nieporuszony. Jego stalowe oczy już naprzód świecą jasnością rozkazu, podczas gdy usta nie za głośno, nie za cicho z pomiernym żwirem srogości w nieodwołalnym głosie rzucają przez słońce ku wytrawnemu rzędowni starych mundurów właściwą komendę.

Szereg ją wykonywuje bez reszty, do dna, przepelniając nawet gotowością granice posłuchu.

Jeżeliby coś drgnęło w niewłaściwym miejscu i czasie, oczy sierżanta Trepki zaszyłyby „białą blachą pogardy“. Na to się nikt nie chce narazić, bo nikt tego nie zdoła znieść.

Na szczęście oczy sierżanta Trepki nie zachodzą „blachą“. Raz wraz połyska w nich rozkaz, gromem walący się z ust.

Chwila jest bardzo ważna. Po tylu dniach niepowetowanej rozłąki obejmuje sierżant swój oddział. Po tylu wiekach sierocych wraca oddział w ręce swego szefa.

Głos Trepki śmiga, jak rzemień, podczas gdy ostre, nieruchome uszy próbują doświadczonych ech.

Echa też okazują posłuszeństwo. Ani jedno nie zawodzi.

W porę odkrzyknęło cieniste powietrze z pod sosen kwitnących w drugim kącie podwórza. W porę wytrysnął odgłos z pod kupy śmieci, zwalonych obok warsztatów. I w porę, gdy już kompanja twardym krokiem z pod koszar ruszała, wypełniły się otwarte rzędy okien hukiem ostatniego rozkazu.

Wyszedłszy za obejście koszar, zawahaliśmy się nie-

znacznie. Czy w lewo bierzemy na plac ćwiczeń, — czy w prawo, ku rzece?

Widać ją było stąd, z rostaju. Niespodziane podmuchy marszczyły gładką fałę łąk, pędząc złote kule z białych ławic piasku.

— Nad rzekąby był przewiew, — pokwapił się Trepka.

— Dobrze. Chodźmy nad rzekę.

Sierżant odchrząknął i, jakby zawstydzony, rzekł skromnie: — Można powiedzieć, że nasza kompanja to same tygrysy.

Mijałszy zagajnik. Nowe szyszki kwitły na gałęziach złotymi płomykami, świetlista łuska Narwi drżała z za sosnowych igieł nieprzerwanym blaskiem przepływu.

Na łąkach obraliśmy miejsce i rozpoczęliśmy ćwiczenia.

Trepka pracował, — mówi się u nas, — jak anioł.

Podzieliwszy oddział na grupy i sekcje, do każdej przystąpił, każdą drobiazgowo pouczył. Żadnych żartów, czułości po tak długiej rozłące. Wiedzano przecie, że karę odbywał za tego Bylewskiego, — wie-
dział Trepka, że wiedzą...

Żadnych z kompanją fochów miłosnych, ale jakby się witał z każdym ruchem szeregowej służby, wzorowo przerabiając, na pokaz, przed temi oto gębami wybałuszonymi, przed rzeką, — światłem, — słońcem.

Łąka zdawała się jęczeć od obrotów oddziału. Górażco płynęło z nieba, rozczłonkowane tempa ruchów zgrzytały cicho przez powietrze.

Oznajmiam sierżantowi, że jeszcze piętnaście minut „tej zabawy“ i schodzimy z placu.

— No to sobie damy, — odpowiada, — trochę musztry w marszu, na zakończenie.

Kompanja chodzi gładko, jak pod sznurek, — Trepka krzyczy za szeregiem, aż mu żyły nabiegły na szyi a nos się okrył potem.

— To nie jest to, panie poruczniku! Nie tak moje tygrysy biegały dwa tygodnie temu. — Trepka uszy nastawił i słucha.

Szaro-niebieski grzebień maszeruje równiutko. Nogi żołnierzy, to jego zgodnie wystawiane zęby.

Już się zmienił w grubą gąsienicę. Zadrzała i znów skacze szary płot dwurzędu. Cień mu się poddaje, zabiegając z ukosa, wezbranym rytmem, świszcząc, dyszy trawa.

Nagle, ów płot na jedno drgnienie ugiął się, zadrżał i rozstał.

Trepka, dla niepoznaki przełknął wstydliwie powietrze.

Wracają, — znów w tem samym miejscu, zaraz koło jaskrów i splątanej seradeli szpara się w szeregu wyłamała i dopiero po sekundzie zrosła.

— Czucie, — krycie, — ryczy z pod dachu czapki rozgniewany sierżant. — Bo „mogą“, „blisko już mają“ a nie zrobią dobrze tylko „przez to“, że nie chcą.

Wracają, — znów to samo.

Szedł sobie dwurząd doskonale, — u nas się mówi poprostu, — jak anioł. Szedł sobie, miał blisko do doskonałości. Koło seradeli, której nie było więcej, niż krowie raz do gęby, i onych małych jaskrów, znów zadrzało i pękło...

Dopiero po sekundzie znów się linja zrasta.

— Cholera, panie poruczniku!

Nic więcej Trepka nie powiedział, bo na taki wstyd starych tygrysów szkoda mu było więcej słów. Puścił się biegiem ku onemu miejscu grzesznemu na łące. Dobiegł i tu — niby kulą w brzuch trafiony, kucnął nagle.

Kucnął, na czworaka przycupnął, głowę wysunął ku trawie.

Jak pies.

Mało tego. On, wzór porządku oraz „zachowania“, ni z tego ni z owego macha sobie na mnie ręką.

Mało tego. Macha i woła zapraszająco: — Panie poruczniku, panie poruczniku.

Podszedłem, — bo rzeczą starszego przebaczać młodszemu, oraz, aby zbadać przyczynę tak niezwykłego zachowania się wypróbowanej szarży.

Tuż przed brunatnymi łapskami sierżanta, w rozgięciu niskiej trawy, jakby wirował wkoło na tem samym miejscu wąski pasek tęczy.

Mniej, niż tęczy!

Szczuplutki skrawek mgły, niewiadomo jakim cudem przedziwnym dotąd wśród słońca spiekoty zachowany na łące.

Nad tym przezroczystym obłoczkiem, niby w koszyczek uplecionym, wyciągnęły się grube dłonie Trepki.

— Tu gniazdo ma! Tu ma gniazdo!!

Przykucnąłem.

Było to małe gniazdo ptasie.

— On se to zbiera, — dyszał Trepka, — jak mu się trafi, z futerka zajęczego, z pajęczyny. I ze starego paździoru. Z pylin, — puchów. Z niczego.

— Kto? — spytałem.

— Ano właśnie, jak on się nazywa, jeżeli mi z głowy nie wypadło...

Tym samym rozumem niewiedzącym dyszeliśmy pilnie nad przezroczystą srebrzystą cembrowinką gniazda.

— Panie poruczniku! — trącił mnie Trepka łokciem.

— Co jest?

— To będzie chróściel, — zakipiał sierżant tajemniczym szeptem. — Tu samka jajka wysiaduje. A on się lubi wody trzymać. Żółty, mały ptaszek. Żeby tak bardzo latał, to nie powiem. Więcej gania, jak mysz między trawami. Albo na jakim źdźble się powiesi i buja sobie.

Chrzęszcząc rynsztunkiem dyszeliśmy nad gniazdem, które spało głęboko, przysłoniwszy białemi powiekami skorupkę przyszłość niepewną.

— Tego chróściela w naszych stronach tyle razy goniłem, — sierżant urwał...

Chwyciliśmy się za ręce, by nie stracić równowagi. Tuż nad nami lśniły błyszczące nosy żelazem wykładanych kolb. O dwa kroki maszerował w miejscu dwurząd kompanji a czerwone gęby żołnierzy rozciągały się od ucha do ucha w niemyym śmiechu.

NA FORCIE.
(PO WSZYSTKIEM)

Stało się dzisiaj w pułku coś, czego się nikt nie spodziewał, ani nie przewidywał.

Po skończonych zajęciach, jak zwykle w sobotę, siedliśmy wesoło do obiadu z miłą nadzieją dalekiej przejażdżki konnej. Znaczna część bataljonowych wierzchowców już „przed zupą“ czekała pod kasynem, w cieniu rozkwitłej lipy. Dzień był słoneczny, z łąk wiało zielonym zapachem, niewysłowiona świeżość rozścielała się w ogromie czystego nieba.

Między drugim daniem a trzecim, jak zwykle w sobotę, przyjechała z odległej stacji poczta.

Listy, listy, — cały świat utęskniony na małym skraweczku papieru!

Listy, — koledzy z urlopów wracający, — nowiny.

— Jakiś kapitan czeka w bryczce na dole. — Ordynans naszego kasyna, ciężki przygłupi Kubik, podał pułkownikowi bilet w spēkanych łapskach.

Pułkownik przeczytał, zaczerwienił się, krzyknął, — moi panowie, nasz Wacek żyje! — i rzucił na stół wizytówkę.

Schwyciliśmy ją, przeczytali i tłumnie, ogarnawszy po drodze pułkownika, wyskoczyliśmy na balkon.

Pod lipą, w bryczce pułkowej siedział Wacek, dawno już przez nas wszystkich sownie opłakany.

Razem, cały korpus oficerski pułku, krzyczeliśmy do niego, aż echo na dalekiej rzece brzmiało. Nic nie

mówił, nie odpowiadał, jeno patrzył pod górę na pochylone ku sobie twarze i śmiał się.

Ale nie był to przecie śmiech tylko. Z rozwartych szeroko oczu płynęły mu łzy, na czole łamało się światło błyskami drżącego wzruszenia.

Z honorem i paradą wprowadziliśmy gościa do jadalni. Tu, na progu, pułkownik pocałował go uroczyście w czoło. Potem my, jeden za drugim, nużę ścisnąć, miętosić.

Poddawał się i biernie nastawiał ciężkozrotnym kadłubem. Waliliśmy go po łopatkach, więcej w tej chwili żądając ognia i wylania. Nie mógł nas brać w ramiona, ani się odpłacać, jak serce dyktowało. W niewoli, w szpitalach tamecznych obcięto mu lewą nogę i prawą rękę aż za przedramię.

— A na jakichże teraz kulasach tutaj stoisz, człowieku? — krzyczał Kujon.

Wacek śmiał się, dumny, żeśmy się odrazu nie spostrzegli.

Szczegółowe oględziny stwierdziły, że istotnie lewą nogę w zaprasowanym spodniu ma sztuczną. Obmacaliśmy ją rzetelnie wzdłuż i w poprzek, w kolanie, w łydce i przy biodrze.

— Nie byle co, panowie, nie żaden flak, ciało, czy też gnat, ale noga naukowa, — rozczulał się Kujon. — I drogie toto musi być? Pewno z platyny! Masz, bracie, chleb zapewniony do końca życia!

Naukowa noga działała prawie jak żywa.

Wacek kroczył tam i z powrotem, my zaś, rozstępując się, badaliśmy „sposób działania“.

— Owszem, owszem, — cieszył się nasz kapitan, —

hrabskiego dygu dodaje ci w chodzeniu. Nawet, zdaje się, cmoka?

Wacek nie był zadowolony z cmokania.

Orzekliśmy jednak, że to jest tylko kwestją gustu. Jeden będzie właśnie przepadać za cmokaniem, drugi je znienawidzi, — tych rzeczy nie można brać „zanadto ściśle“.

Zbadawszy nogę, przeszliśmy do ręki. Sprawa ta była o wiele zawilsza.

Primo: Czy można dać komuś w gębę taką ręką i czy ewentualnie zalicza się to do obrazy honorowej?

Secundo: Czy podanie, lub niepodanie takiej „gumelastyki“ może stanowić obrazę, a jeżeli stanowi, to którego stopnia?

Oglądnęliśmy przytem sam przedmiot, wyrobiony, jak cacko.

— Tak, tak, są jeszcze na świecie tokarze, — westchnął nasz zbrojmistrz.

— Międzynarodowy Krzyż, — chwalił się Wacek zapalczywie, — nie miałbyci tokarzy?! Masz pojęcie, co to za potęga?!

Uścisnęliśmy Wacka, teraz znów bardzo delikatnie, podtrzymując, podpierając, równoważąc, niby nadłamaną zabawkę. Twierdził, że przesadzamy. Nie może oczywiście warjować, ale swobodę ruchów przeciętnego człowieka — ma.

Na dowód, — między szpalerem wyczynionym z całego korpusu przeszedł ceremonjalnie do stołu i, cmoknąwszy zaprasowanym spodniem, usiadł do stołajnie.

— Nawet sobie fatygi oszczędzisz, — głaskał go Kujon

po głowie, — zamiast ustami cmokniesz przy stole nogą i masz, jak znalazł.

Wacek nie podtrzymywał już tych żartów, bezpo dzielnie oddany zupie. Łykał ją, czerpał, chłonał, niby pielgrzym spragniony u źródła. W połowie talerza podniósł łyżkę do góry i z oczyma łez pełnemi solennie wykrzyknął: — Przez Finlandję na Szwecję i Szwajcarję nas odstawiali. Morze człowiek widział, góry, pałace! Szpitale, jak świątynie! Alem, panie pułkowniku, wiedział, że takiej zupy drugiej na całym świecie nie zjem!

Wzruszeni serdecznie, przepiliśmy raz jeszcze.

— Zupy takiej nie zjesz nigdzie i tak twardego mięsa nigdzie ci nie dadzą!

Chcieliśmy pomóc pokrajać mu to łyko, ale okazało się, że umiał sobie radzić. Jadł zręcznie, zmysłnie, szachrując kikutem tak przebiegle, że na pierwszy rzut oka trudno było poznać kalekę.

Nasz pocziwy idjota Kubik, nie mogąc się wydziwić tym sztukom, stanął z otwartą gębą przy krześle i wybałuszonymi oczyma patrzył, jak na popis cyrkowy.

Pokładaliśmy się ze śmiechu, Kubik bowiem mimowoli powtarzał manewry kikuta.

Dopiero przy czarnej kawie pułkownik uznał, że dość już wszelkich igraszek i że pragniemy wysłuchać Odysei naszego bohatera.

Wacek zaczął sumiennie od samego początku, kiedy padł ranny, — potem ziemia go przysypała. Jak go znaleźli, oczywiście obrabowali. Jak potem byłby umarł, gdyby nie jakaś siostra, Polka, w jakimś za kazyńm szpitalu.

Długa, znana, zawsze ta sama historia.

Jak potem przyszło do wymiany. Jak mu się udało poszachrować z nazwiskiem, zdobyć papiery jakiegoś znacznego umrzyka za parę groszy. I potem jakjechał do kraju i co o nas mówią na świecie. Właściwie nic nie mówią. — I jak wszystko zastał po półtora roku. Tyle się wszędzie zmieniło. Wszędzie — wszystko. Tylko tu u nas, w pułku ta sama „stara ikra“!

Dowcip o ikrze był z przed dwóch lat, dziś całym już nieużywany i poniechany.

— Tu, w pułku czuje człowiek odrazu ducha i serce! — Radość płynęła przez jego słowa, zagarniał żywą ręką powietrze, przyklepywał do martwej i na wezbranym oddechu jakby do nóg nam kładł.

— Tu, w pułku pracę człowiek czuje, do której nigdy dość ludzi i rąk! Czy nie tak może, panie pułkowniku?

Owszem, tak, święte słowa, tem bardziej, że idą one z ust oficera, który, możnaby śmiało powiedzieć, wszystko, co tylko mógł i miał, złożył już na ołtarzu.

Wacek, cmoknąwszy sztywnym spodniem, wstał i oświadczył, że właściwie żadnych ofiar nie złożył, że jest gotów do wszystkiego i właśnie powrócił, — do warsztatu i do pracy, — jakby nigdy nie!

Cisza wionęła wzdłuż całego stołu. Słysząc było wyraźnie dźwięk strzemion przed balkonem pod lipą. Pułkownik zaczerwienił się i podniósł brwi do góry. W oczach mu zabłysło zdumienie.

Jedni poprawili się na krzesłach, drudzy nosy ku talerzom opuścili.

Nakonec pułkownik chrząknął wytrawnie, stwierdził, że takiego ducha zawsze się po każdym oficerze swoim spodziewa i wypytywać jął Wacka — o rodzinę.

W rodzinie, — jak w rodzinie. Rodzice, — jak rodzice. Brat młodszy jeszcze nawet w szkołach.

Te nic nie znaczące wiadomości uspokoiły naszego dowódcę, tem bardziej, że — wszystko musi przyjść w swoim czasie. Pułkownik spojrzał na zegarek. W swoim czasie pomówi się o stosownej pracy i w swoim też, — trzeba wydać odprawę. Tak wzorowy oficer, jak Wacek, wie to chyba lepiej od każdego innego.

Odchodząc, pocałował inwalidę uroczyście w czoło.

Za pułkownikiem zniknęli adjutanci, „kancelarja“ i kilku nowych podporuczników, którzy Wacka dawniej nie znali i żadnych względem niego obowiązków nie mieli.

Każdy jednak zegnał go najserdeczniej i jeszcze od drzwi posyłał przyjacielskie pozdrowienia.

Zostaliśmy za stołem sama stara wiara. Kość z kości. Jeden słowo zacznie — drugi dokończy. Twarda głowa przy głowie, nos w nos i oczy w oczy. Gadało się o pułku, potrzebach, niedostatkach. Myśmy utyskiwali, Wacek nas „podciągał“, że za dobrze nam w pracy. Jeszcze nie znamy męki bezczynności. Teraz, gdy on do roboty z nami stanie, pokaże, co to znaczy głód pracy.

Cisza zapadała wśród tych planów długa i kłopotliwa...

Od łąk szedł syk wiosennego rozrostu, aż się

w uszach przelewało, pod lipą, na murawie tupot koni grzmiał młoda, świeża ziemia.

Coraz skrzypnęły gwizdzące drzwi wejściowe, ten i ów, ręce ukradkiem rozłożywszy, strzepnął palcami i nieznacznie odchodził.

Siedzieliśmy już tylko we czterech, Kujon, Leń, ja — i on.

Nasz — kochany!

Wiedział odrazu, jeszcze w niewoli wiedział, że mu z nami będzie najlepiej. Ciemnem spojrzeniem omiół krzesła nieobecnych kolegów.

— Kocham wszystkich tak samo, ale z wami, „koniami“ mojej dawnej kompanji! Toś ty ją po mnie objął, Leń?! Z waszemi dobrymi sercami! Bo rzecz wydaje się trudna, a jest tak prosta. — Z lewej kieszeni z pod odznak i orderów wydobył naukowe książeczki, niemieckie i francuskie, na glansowanym papierze. — Tu zaraz zobaczycie!

Tuśmy zobaczyli z fotografii rozmaitych protez, znaczonych linją, łukiem i wieloma literkami a, b, gamma, delta, — tuśmy się dowiedzieli, że do „takiej“ ręki drugą się jeszcze przystawia i — piszesz sobie doskonale! Jeżeli zaś chodzi o nogę, — szcudelko podtykasz — i możesz sobie nawet konno jeździć całkiem swobodnie.

Gdy oto hałas się rozpętał pod lipą, klepanie, aksamitny skok konia przez murawę i głos pułkownika pełen karcącej szlachetności: — Znów popręgów dobrze nie dociągnąłeś, durniu!

Leń cicho wywołał mnie na balkon.

Pszczoly latały bystro w dzikim winie, szosą, ku

łakom w słońcu kłusował pan pułkownik, adjutanci błyszczący po bokach, pod lipą stały jeszcze dwa osiodłane konie.

Z moim spóźniał się ordynans.

— Proszę cię, — Leń wciągnął mnie we framugę, — sam rozumiesz...

— Że, co?

— No, chyba sam rozumiesz?! — W zwężonych powiekach światło mu schło, na policzkach płonęły wypieki. — Twego wałacha i tak jeszcze niema.

— Więc co?

— Więc i tak możesz jeszcze zostać.

— Za nic w świecie! Sam nie zostanę z nim ani pół sekundy!

— I tak niema jeszcze twego konia, — nastawał Leń.

— Jeżeli odjedziecie, nie wrócę do jadalni!

Czekałem we framudze. Jakże teraz odjadą. Samego go zostawią?

Z pułkownika i adjutantów został tylko mały kłębek kurzu pod lasem, od rzeki dolatywał aż tu dźwięczny głos splawianych pni.

Pod lipę przyczłapał głupi Kubik, pogadał z ordynansami. Splunąwszy, wzięli konie za uzdy i powiedli je koło starych przybudówek, do szosy.

A tu na zakręcie, z za węgła wyskoczył Kujon z Leniem — i pognali.

Spojrzałem ku jadalni. Wacek siedział za stołem sam. Słońce mu padało na twarz. Żywą ręką do martwej zsypywał kulki chleba, wybierał, znów zsypywał. Na tłustem, spoconem czole drżały mu brwi wysoko, prawie pod samym rozdzialkiem.

Nakoniec wstał, noga dźwięcznie cmoknęła. Usiadł kilka krzeseł dalej, w cieniu. Mijały długie chwile, budynek grażył się w ciszy. Rysy inwalidy rozchyłał ciągle jeszcze uśmiech powitania. Błady i nikły. Ledwie brwi rozszerzył i kąty ust podźwignął — już zniknął. Stopniowo cała twarz zamarła w tępej martwocie.

Z środkowych drzwi wyszedł Kubik, boso, bez bluzy, w podwiniętych portkach, z zakasanymi rękawami. Przytaszczył z sobą kosze i zabrał się do sprzątania.

— Kubik!

Stanął na baczność.

Wacek kazał mu usiąść przy sobie. Kubik nie śmiał. Wacek go ujął pod brodę. Kubik usiadł i prychnął kobyliwym śmiechem na cały stół. Poczęstowali się paliwem i zaczęli „pogwarke“.

Wacek raz jeszcze opowiadał całą Odyseję, przykrawając ją do smaku słuchacza.

Teraz już, w prostej wersji, jedni nadmiernie znęcali się nad rannym, drudzy litość okazowali niewyczerpaną. Olbrzymie przestrzenie wędrówki jeszcze się bardziej rozciągnęły, okręt stał się łupiną, morza straciły dno, góry nieba samego tykały.

Kubik słuchał, prychał, przytakiwał, ale nakoniec wstał i zameldował służbowo, — względem sprzątnięcia stołu.

— No to sobie zbieraj, bracie, żebyś wiedział, że ci nawet pomogę.

Nie słyszałem, co dalej mówili, przygłupi bowiem sługa czynił piekielny hałas. Włókł się z miejsca na miejsce, strzelał ścierkami dokoła, za nim Wacek dygał z talerzem, czy też poszczególnym kieliszkiem.

Uprzątnęli.

Kubik klasnął bosemi piętami i już się miał ku wyjściu, gdy Wacek: — A widziałeś ty, bracie, moją nową rękę?

Zatrzymali się przy drzwiach. Ordynans postawił kosze na podłodze. Razem badać zaczęli złożony mechanizm protezy.

— Odkręcimy. — Przykręcimy.

Nakoniec Kubik klasnął piętami i już na dobre odmaszerował. Słysząc było jak człapie po schodach i wyje unudzonem ziewnięciem. Oddalało się coraz bardziej. Jakieś drzwi trzasnęły parę razy i znów zaległa cisza.

Wacek stał w pośrodku pustej sali.

Nie mogę powiedzieć, by płakał. Miał zamknięte usta, suche, otwarte oczy. Piersi mu mundur wznosiły wysoko, z gardła pędził dźwięk donośny, pełny, gęsty, — jak głos drzewa, na rzece spławianego.

Żywcem, — jęk poranionych pni.

Teraz, wieczorem, siedzimy tu u mnie na forcie, Kujon, Leń i ja, i mówię im, że gdyby wtedy słyszeli, toby przyznali, jak gorzką przeżyłem chwilę.

Siedzimy pod płócienną chmurą upiętego w rogu namiotu, przez otwarte okno tyle widać świata. Drzewa się rumienią, na białych brzozech drżą ogniste czuby, wszystkie łąki mięciutkim żarem poczesał blask zachodu.

Brzeg Narwi aż dudni od ciężaru. Długie masztowe pnie płyną z gładką wodą. Słysząc, gdy padają na brzeg, gdy się toczą przez piach, gdy się zderzają

w wodzie, — gdy poranionem ciałem gloszą dzieje swej drogi złamanej.

Wieczór stoi na pogodnem niebie, ptaki krążą w powietrzu tak cicho, tak ostrożnie, jakby to z naszego losu, z cierpień i radości uwił się, poderwał i nad całym światem rozesłał ów strop wyniosły, przejrzysty, czerwienią zorzy olśniony.



253249

ERRATA

Na str.	21	w wierszu	11	od góry	zamiast	bruzdami	ma być:	brózdami
" "	31	"	2	" "	"	trzesło	" "	trzęsło
" "	44	"	11	" "	"	placze	" "	placziwe
" "	44	"	29	" "	"	bruzdami	" "	brózdami
" "	55	"	14	" "	"	przeplatując	" "	przeplatając
" "	59	"	5	" "	przed	Wszyscyśmy, znak —		
" "	61	"	5	" "	zamiast	kamieniami	ma być:	kamieniem
" "	61	"	6	" "	"	słyszeliśmy	" "	słyszeliśmy
" "	82	"	26	" "	"	esteśmy	" "	jesteśmy
" "	91	"	10	" "	po i —	ma być: później		
" "	91	"	11	" "	zamiast	Grociny	ma być:	gościnny
" "	129	"	16	" "	"	ale	" "	a
" "	129	"	24	" "	"	marynowany	" "	„marynowany“
" "	158	"	16	" "	"	biegaly	" "	biegały

SPIS RZECZY

	Str.
TU JESTEM TERAZ — I CZEKAM	5
NA FORCIE	11
PRZYJAZD	19
NIKT NIE CHCE MOJEJ ŚMIERCI	25
JEMIOŁA	41
BOGOWIE	63
NA FORCIE (BIAŁA GWIAZDA)	87
BAL	93
ODWILŻ	163
DZIKI CZŁOWIEK	193
MUSZTRA	223
NA FORCIE (PO WSZYSTKIEM)	231

WYDAWNICTWA TOW. WYD. „IGNIS“
(E. WENDE I S-KA) S. A. W WARSZAWIE

KSIĄŻKI IGNISA

- Nr. 1. ADAM MICKIEWICZ, *Tom pierwszy poezyj 1882* . 3.—
Nr. 2. C. K. NORWID, *Autoportret* 2.50
Nr. 3. VILLIERS de L'ISLE-ADAM, *Akedysseril* 1.40
Nr. 4. L. R. STEVENSON, *Klub samobójców* 1.—
Nr. 5. ADOLF DYGASIŃSKI, *Łabędzia Woda* 1.60
Nr. 6. *Żywot Łazika z Tormesu* 1.60
Nr. 7. GOTFRYD KELLER, *Romeo i Julja na wsi* 2.40
Nr. 8. CH. BAUDELAIRE, *Moje serce obnażone* 1.40
Nr. 9. J. P. JACOBSEN, *Mogens* 2.—
Nr. 10. JAROSŁAW IWASZKIEWICZ, *Ucieczka do Bagdadu* . 2.—
Nr. 11. STANISŁAW WITKIEWICZ, *Mysli* 1.20
Nr. 12. CH. L. PHILIPPE, *Dobra Magdusia i Biedna Marynia* . 2.40
Nr. 14. JERZY MEREDITH, *Historja Generała Ople i Lady*
Camper 2.60
Nr. 18. A. KUPRIN, *Podkapitan Rybnikow* 1.—

Ceny w złotych

JACK LONDON

W PRZEKŁADZIE STANISŁAWY KUSZELEWSKIEJ, JERZEGO
BOHDANA RYCHLIŃSKIEGO I MICHAŁA G. KARSKIEGO

- | | | | |
|--|------|---|------|
| <i>Syn Słońca</i> | 4.20 | <i>Serce kobiety</i> wyd II | 4.20 |
| <i>Bóg Ojców Jego</i> | 4.20 | <i>Prawo Białego Człowieka</i> | 3.— |
| <i>Na szlaku</i> | 4.— | <i>Odyssea Północy</i> (wyczerp.) | |
| <i>Martin Eden</i> 2 tomy | 9.— | <i>Wilk morski</i> 2 tomy, | |
| <i>Opowieści mórz połud-
niowych</i> | 4.20 | wydanie II | 6.— |
| | | <i>Zew krwi</i> | 2.— |

Przygoda — powieść — w druku.

E. WENDE i Ska

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 7/9

Ceny w złotych

ANDRZEJ STRUG

<i>Odznaka za Wierną Służbę</i>	2'60
<i>Pieniądz</i>	5'20
<i>Mogiła Nieznanego Żołnierza</i>	5'20
<i>Kronika Świeciechowska</i>	4'—

E. WENDE i Ska

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 7/9

Ceny w złotych

PISMA WYBRANE JOSEPHA CONRADA (KORZENIOWSKIEGO)

Dotychczas ukazały się następujące utwory ze zbiorowej edycji w języku polskim pism wielkiego prozaika angielskiego i syna polskiej ziemi:

Tom I.	<i>Fantazja Almayera</i> , powieść w tłum. A. Zagórskiej	5'—
Tom III.	<i>Murzyn z załogi „Narcyza“</i> , powieść w tłumaczeniu J. Lemańskiego	5'—
Tom IX.	<i>Sześć Opowieści</i> , Nowele w tłumaczeniu Wilama Horzycy, Leona Piwińskiego, Tadeusza Pułjanowskiego	7'50
Tom XIII.	<i>Miedzy lądem a morzem</i> , Nowele w tłumaczeniu: J. Lemańskiego, J. B. Rychlińskiego, A. Zagórskiej	6'—
Tom XII.	<i>W oczach Zachodu</i> , powieść w tłumaczeniu Hajoty (w druku).	

W PRZYGOTOWANIU:

Tom II.	<i>Wygnaniec</i> , powieść w tłum. J. Sienkiewiczówny.
Tom XVI.	<i>Zwycięstwo</i> , powieść w tłum. A. Zagórskiej.

E. WENDE i Ska

WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 7/9

Ceny w złotych